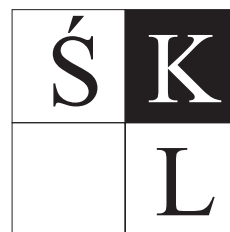


ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

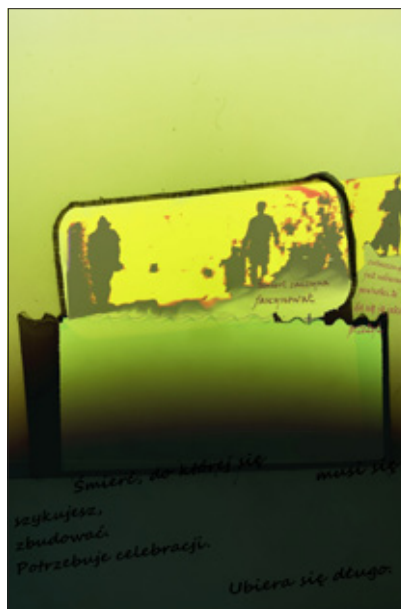
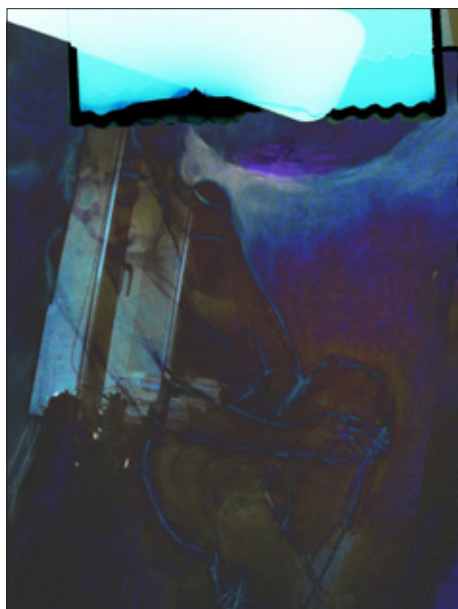


KIELCE 2019 NR 3-4 (65-66)

ISSN 1429-849-X

ISBN 978-83-7273-957-5

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO
Literatura – kieleckim sztandarem (Piotr Kuncewicz)



Elżbieta Musiał: z cyklu *De profundis* (2019)

**FR FOLK
RADIO**

folkradio.pl



**Pierwszy w Polsce
internetowy kanał
z muzyką ludową**

www.folkradio.pl

24 godziny na dobę
muzyka ludowa Gór Świętokrzyskich
przeplatana kujawiakami, mazurami,
oberkami i muzyką etno

ZAPRASZA POLSKIE RADIO KIELCE

ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X
ISBN 978-83-7273-957-5
KIELCE 2019 NR 3-4 (65-66)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach
Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5
tel. 500 602 111, e-mail: nyczaj@pro.onet.pl

Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy Polskiego Radia Kielce SA
przy współudziale Oficyny Wydawniczej „STON 2”,
Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach oraz
Wojewódzkiego Domu Kultury im. Józefa Piłsudskiego w Kielcach

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP, stanowiący kolegium redakcyjne, w składzie:
STANISŁAW NYCZAJ – redaktor naczelny
BOGUSŁAW WIŁKOMIRSKI – sekretarz redakcji
KRYSTYNA CEL, BENEDYKT KOZIEŁ, JAN LECHICKI – członkowie kolegium redakcyjnego

Konsultacja: STEFAN JURKOWSKI

Korekta: IRENA NYCZAJ
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Opublikowanie tekstów i zdjęć w „ŚKL” nie wiąże się z otrzymaniem przez autora jakiegokolwiek gratyfikacji. Jednocześnie Redakcja dziękuje za nieodpłatne przekazanie autorskich materiałów do druku.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów, a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „ŚKL”.

OD REDAKCJI

Z trybuny XXXII Krajowego Zjazdu ZLP '2019.....	5
Nowe władze Związku Literatów Polskich	5

Z TRADYCJI

F. Rusak: Wojna pruska.....	7
Gala jubileuszowa z okazji 10-lecia emisji audycji <i>Moc historii</i> w Radiu Kielce	12
C. Jastrzębski, R. Kałuża: Audycja z cyklu <i>Moc historii</i>	13
Jan Lechicki: Oceniała ich historia.....	17

WYDARZENIA

W 100-lecie urodzin Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.....	18
J. Cichocki: Świętokrzyski Plener Literacki	18
Z wycieczki śladami Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.....	20
W hołdzie Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu.....	22
Spektakularny prezent twórców świętokrzyskich dla Warszawy	23
Staszowskie Lato Literackie.....	24
J. Kupiszewska: W otwartym dniu	25
Poniedziałni plener literacko-plastyczny w Busku-Zdroju....	26
Zaszczytne odznaczenia dla świętokrzyskich literatów z okazji 35-lecia Kieleckiego Oddziału ZLP	31
Odstąpienie pomnika-stoliczka Leopolda Kozłowskiego-Kleinmana w Busku-Zdroju	33
Nadmorskie Spotkania Literackie – Międzywodzie	34

TWÓRCZOŚĆ

PREZENTACJA PISARZY UHONOROWANYCH Z OKAZJI 35-LECIA KIELECKIEGO ODDZIAŁU ZLP

J. Babiarz-Szot, J. Szot: wiersze	35
A. Błachucka: wiersze.....	37
K. Cel: wiersze	39
J. Chruśliński: fragment powieści <i>Złapcie go!</i>	41
B. Kępińska: wiersze	44
A.M. Musz: wiersze.....	45
I.J. Paździerz: fragment powieści <i>Tylko forsza</i>	47
J. Rzodkiewicz-Nowocień: wiersze	50
K. Szczykutowicz: wiersz	52
M. Włodno: wiersze	53
A. Zielińska-Brudek: wiersze.....	54
I. Zielińska-Zamora: wiersze	55
I. Żukowska-Rumin: wiersze	57
R. Bielenda: wiersze	58
B. Gajewska: wiersze	59
E. Jach: wiersze.....	61
L. Jędrocha-Kubicka: wiersze	62
S. Jurkowski: wiersze	63
W. Kłaczyński: fragment powieści <i>Pudełko</i>	65
B. Kozieł: wiersze	66
J. Lechicki: wiersze.....	68
E. Musiał na <i>Przedwiośniu`2019</i> w BWA	70
I. Nyczaj: <i>Sprawiedliwy las</i> (opowiadanie), wiersz	71
S. Nyczaj: wiersze	74
U. Przyboś: wiersze	74
M. Piotrowska: wiersze.....	77
G. Rak: fragment powieści <i>Fotografia</i>	78
W.M. Rak: Haiku, aforyzmy, fraszki.....	80

K. Ryk: wiersze	82
D. Skalska: <i>Ballada</i> (opowiadanie)	83
I. Stopierzyńska-Siek: wiersze	87
E. Tesz: wiersze	88
Z. Walas: wiersze	89
M. Welz: aforyzmy	90
B. Witkomirski: fragment powieści <i>Złota tetrada</i>	91

SZKICE — ESEJE — RECENZJE

K. Cel: Nobel dla Olgi Tokarczuk... ..	95
P. Krienow: Kto napisał <i>Cichy Don</i> ?	97
Trójgłós o książce Ireny Nyczaj pt. <i>Wina</i>	
B. Gajewska: Motyw wina w książce Ireny Nyczaj	104
A.M. Musz: Niech żyje siła!	106
K. Konecka: Niewinność Ireny Nyczaj.....	107
M. Zynger: Pamięci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego	109
S. Nyczaj: W stronę ekoliteratury.....	110
J. Termer: <i>Pudełko</i> Włodzimierza Kłaczyńskiego	112
M. Węgrzynowicz-Plichta: Poezja jako konieczność w ujęciu Joanny Babiarz (fragment postłowa).....	114
S. Nyczaj: Nieprzebrane bogactwo wizji i refleksji (o książce B. Wrocławskiego pt. <i>Skazany na peryferie</i>	117
S. Żak: O <i>Miłości w Rzeczniowie</i> Grzegorza Raka	118
K. Cel: Nie tylko wierna sobie kontynuacja (o książce B. Kozieła <i>Z obłoków z doliny</i>)... ..	119
K. Cel: Wyrazić siebie (o książce M. Gibaty <i>Sto pięćdziesiąt kilo dobroci</i>).....	120
K. Cel: Żywe echa tamtych lat (o książce A. Zaniewskiego <i>Miasto Hefajstosa</i> ...)	121

NOTY

Refleksje związane z werdyktem jury o przyznaniu nagrody dla bajki w konkursie Radia Kielce.....	123
J. Babiarz: Nasze akcje z poezją	125
J. Rzodkiewicz-Nowocień: Miniimpresje z Walencji.....	126
Salon Literacki i Galeria w Bibliotece Uniwersytetu Jana Kochanowskiego	127
Wernisaż wystawy Rafała Olbińskiego w Bibliotece Uniwersyteckiej UJK	128

Malarstwo L. Abraham Zubińskiej, E. Musiał, U. Przyboś



Rys. Irena Nyczaj

Z trybuny XXXII Krajowego Zjazdu ZLP '2019 wystąpiliśmy ponownie z apelem w pilnej Rejowej sprawie

Pałac Rejowy problem poruszyliśmy już w roku 2011 na XXX Krajowym Zjeździe ZLP. Był to nasz mocny głos-apel już na początku części dyskusyjnej po sprawozdaniach z minionej kadencji, z jakim wystąpił prezes Kieleckiego Oddziału Związku Stanisław Nyczaj, wnosząc o uchwałę, by zagrożone przejściem w prywatne ręce Rejowe muzeum w Nagłowicach „pozostało na tym samym, czyli swoim dotychczasowym miejscu”. Uchwała, szczegółowo umotywowana (zob. „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki” 2011, nr 1-4, s. 4-5), przyjęta została jednomyślnie.

Po ośmiu latach zostaliśmy zmuszeni wystąpić w tej palącej sprawie ponownie. Na trybunę tym razem wyszedł prof. Bogusław Wilkomirski – sekretarz Kieleckiego Oddziału ZLP, wnosząc o przyjęcie przez delegatów tegorocznego Krajowego Zjazdu następującego apelu do władz państwowych RP i władz samorządowych:

„W dobie błyskawicznych zmian politycznych, społecznych, klimatycznych, środowiskowych, nierzadko ocierających się o niebezpieczne granice egzystencji, sztuka w ogóle, a literatura w szczególności, pełni niezwykle ważną rolę. Dlatego też członkowie Związku Literatów Polskich, dla których słowo pisane ma niezaprzeczalną wartość, powinni z wyjątkową troską odnosić się do hołubienia tradycji literatury narodowej i zdecydowanie reagować na wszelkie przejawy marginalizacji pamiątek po mistrzach słowa, którzy odeszli z tego świata.

Takim mistrzem był niewątpliwie Mikołaj Rej, uznawany za jednego z ojców literatury polskiej. Jego wkład w początki narodowego piśmiennictwa był niezaprzeczalny i jest to oczywiste dla każdego poety czy prozaika. Dlatego też środowisko literackie, ale także społeczność gminy Nagłowice, z wielką radością przyjęła utworzenie w 1969 r., w 400-lecie śmierci pisarza, poświęconego Jemu muzeum, w dworku w Nagłowicach.

Niestety pół wieku później nad muzeum, a także znajdującym się na terenie zespołu pałacowo-parkowego Domem Dziecka i Gminną Biblioteką Publiczną, zawisły czarne chmury. Od kilku lat trwają administracyjne i prawne przepychanki po-

między władzami państwowymi i samorządowymi a spadkobiercami Michała Radziwiłła, którzy za wszelką cenę starają się odzyskać 10-hektarowy piękny park wraz z zabudowaniami, w skład których, oprócz zabytkowego pałacu, wchodzi także „Dworek Mikołaja Reja”, starannie odnowiony i będący pod opieką gminy.

Dla ludzi pióra, ale także dla mieszkańców Nagłowic, jest zupełnie oczywiste, że oddanie „Rejowego dworku” w prywatne ręce byłoby wielką stratą dla kultury polskiej. Sprawa oddania tak znaczącego dobra kultury i dziedzictwa narodowego pod jurysdykcję prywatnych osób od dawna mieszkających poza Polską, rodzi uzasadnione domniemanie, że ten pomnik historii literatury polskiej straci swoją tożsamość.

Dlatego też delegaci 50-osobowego Kieleckiego Oddziału ZLP zwracają się do Zjazdu Krajowego z uprzejmą prośbą, aby apel ten stał się uchwałą Zjazdu. Uważamy, że Krajowy Zjazd Związku Literatów Polskich jest najważniejszym gremium, mogącym zwrócić się do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Wojewody Świętokrzyskiego i władz samorządowych województwa świętokrzyskiego, w sprawie pozostawienia „Rejowego muzeum”, tego prawdziwego symbolu ogólnopolskiej tradycji literackiej i kulturowej, na swoim miejscu”.

Czy tym razem – przyjęte znowu jednomyślnie przez nasz Związek jako nieodzwonne interwencyjne działania – zostaną skutecznie podjęte?

Red.

Nowe władze Związku Literatów Polskich

8 czerwca 2019 r. obradował 32. Walny Zjazd Delegatów ZLP, który wybrał nowe władze Związku. Oto skład Prezydium Zarządu Głównego, Głównej Komisji Rewizyjnej i Głównego Sądu Koleżeńskiego; **troje naszych członków: Elżbieta Musiał, Stanisław Nyczaj, Bogusław Wilkomirski znalazło się we władzach Zarządu Głównego ZLP.**

Prezydium ZG ZLP

- Marek Wawrzekiewicz – prezes
- Zbigniew Gordziej – wiceprezes
- Zbigniew Milewski – wiceprezes
- Grzegorz Wiśniewski – wiceprezes
- Andrzej Żor – wiceprezes
- Jan Cichocki – sekretarz generalny
- Aldona Borowicz – skarbnik
- Andrzej Walter – członek
- Andrzej Wołosewicz – członek



Fot. Bogusław Wiłkomirski

Zarząd Główny

Członkowie wybrani przez Zjazd:

- Jan Cichocki
- Jerzy Jankowski
- Kazimierz Kochański
- Paweł Kuszczynski
- Zbigniew Milewski
- Krzysztof Mroziewicz
- Elżbieta Musiał
- Wojciech Parzyński
- Andrzej Tchorzewski
- Andrzej Walter
- Bogusław Wiłkomirski
- Grzegorz Wiśniewski
- Andrzej Wołosewicz
- Ewa Zelenay
- Andrzej Żor

Prezisi Oddziałów ZLP – członkowie ZG ZLP

- Krzysztof Barański (Płock)
- Aldona Borowicz (Warszawa)
- Kazimierz Burnat (Wrocław)
- Ares Chadzinikolau (O/Wielkopolski)
- Andrzej Cieślak (Olsztyn)
- Leszek Dembek (Szczecin)
- Jerzy Fryckowski (Słupsk)
- Zbigniew Gordziej (Poznań)
- Dariusz T. Lebioda (Bydgoszcz–Toruń)
- Ireneusz K. Szmidt (Gorzów Wielkopolski)

- Ludmiła Janusewicz (Koszalin)
- Stanisław Nyczaj (Kielce)
- Anna Pituch-Noworolska (Kraków)
- Agnieszka Polak (Lublin)
- Robert Rudiak (Zielona Góra)
- Małgorzata Skwarek-Gałęska (Łódź)
- Leonarda Szubzda (Białystok)
- Juliusz Wątroba (Katowice)
- Mirosław Welz (Rzeszów)
- Stanisław Załuski (Gdańsk)
- Piotr Żarczyński (Opole)



Fot. Krystyna Konecka

Główna Komisja Rewizyjna

- Grzegorz Trochimczuk – przewodniczący
- Anna Andrych
- Wiesław Łuka
- Jerzy Sprawka
- Danuta Bartosz

Główny Sąd Koleżeński

- Bogdan Bartnikowski – przewodniczący
- Bogdan Chorążuk
- Jan Zdzisław Brudnicki
- Marta Pelinko
- Waldemar Michalski



Fot. Krystyna Konecka

Wojna pruska

Prolog

Zwycięstwo pod Grunwaldem 15 lipca 1410 roku odbiło się szerokim echem w całej Europie. Wiadomość o klęsce Krzyżaków przyjęto ze zdumieniem, niedowierzaniem i nieskrywaną niechęcią z jednej strony oraz podziwem, respektem i mimowolnym szacunkiem z drugiej. Z dnia na dzień wyrosło w środku Europy nowe polsko-litewskie mocarstwo, z którym przyjdzie się liczyć, a nawet słuchać go.

Miara zwycięstwa była tak wielka, że odbiła się w twórczości literackiej, niestety ustnej, np. „Pieśń o pruskiej porażce” w formie ballady rycerskiej.

Najdokładniejszym opisem bitwy, nader subiektywnym, jest relacja Jana Długosza w jego sławnych *Rocznikach*. Nasz wspaniały kronikarz pałał dziwną niechęcią do Jagiellonów. Wydaje się, że to spuścizna po Zbigniewie Oleśnickim, który był mentorem Długosza i także mocno skonfliktowanym przeciwnikiem trzech pierwszych Jagiellonów.

Pierwszym poetą, który opisał bitwę grunwaldzką w formie eposu, był nasz rodak z Ponidzia, Jan z Wiślicy, który zasłynął poematem zatytułowanym *Wojna pruska*.

O autorze niewiele wiemy. Ustalono, że urodził się między 1485 a 1490 rokiem. Jest pewne, że kształcił się w Akademii Krakowskiej i był uczniem Pawła z Krosna. Pochodził ze stanu mieszczańskiego. Żył w czasach panowania Zygmunta I Starego. Umarł w młodym wieku, przed 1520 rokiem. Domyślamy się tego z jego twórczości, bo opisał trzy zwycięstwa Zygmunta Starego nad Wołochami, Tatarami i Moskalami, a nic nie wspominał o zwycięstwie nad Krzyżakami w 1520 roku. Musiał już wtedy nie żyć.

Epopcja *Bellum Prutenum* składa się z trzech części, przy czym opis bitwy pod Grunwaldem znajduje się w części drugiej.

Poemat napisany łaciną jest na ogół nieznany, a już na pewno nieomawiany w szkole.

Naszym zadaniem będzie zapoznać czytelników z ciekawszymi fragmentami drugiej części wspo-

mnianego utworu z dwu przynajmniej powodów. Z okazji upamiętnienia zwycięstwa pod Grunwaldem oraz dla poznania czołowego utworu naszego rodaka z Ponidzia, o którym mało kto słyszał.

Wybrane fragmenty II części poematu *Wojna pruska* w tłumaczeniu E. Jędrkiewicza opatrzyłem tytułami, a pod tekstem przypisami i komentarzem historyczno-literackim.

Poemat poprzedzony jest czterowersowym epigramatem Jana z Wiślicy.

Jeżeli pragniesz poznać los pruskiego boju,
Czytaj wiersze przychylnie w należnym spokoju,
Bo choć duch słabem tchnieniem zdolności owiany.
Przecież śpiewa Sarmata, z przodków Muzom znany.

*BELLUM PRUTENUM SIVE BELLI PRUTENI
LIBELLI TRES PER IOANNEM VISLICIENSEM
EDITI. IMPRESSUM CRACOVIAE IMPENSIS DO-
MINI IOANNIS HALLER, CIVIS CRACOVIENSIS.
ANNO DOMINI 1516.*

Wstęp

Jest kraj słynny z ogromnych i cienistych lasów,
Szeroko się ciągnący do scytyjskich granic¹,
Soczystymi łąkami zielony i w miody
Obfity, w lud zasobny i w walecznych wojów.
Litwą go nazywali pradawni mieszkańcy,
Którzy twardym lemieszem pruli twardą glebę
I uprawiali ziemię tych rozległych krain.
Tam to książę i dziad twój, słynnego imienia
Jagiełło², zrodzon wielki ów, srogiego Marsa³
I jego strasznej wojny sława znamienita.
Dowiedział się o tym znaczna część Europy,
Gdy zwyciężone w wojnie niemieckie zastępy
Pokładały się pokotem w kurzu pruskiej ziemi,
Którą zaczerwieńczyły rzeki krwią płynące
I toczące do morza padłych z ręki Marsa.
Jagiełło rządził krajem wojowniczej Litwy
I ludami, co żyły za Dnieprem głębokim,
Których koczownikami zwiemy tatarskimi⁴.

Groźnymi krzywą szablą, celną strzałą łuku –
Rządził zaciętą Żmudzią⁵, tą, której granicą
Głębokiego Bałtyku pienne w burzach fale,
I jasnowłosym, słynnym z dzielności Rusinem⁶.
Jego to również dzielni przyzwali Polacy
Bystremu księciu prawnie oddając koronę⁷.
Szczęśliwymi Jagiełło władał królestwami
Berło dzierżąc pod mocną pokoju osłoną,
Aż wyzwanie mu rzucił ród dobra niepomny⁸.

Przypisy

¹⁾ Scytowie – koczownicze plemiona irańskie zamieszkujące północne wybrzeża Morza Czarnego.

²⁾ Jagiełło – wielki książę litewski, syn Olgierda, wnuk Giedymina, od 1386 roku król Polski.

³⁾ Mars – rzymski bóg wojny.

⁴⁾ Na Zadnieprzu osiedlili się Tatarzy, którzy wcześniej podbili Ruś.

⁵⁾ Żmudź – kraina leżąca na północny zachód od Litwy Właściwej, granicząca z Bałtykiem; teren uporczywej ekspansji Krzyżaków, bo jej zdobycie gwarantowało jedyne lądowe połączenie z Zakonem Kawalerów Mieczowych.

⁶⁾ Litwini nie podbijali Rusi, lecz wydzielali ją z rąk Tatarów.

⁷⁾ Jagiełło został królem Polski poprzez ożenek z Jadwigą Andegaweńską.

⁸⁾ Tu: Krzyżacy, którzy wypowiedzieli oficjalnie wojnę Polsce w 1409 roku.

Przed bitwą

Letnia była to pora, kiedy miesiąc lipiec
Na żyznych polach zbożom pozwala dojrzewać
Piękną gotując pracę rolnikom na żniwa¹.
Na pruskich wtedy polach przystanął Mars dziki
I, potrząsając bronią, rykiem to ku Niemcom,
To ku Polakom wojnę obwieszcza okrutną.
I zgony głosi krwawe, sprawy tak straszliwe,
Że słów na nie brakuje, a tam o broń krzyczą,
Bo gniewy już szaleją z Flegatonu² głębi
Śmierć się dźwiga, broń chwyta i lecąc przez pola
Skrętami krwawych węzów wieści liczne trupy,
Co spadną w wody Styksu³ i w noc nieprzejrzaną.

Przypisy

¹⁾ Bitwa rozegrała się 15 lipca 1410 roku.

²⁾ Flegeton – gr. Ziejąca Ogniem, mit. jedna z rzek w Hadesie, czyli podziemnym świecie zmarłych.

³⁾ Styks – mit. Rzeka, przez którą Charon za obola przewoził dusze zmarłych do Hadesu.

Komentarz: Zdobycie planów wojennych przeciwnika przed bitwą to szansa na łatwiejsze odniesienie

zwycięstwa. Jagiełło dla zmylenia Zakonu rozpuszczał fałszywe wieści i pozorował drobne utarczki na granicy z Pomorzem Gdańskim, które w rękach krzyżackich było od 1308 roku, a więc nieomal 100 lat. Polska za Jagiełły nie miała dostępu do morza, więc próba odzyskania Pomorza miała cechy prawdopodobieństwa. Tymczasem Jagiełło wspólnie z Witoldem i Mikołajem Trąbą powzięli zamiar wspólnego marszu na Malbork przez Czerwińsk, Raciąż, Bądryn i Kurzętnik. Krzyżacy zaś planowali koncentrację swych wojsk na lewym brzegu Wisły koło Świecia i tam mieli poczekać, a potem rozgromić wojska polskie. Jagiełło okazał się być lepszym graczem. Bitwa rozegrała się w Państwie Zakonnym na prawo od Wisły na polach między Stębarkiem, Łodwigowem i Grunwaldem.

Pierwsze starcie

I oto już zastępy mężów nadchodziły,
Wodzów i pułkowników zachęczone głosem.
Już koczownicy z wodzem na czele, Witołdem¹
Dobrywszy łuków gnają skokiem szybkie konie.
Śmiercionośnymi strzałami z krzykiem przeraźliwym
Obsypują szyk wrogów: tak spadają grady,
Gdy Ojciec Wszechmogący puści chmurom wodze
I świat cały zalewa deszczów szumnym wirem;
W zielonych polach sroży się moc Akwilonu²
Bijąc w role, w zasiewy i w rozłogi dolin:
Podobne były pruskie błyszczące zastępy
Koszone pociskami dzikich koczowników³
Innym hufcem Litwini wraz z Rusinem srogim,
Groźni zakrzywionymi szablami swoimi,
I Żmudzini, do walki na swą modłę sprawni,
Na niemieckie szeregi uderzają z męstwem⁴.
Oni również dodają do ran rany, ścieląc
Ciała rozlicznych mężów okrutnie pobite.
Szyki wszędzie ścierają się i krew płynie wszędzie –
Ci od strzał giną, inni od włóczni świszczących
Padają i swe dusze do Tartaru niosą⁵.
Lecą kamienie i deszcz żelazny pocisków,
I jasność dnia się zmierzcha od strzał
[śmiercionośnych,
I już na ziemi braknie miejsca dla pocisków.

Przypisy

¹⁾ Witold – syn Kiejstuta, stryjeczny brat Jagiełły, znakomity wódz i polityk, po chrzcie przybrał imię Aleksander, wielokrotny sojusznik Krzyżaków, pod Grunwaldem sprzymierzony z Jagiełłą.

²⁾ Akwilon – miasto w Samnium, w środkowej Italii, gdzie Rzymianie odnieśli zwycięstwo nad Samnitami w 293 r. p.n.e.

³⁾ Pod Grunwaldem skrzydło litewskie (prawe) wzmocnili Tatarzy na czele z chanem Dżelal-Eddinem.

⁴⁾ Powstanie na Żmudzi będącej pod okupacją krzyżacką stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu wojny 1409-1411.

⁵⁾ Tartar – mit. najniższa, ciemna część Hadesu.

Komentarz: Książę Witold na początku XV wieku stanął w obliczu walki na dwa fronty, czyli z Krzyżakami oraz z Księstwem Moskiewskim. Chcąc uspokoić zachodnią granicę oddał Zakonowi Żmudź, a sam udał się z wojskiem na Moskwę. Z księciem moskiewskim Wasylem spotkali się nad rzeką Ugrą. Jednak do bitwy nie doszło. Witold musiał otrzymać jakąś ważną wiadomość, skoro opuścił swe wojsko i czym prędzej udał się do Brześcia. Tam właśnie powstał plan wojny z Zakonem Krzyżackim.

W czasie gdy Witold szykował się do rozprawy z Moskwą, na Żmudzi wybuchło powstanie przeciw Krzyżakom. Żmudzinom pomogli nieoficjalnie Litwini, a także Polacy. Jagiełło chciał, aby stroną wypowiadającą wojnę był Zakon. Wysłał do Malborka poselstwo z arcybiskupem gnieźnieńskim Mikołajem Kurowskim na czele. Ten ostrzegł Krzyżaków, że w razie napaści Krzyżaków na Litwę, Polska uderzy na nich całą mocą. Na to tylko czekał wielki mistrz. 6 sierpnia 1409 roku na piśmie wysłał królowi Jagielle wypowiedzenie wojny Polsce. Jagiełło nie zważając na utarczki przygraniczne zaczął intensywnie przygotowywać się do walnej rozprawy. Plan ułożyli w Brześciu tylko we trzech, aby tajemnice planowanej kampanii nie wyciekły na zewnątrz.

Załamanie Litwy

Rany chłoną żelazo, a Mars się okropnie
Głosi – jak Jowisz¹ który przez czarne chmur zwały
I przez gęste wierzchoły borów śle swe grzmoty.
Ale nieokiełznana dola, która chwile
Zdarzeń niesprawiedliwie toczy i odmienia,
Wszystkim wedle zachcenia i woli swej rządząc,
Opuściła Rusinów dzielnych i Tatarów,
I twą Litwę, Witołdzie, i inne rozliczne
Zastępy twe, i ciebie opuszcza, a broniąc
Hufców Niemców przyjaźnie ducha im dodaje
I pomaga, niestała w srogich swych wyrokach²
Zwyciężają Prusacy, zwycięskie chorągwie
Mistrza, krzyż tryumfuje w chwale i szaleje

Zwycięski Teuton³ w zbroje wraz z koniem zakuty.
Strach i zgroza z ust krzyczą twoich wojowników,
Witołdzie, i co w wojnie największą jest hańbą,
To spada na twych jeźdźców i na lud twój pieszy,
W szpetnej ucieczce zmusza szukać ocalenia
I tył podawać każe, i twarze zakrywać
W śpiesznej ucieczce⁴. Kiedy tych szyków wódz uj-
rzał,
Że los niesłuszny złamał w tej walce okropnej
Lud jego, powodując w nim upadek ducha,
Jak wichler do obozu króla pędzi, wsparcia
Przez jego huf żądając, przy czym tak go łaje:
„Czy ty nie widzisz, bracie, że tam nasi giną?
Nie widzisz ich ucieczki we wrzawie tętentu
I tego, że nas wrogie hufce zwyciężają?
A ty stroisz ołtarze i wznosisz modlitwy?
Zaprzestańże nabożeństw i świętych obrządków,
Nie zwyciężysz w zapasach tych nabożeństwami
I nie czas tu na modły, lecz czym prędzej rozkaż
Twym Polakom uderzyć na ród ów złowrogi⁵.”

Przypisy:

¹⁾ Jowisz – najwyższy bóg Rzymian

²⁾ U Homera w Iliadzie, na której opierał się Jan z Wiślicy, za sprawą kapryśnych bogów co rusz odmieniają się losy wojny.

³⁾ Teutonowie – plemię germańskie, tu: Niemcy.

⁴⁾ Wg przekazów pierwsze uderzenie wojsk litewskich załamało się.

⁵⁾ Przed bitwą Jagiełło wysłuchał dwóch mszy.

Komentarz: Plan wojenny skonstruowany w Brześciu przewidywał, że pierwsze do boju ruszą wojska litewsko-ruskie i Tatarzy. Jagiełło słusznie podejrzewał, że Krzyżacy użyją podstępów. Lekka jazda litewska będzie zarazem oddziałem rozpoznawczym. Przewidywania Jagielle się sprawdziły. Litwini napotkali „wilcze doły”. Nie wytrzymali ataku krzyżackiego. Zaczęli uciekać w popłochu. Na miejscu pozostały tylko trzy pułki smoleńskie na czele z bratem króla Semenem Lingwenem. Z boju wycofały się też zaciężne wojska czeskie i morawskie. Zawstyżone, powróciły na pole bitwy.

Proroctwo św. Stanisława

I oto na pogodnych nieb szczycie królowi
Biskupa postać zjawia się świetliście jasna,
Blaskiem nieb otoczona i gwiazd promienistych,
I słodkim pocieszając głosem smutek króla
Takimi łaskawymi słowy go owionie:
„Wszechmocny Ojciec leż już litując się gorzkich

Pogodnym spojrział okiem na żalosne modły
I ciebie dziś, i twoich skrzepi dobrą wróżbą,
I sprawi, że ulegną waszej mężnej dłoni
Ci, którzy brata twego hufce zwyciężyli.
Ich sztandary im siłą weźmiesz i zawieszisz
Pod stropem mej świątyni sławne te odznaki,
Tarcze wodzów, a nawet i królów potężnych,
Proporce poprzybijasz na moim grobowcu”.

Komentarz: Po kanonizacji biskupa Stanisława ze Szczepanowa w 1253 roku ten święty zaczął powoli wypierać kult poprzedników, czyli św. Wacława i Floriana. Św. Stanisław dostał zaszczytu złożenia jego relikwii w ufundowanym przez ks. Kingę relikwiarzu, który ustawiono przed głównym ołtarzem w wawelskiej katedrze.

Grób św. Stanisława od XIII w. urósł do funkcji miejsca trofealnego, gdzie składało się sztandary zdobyte na wrogu. Pierwszy złożył je król Władysław Łokietek po zwycięskiej bitwie pod Płowcami (1331). Kolekcję zdobywanych chorągwi znacznie wzbogacił Władysław Jagiełło po zwycięstwie pod Grunwaldem.

Nieoceniony Długosz tak napisał: „W dzień św. Katarzyny (25.11.1411), król otoczony licznym gronem prałatów i rycerzy, niosących przed nim rozwinięte chorągwie Krzyżaków, w wielkiej bitwie pod Grunwaldem zdobyte [...] szedł na zamek krakowski do kościoła katedralnego [...] i w rzezonym kościele św. Stanisława w Krakowie na pamiątkę sławnego zwycięstwa złożył wszystkie proporce, które po dziś dzień wiszą na ścianach z prawej i lewej strony”.

PS Po latach oryginały uległy zniszczeniu, więc zastąpiono je kopiami [przyp. F.R.].

Modlitwa Jagiełły

Król w żarliwym natchnieniu trwając nie odwrócił
Twarzy na słowa takie, modłów nie zaprzestał,
Lecz potem z oburzeniem tak bratu odpowie:
„Pomiarkuj gniewy, bracie mój najdroższy,
I pozwól mi tu w spokoju pozostać,
A nie mąć nabożeństwa przed ołtarzem Boga:
Kiedy msza odprawiona zostanie godziwie
I kapłan wszystkie swoje modlitwy zakończy,
Wtedy moich Polaków wyślę ci do boju.
Pomoc ci przysposobię i sam z nią pośpieszę.
Teraz zaś niedobitki swe zbierz, broń obozu
I Niemców prących staraj się doń nie dopuścić”.

Wypełnia rozkaz Witold i z wrogiem się ścina.
A tymczasem pobożny król i sprawiedliwy,
Ze łzami wznosząc ręce do nieba, tak pocźnie:
„Stwórco ludzi i bogów, nieba budowniczy,
Błagam cię, spojrzysz, proszę, łaskawie na króla
I zlituj się nad ludem twym, zlituj nade mną,
Młodzieży mej walczącej mężne ześlij serca
I w walce przeciw wrogom ducha im dodawaj!
Naucz ich, jak zwyciężać, sprawiaj kručze szyki
I sam broń naszych orłów i naszych sztandarów
Przed niemieckich chorągwi i zastępów mocą”.

Komentarz: Jan z Wiślicy, XVI-wieczny poeta polski, po łacinie pisząc, zdradza, że nieobca mu jest znajomość Homerowej *Iliady*. Użycie reminiscencji klasycznych z mitologii greckiej i rzymskiej oraz przywoływanie postaci i zdarzeń z wojny trojańskiej świadczą, że nasz rodak z Ponidzia zalicza się już do pisarzy Odrodzenia, które w zygmontowskiej Polsce zdecydowanie wyparło scholastyczne średniowiecze.

Powyższy fragment różni się zdecydowanie od wcześniejszych, gdyż brak w nim odniesień do mitologii klasycznych, a za to jest mocne podkreślenie chrześcijańskiej proveniencji Polski, która już od ponad 500. lat wyznaje religię Chrystusa. Na uwagę zasługuje nadzwyczajna pobożność Władysława Jagiełły, który w 1410 roku był chrześcijaninem stosunkowo świeżej daty, bo ochrzcił się zaledwie 24 lata temu. Jagiełło, jak każdy neofita, podkreślał nadzwyczajną pobożność, aby nie być posądzany o nieszczerą wiarę, a w rzeczywistości wyznawanie litewskiej, pogańskiej religii. Krzyżacy rozgłaszali na całą Europę, że Jagiełło jest pół-chrześcijaninem, co było gorszym grzechem aniżeli bycie poganinem.

Powyższy fragment kończy piękna apostrofa do Stwórcy, która jest jedną z najbardziej dojrzałych artystycznie figur stylistycznych w całym poemacie.

Przedbitewna mowa Jagiełły

Więc, pocieszony świętym głosem, król donośnie
Rozkazuje Polakom srogimi rozkazy
Wznović bitwę i woła, by mu dano konia,
Za czym miecz przypasuje i jeżdżąc po polu
Do boju hufce śle, tak im dodając ducha:
„Gdy komu się wkradła w serce szpetna trwoga
I odjęła mu ducha walki, hańbą płamiąc
Prześwietne herby waszych rodów i ich chwałę,
Pamiętajcie, Polacy, błagam was, o sławie,
O czci i o ojczyźnie! Podły strach piętnuje

Haniebną blizną uszy, gdy męstwo wojenne
Mężne serca ozdabia świetnymi czynami.
Więc proszę i ostrzegam – bo bitwa się zbliża,
A Niemiec nam urąga, bo pokonał hufce
Skrzydłowe mego brata – na bój się gotujcie!
Jeśliście mężni byli kiedy – teraz bądźcie!
Walczcie, błagam! Zwycięstwo ich nad Tatarami
I Żmudzią teraz w nasze znowu przejdzie ręce”.
I zaraz każe w trąby dać, chorągwiom ruszać,
I zastępów rozpędem uderza na wroga.

Komentarz: Król Władysław Jagiełło będąc głównodowodzącym, nie brał bezpośredniego udziału w walce. Do pomocy powołał radę wojenną, w skład której oprócz niego weszli: Zbigniew z Brzezia pełniący równocześnie funkcję zastępcy wodza naczelnego, Krystyn z Ostrowa, Jan z Tarnowa, Sędziwój z Ostroroga, Mikołaj z Michałowa, Mikołaj Trąba, Piotr Szafraniec i książę Witold.

Czytelnicy *Krzyżaków* H. Sienkiewicza zapewne zauważyli brak nazwiska Zyndrama z Maszkowic, który zarówno w *Kronikach* Długosza, jak i u Sienkiewicza został awansowany na wodza naczelnego.

W istocie sprawował ważną, ale podrzędną funkcję oboźnego i porządkowego.

Jak wiemy, wiadomości o bitwie Długosz czerpał od Zbigniewa Oleśnickiego, który był niechętny Jagielle i jak mógł pomniejszył jego rolę w wiktorii grunwaldzkiej. J. Długosz, także surowy krytyk Jagiełły, z rozmysłem zrelatywizował historię, usuwając w cień osobę króla.

Wnikliwe badania historyków zdołały przywrócić prawdę historyczną i proporcjonalnie obdarzyć wszystkich zasługami zdobytymi na polu chwały.

Grunwald był klasycznym przykładem zde-
rzenia się dwóch strategii prowadzenia bitwy. Na Zachodzie obowiązywało uczestnictwo w bitwie naczelnego wodza. Na Wschodzie wódz naczelnny z wysoka obserwował pole bitwy i kierował jej przebiegiem, sam nie uczestnicząc w zmaganiach. Jagiełło podpatrując niejednokrotnie Tatarów, uznał ich sposób kierowania bitwą za lepszy, wobec czego zastosował go pod Grunwaldem.

Franciszek Rusak



Słynny obraz Jana Matejki *Bitwa pod Grunwaldem*, 426 × 987 cm, eksponowany w Muzeum Narodowym w Warszawie

Fot. Wikipedia

Gala jubileuszowa z okazji 10-lecia emisji audycji *Moc historii* w Radiu Kielce,
Wojewódzki Dom Kultury, 12.05.2019



Prezes Zarządu Radia Kielce Janusz Knap otwiera galę jubileuszową, którą poprowadziła red. Magdalena Sitek



Posel Krzysztof Lipiec i marszałek Andrzej Bętkowski (z prawej) wręczyli brązowe medale „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”: Bohdanowi Gumowskiemu, Cezaremu Jastrzębskiemu i Tomaszowi Tamborskiemu – autorom audycji



Gratulacje odznaczonym składa prezes Janusz Knap



Z recitalem wystąpił pochodzący ze Starachowic Janusz Radek



Głos zabrał prof. Adam Massalski

Fot. Paweł Nyczaj

Audycja z cyklu *Moc historii*

Cezary Jastrzębski
Robert Kałuża

Dzisiaj zapraszamy na wyprawę do konkretnego miejsca. Są to okolice Rytwian, Staszowa, tak możemy powiedzieć, okolice drogi krajowej 79 Kraków–Sandomierz. Stamtąd łatwo trafić do miejscowości, o której dziś chcemy opowiedzieć, choć nie będzie to chyba łatwe zadanie, bo jest to miejsce, które ma bogatą, typowo książęcą przeszłość. Sichów Duży, dziś o nim chcemy opowiedzieć. Od czego zaczniemy?

Może rzeczywiście, tak jak to zwykle robimy, warto zastanowić się nad nazwą miejscowości. Od razu sobie możemy wyobrazić, że skoro jest Sichów Duży, to znaczy, że jest jeszcze co najmniej jeden, który przeciwstawiony jest temu dużemu, no więc pewno mały. I tak rzeczywiście jest. Choć warto pamiętać, że przez większą część dziejów Sichów Duży nazywany był Sichowem Wielkim. I dopiero właściwie od XIX w. to określenie Duży zaczęło obowiązywać. A wcześniej używano określenia Sichów Wielki, no i siłą rzeczy też Sichów Mniejszy.

Czyli można by sugerować, że był on jakoś wyróżniony? Skoro duży, skoro wielki?

Dokładnie tak, bo zwykle właśnie te określenia oznaczają coś pierwszego. A potem te nazwy ulegały licznym przekształceniom. I jeśli sięgniemy po najstarsze zapiski, które dotyczą Sichowa, a pochodzą z początku XV wieku, choć zapewne miejscowość jest starsza, bo wzmianki dotyczą już istniejącej jednej i drugiej wioski, to zapis brzmi nieco inaczej: Świchów, co językoznawcy tłumaczą, że najpewniej ta nazwa jest typową nazwą dzierżawczą, pochodzącą więc od imienia już dzisiaj nieużywanego. A więc ktoś, kto nosił imię Świch założył tę wioskę. I od tego imienia pochodzi nazwa miejscowości, zapisywana tak przez cały XV i jeszcze na początku XVI wieku, czyli Świchów. Mamy różne informacje dotyczące Sichowa z wieku XIV, czyli wcześniejsze niż zapiski dotyczące samej nazwy; być może chodzi o imię Świętosław, od którego pochodzi nazwa obecnego Sichowa Dużego.

Chyba niewiele jest miejsc, które posiadają tak bogatą historię.

Tak. Gdy popatrzymy na dzieje miejscowości znajdującej się w okolicy Rytwian, Staszowa, to pamiętamy o tym, że funkcjonowało kiedyś określenie Państwo Staszowskie. Okolice te oczywiście budziły zainteresowanie. I tak jest rzeczywiście w przypadku Sichowa Dużego, który należał do rodów o charakterze arystokratycznym. Jeżeli wymieniamy w dziejach Sichowa przedstawicieli takich rodzin, jak Lubomirscy, Potoccy, Radziwiłłowie, Denhoffowie, Sieniawscy, Łascy, to znaczy, że rzeczywiście mówimy o przedstawicielach arystokracji w naszym kraju. Sichów przekazywany kolejnym rodzinom wiązał się z historiami, które dotyczą tych rodów. I jego historia była budowana na zasadzie tego łańcucha, ogniw połączonych.

Jeśli mielibyśmy się pokusić o krótką genezę, historię tego miejsca, kto pierwszy zainteresował się Sichowem?

Bardzo często, kiedy mówi się o nazwie Sichowa Dużego, to odnosi się te informacje do pierwszych wiadomości, czyli do roku 1416. Z czasem okazało się, że nazwa Świchów dotyczyła Świchowa Dużego, a Świchowiec – Sichowa Małego.

Wiemy z różnych materiałów, że już na początku XIV wieku możemy mówić o tym, kto władał w Sichowie, a więc co najmniej o 100 lat przesuwamy informacje dotyczące dziejów miejscowości. To rodzina pieczętująca się herbem Doliwa. Oni wywodzili się z Kujaw i stamtąd właśnie pochodził Stanisław albo Chwalisław, tak go nazywano, albo noszący przydomek Szyrzyk syn Świętosława. Zwróćmy więc uwagę na to, że właśnie to imię Świętosław pojawia się, czyli być może ten Świch to było imię urobione od Świętosława. Zmarł około 1313 roku. Przedstawiciele rodu Doliwów byli właścicielami dzisiejszego Sichowa Dużego. A więc mówimy o miejscowości, której dzieje sięgają początków XIV wieku. Rodzina Doliwów zaczęła się mocno osadzać, przejmowała kolejne majątki, doprowadziła do

tego, że Sichów Duży stanowił uposażenie kościoła w Fałkowie.

Doktor Cezary Jastrzębski mówił już, że Sichów Duży należał do wielu znakomitych rodów i ci Doliwowie pojawiają się jako pierwsi.

No tak, oni zapewne zajmowali ten teren, a tymczasem na podstawie badań archeologicznych wiemy, że ta pierwotna część miejscowości, czyli artefakty w Sichowie pochodzące ze średniowiecza, to była część na południe od dzisiejszego pałacu. Czyli tu była główna wioska, teraz tam jest zwykła, polna droga. I dopiero w XIX wieku dokonano niewielkiego przesunięcia, pewnych zmian i na nowo wybudowano domy w tym położeniu, które dzisiaj znamy. Kolejny Świętosław, zwróćmy uwagę na to: kolejny, bo rzeczywiście tak było; przez XIV wiek często pojawia się to imię Świętosław, które właśnie być może było początkiem nazwy miejscowości. Kolejny Świętosław to jest jeden z braci biskupa Piotra Szyrzyka. Inny znowu Świętosław był wymieniany w źródłach w 1399 roku, a więc już koniec XIV wieku. Jest jeszcze jeden, kolejny Świętosław. Bo kiedyś był taki zwyczaj, że używano w danej rodzinie wyłącznie takiego niewielkiego zasobu imion. W kółko więc powtarzały się określone imiona. No i ten Świętosław rzeczywiście tutaj często występował. Kolejny Świętosław podpisał w 1420 roku dokument dla klasztoru Cystersów w pobliskiej Koprzywnicy. No więc też musiał już zajmować jakąś pozycję, zresztą Piotr Szyrzyk tę pozycję rodziny budował. Jeden ze Świętosławów był proboszczem w Koniemłotach. A Sichów Duży cały czas należy właśnie do parafii w Koniemłotach. Więc rzeczywiście związki są z tą rodziną bardzo mocne i interesujące.

Doktor Cezary Jastrzębski już sporo dziś powiedział o tym pierwszym rodzie, który zarządził obecnym Sichowem, ale można wnioskować, że te rządy się skończyły. Co zatem było potem?

W naszym regionie mamy niewiele miejscowości, w przypadku których moglibyśmy powiedzieć, że jedna rodzina była jej właścicielem od średniowiecza aż do czasów niemalże nam współczesnych. Większość to oczywiście osady, które przechodziły z rąk do rąk jak Sichów. Pani Alicja Gil pisała pod moim kierunkiem pracę licencjacką i na jej podstawie opublikowała książkę *Sichów Duży wczoraj i dziś*.

Zebrała różne informacje np. że kobiety wносиły w swoim posagu Sichów kolejnym rodowi. I tak właśnie było na początku XV w., kiedy to jeszcze Doliwowie tutaj panowali, bo m.in. Jan Szyrzyk z Fałkowa (tak się pisał) był właścicielem zamku w Rytwianach, całych wielkich dóbr Fałkowskich, ale też posiadał zarówno Sichów Duży, jak i Sichów Mały. Jego córka Dobrochna odziedziczyła Sichów Duży i wniosła go po raz pierwszy do innej rodziny. Nie było męskich potomków. Wyszła za mąż za Wincentego Giżyckiego herbu Gozdawa z Giżyc. Wincenty Giżycki pełnił ważne urzędy, bo m.in. był marszałkiem książąt mazowieckich w Czersku i w Warszawie. Dla Sichowa zaczął się okres trudniejszy po śmierci Dobrochny. Na zasadzie zakupu Sichów stał się własnością Jana Rytwiańskiego, czyli krewnego biskupa Wojciecha Jastrzębca, który przyjął nazwisko Rytwiański właśnie od Rytwian, które jeszcze długo nie były tak ważne, mimo że był tam zamek i mówiono: dobra rytwiańskie, to jednak nie było jeszcze przecież pałacu w Rytwianach, tylko zamek i folwark. Ważniejsze były często Łubnice, tam był wielki pałac. Sichów odgrywał dużą rolę wśród tych wiosek, które wchodziły w skład tzw. dóbr rytwiańskich. Rodzina Rytwiańskich władała Sichowem przez pewien czas, my wiemy, że m.in. Ewa wywodząca się z Rytwiańskich w 1510 roku występuje jako właścicielka Sichowa i wiemy, że ona była wdową po Mikołaju Kurozweckim, czyli wiadomo, że rodzina z Kurozwek też władała Sichowem, chociaż oczywiście często zapisywano, że Ewa z Rytwiańskich była jego właścicielką do swojej śmierci.

Kurozweccy zaczęli odgrywać tutaj ważną rolę. Właścicielem Rytwian był syn Ewy i Mikołaja, czyli Adam Kurozwecki, a po jego śmierci Sichów należał do jego córki, Anny z Kurozweckich, która przez długi czas samodzielnie gospodarowała w Sichowie, majątku, jaki otrzymała jako ojcowiznę i wtedy też zapewne zmieniły się nieco stosunki gospodarcze w samej miejscowości, bo zapewne Ewa z Kurozweckich doprowadziła do tego, że wioskę zorganizowano na prawie niemieckim. Wprowadzono pewnego rodzaju samorządność. Prawo niemieckie przyczyniało się do lepszego i szybszego rozwoju miejscowości. Anna z Kurozweckich wyszła za mąż za Hieronima Łaskiego i wniosła Sichów Duży w posagu. Natomiast jak mówimy o kwestiach gospodarczych, to właśnie za czasów Hieronima Łaskiego okazało się, że nie

jest tak łatwo gospodarować jak wcześniej i rodzina Łaskich oddała Sichów w zastaw. Andrzej z Tęczyna, wojewoda sandomierski, przejął te dobra. Potem Łascy wykupili majątek, ale widać wyraźnie, że pojawiły się jakieś problemy, jeśli chodzi o kwestie własnościowe i gospodarowania się.

No właśnie, czy coś wiemy o gospodarce, bo wcześniej wspominaliśmy, że Sichów był dochodowym miejscem i z tego między innymi wynikała ta jego istotna, ważna pozycja.

W XV wieku Sichów był gospodarstwem sołtysim. Czyli lokacja na prawie niemieckim doprowadziła do tego, że sołtys tutaj w imieniu właściciela zarządzał i określono pewne warunki dotyczące funkcjonowania miejscowości. Wiemy, że na początku XVI wieku w Sichowie była jedna karczma, były dwa łany kmiece, potem pojawiły się trzy łany kmiece, było dwanaście gospodarstw kmiecych, czyli widać, że tutaj zaczęła się sytuacja zmieniać na korzyść, widzimy rozwój Sichowa, co oczywiście było związane z dużą wymianą towarową, w przypadku której największe znaczenie miał pobliski Połaniec. My dzisiaj Połaniec trochę inaczej postrzegamy, ale on w dziejach odgrywał wielką rolę. Jego powiązanie z rynkiem krakowskim było niezwykle ważne dla rozwoju Sichowa. Wiemy, że z Krakowa sprowadzano m.in. śledzie, sukno, a w drugą stronę też to wszystko działało, dlatego wymiana towarowa odgrywała dużą rolę.

Ale...?

Od razu też powiedzmy, że z czasem w XVI, a później w XVII wieku ta sytuacja zaczęła ulegać zmianie na korzyść Sandomierza. Rozwijający się handel związany z flisem, czyli spławianiem towarów Wisłą i słynny problem pszenicy sandomierskiej, z której korzystała cała Europa, spowodowały, że Sichów zwrócił się gospodarczo w stronę Sandomierza. Korzystał z tego, że zarówno płody rolne, jak i płody leśne spławiano Wisłą do Gdańska, a potem dalej do Europy. I wtedy zapewne też, z czasów Łaskich, bierze początek duży folwark w Sichowie. Zaczęto się powoli z kwestii, które dotyczą rozwoju w oparciu o gospodarstwo sołtysie, wycofywać, a folwark funkcjonował już jako ważny element zarządzania przez właścicieli. W tym miejscu, gdzie dzisiaj istnieje założenie pałacowe, na pewno istniał dwór folwarczny, który z czasem zaczęto nazywać pałacem.

Analizując historię Sichowa i mówiąc o poszczególnych rodach, które zarządzały tym majątkiem, zwracaliśmy również uwagę, i dr Cezary Jastrzębski o tym mówił, że były te okresy lepsze i gorsze. Gdybyśmy mieli ocenić ten, o którym mówiliśmy przed chwilą, to do której grupy on by się zaliczył?

Raczej to był trudny okres w dziejach Sichowa. Łascy musieli zastawić Sichów, mieli kłopoty finansowe, a nawet jeśli popatrzymy na samą historię miejscowości, to mamy różnego rodzaju problemy w tym właśnie XVI wieku. W 1546 roku jako właścicielka Sichowa występowała Dorota Sichowska. Zwróćmy uwagę na to, że często w ramach jakiejś rodziny gałąź rodu przyjmowała nazwisko od głównej miejscowości należącej do tej gałęzi, po to, żeby odróżnić się od reszty rodu, bo było pełno np. osób, które nosiły te same imiona, więc przyjmowano nazwiska od posiadłości. Okazuje się, że w przypadku Sichowa też tak było, skoro właśnie w źródłach zapisana jest Dorota Sichowska. Ale jednocześnie występuje w tym czasie Stanisław zapisywany jako Świchowski (z przydomkiem Kula), czyli jeszcze Świchów, ta nazwa dawna odgrywała znaczenie. A więc Stanisław Świchowski-Kula miał wtedy uprawiać pół łanu, miał też jeden ogród. W XVI wieku nastał trudny okres, przy czym potem możemy mówić o wspaniałych okresach w dziejach tej miejscowości.

Niewiele jest wsi czy miejsc o tak bogatej historii jak Sichów Duży. I wydaje się, że to, o czym powiedzieliśmy do tej pory, jest potwierdzeniem tych słów.

Dokładnie tak, tym bardziej że potem pojawiają się w dziejach Sichowa kolejne wspaniałe rody, kolejne inicjatywy, które powodują, że dzisiejszy obraz tej miejscowości niesie ze sobą bardzo interesujące wątki, o których warto pamiętać.

Czyli jeżeli jeszcze na moment wróciłibyśmy do stwierdzenia o bogatej historii Sichowa i powiedzielibyśmy, że... jest to perełka w naszym regionie, to na tym etapie, do którego już doszliśmy, ta perła jest już piękna, błyszcząca? Czy piękna, błyszcząca dopiero się stanie?

Moim zdaniem każda miejscowość jest piękna, nawet jeśli nie ma jakiegoś wielkiego znaczenia. I w

przypadku Sichowa też tak jest, że na przykładzie tej miejscowości możemy o wspaniałych dziejach i wspaniałych historiach snuć opowieści właściwie bez końca.

Czyli dziś dziękujemy Państwu za spotkanie i zapraszamy jednocześnie na następne, mając

nadzieję, że ta dzisiejsza opowieść tylko rozbudziła u Państwa ciekawość i zainteresowanie losami Sichowa Dużego. I do tych losów, do tej opowieści wrócimy w następnej Mocy Historii. Dziś już dziękujemy Państwu za to spotkanie.

Program zrealizował Tomasz Tamborski



Dwór w Sichowie Dużym Fot. Wikipedia



Grupa literatów z Kieleckiego Oddziału ZLP zorganizowała weekend artystyczny w gościnnych wnętrzach biblioteki sichowskiego dworu

Oceniła ich historia

W życiorysie wielkich ludzi – pisarzy, poetów, filozofów nierzadko przeczytać można, że twórczość ich w czasach, w których żyli i tworzyli, była lekceważona i niedoceniana, a niekiedy nawet wyśmiana. Wielu z nich dokonało żywota w przytułkach dla ubogich, w szpitalach dla obłąkanych, w więzieniu, na stosie lub nawet zginęło bez wieści.

Dopiero następne pokolenia właściwie oceniły wielkość dzieł, które ludzie ci tworzyli. Przykładem tego niech będą nazwiska znane wszystkim z historii i literatury.

*

Defoe, autor *Robinsona Cruzoe* skazany został w 1708 r. na więzienie za artykuł satyryczny. Całą dobę stał na placu pod pręgierzem. Przechodnie musieli na niego pluć. Defoe miał wówczas 42 lata.

*

Autor *Don Kichota* Cervantes – jak wiadomo – wpadł w ręce piratów i został sprzedany w niewolę do Algieru. Tam odrąbano mu lewą rękę. Został jednak wykupiony przez krewnych. Przez ostatnie lata życia był poborcą podatkowym. Umarł w nędzy w 1616 roku.

*

W 1830 roku prasa rosyjska pisała o *Eugeniuszu Onieginie* Puszkina: „Płocha i lekkomyślna parodia życia. Bańki mydlane cudacznej wyobraźni. Jego talent słabnie”.

A w ogóle o twórczości Puszkina pisano wówczas: „Ani jednej myśli, ani jednego uczucia, żadnego obrazu godnego spojrzenia. Dokonał się upadek”.

*

Co np. pisali o Gogolu jego współcześni:

M.A. Polewoj o *Martwych duszach*: „Zacznijmy od treści – co za ubóstwo.

Pismo „Pszczola Północy”: „Wiele się spodziewano po Gogolu. Ale on w końcu spłodził nędzne *Martwe dusze*.”

*

Kiedy Wolter wyszydzał pychę księcia Rohan, ten kazał swoim lokajom obić go za to. Polecenie zostało wykonane, Wolter wyzwiał księcia na pojedynkę. Książę wyzwanie odrzucił, bo Wolter nie był szlachcicem.

*

Znakomity filozof włoski Giordano Bruno został spalony na stosie za „herezję”.

*

Postępowy pisarz Czernyszewski po dwóch latach pobytu w więzieniu skazany został na czternaście lat ciężkich robót w kopalni.

*

Poeta hiszpański Serran de Cresto przesiedział dziesięć lat w więzieniu za wiersze satyryczne i wolnościowe. Trybunał inkwizycji zmusił go, by był obecny przy straceniu swojego syna, którego udużono i spalono na stosie.

*

O śmierci Lermontowa, zesłanego na Kaukaz, Mikołaj I powiedział: „Psu – psia śmierć”.

*

Dramaturg hiszpański Antonio Silva został spalony na stosie 19 października 1739 roku. Tego samego dnia wystawiono w teatrze jego sztukę *Śmierć Faetona*.

*

Rousseau za książkę *Fanil* skazany został na więzienie. Uciekł do Anglii.

*

Lew Tołstoj był wyklęty. Raz do roku we wszystkich cerkwiach uroczyście rzucano anatemę na trzy postaci: Mazepę, Griszkę Otriepiewa i wielkiego pisarza rosyjskiego.

*

Beaumarchais po przedstawieniu jego komedii *Wesele Figara* został aresztowany i wtrącony do więzienia. Rozkaz jego aresztowania napisał Ludwik XVI podczas gry w karty na siódemce pik.

*

Poetę włoskiego Torquato Tasso książę d’Esto bez żadnego przewinienia przetrzymywał siedem lat w więzieniu.

*

Filozof włoski Campanella pisze: „Ostatnim razem moja tortura trwała czterdzieści godzin. Mocno przywiązany sznurami, które miażdżyły mi kości, byłem zawieszony nad ostrym palem i straciłem dwadzieścia funtów krwi. Cudem ocalałem”. W nauce swojej Campanella głosił wspólnotę majątku.

*

Niełatwe życie mieli filozofowie i pisarze starożytni. Kilkuset marynarzy i handlarzy ateńskich rozpatrywało sprawę Sokratesa. Skazali go na śmierć za jego błędne poglądy filozoficzne.

W 100-lecie urodzin Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Jan Cichocki

Świętokrzyski Plener Literacki (15–18.05.2019)

Związek Literatów Polskich aktywnie włączył się w obchody Roku Gustawa Herlinga-Grudzińskiego – zorganizowane przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną im. W. Gombrowicza i Stowarzyszenie Absolwentów LO im. Stefana Żeromskiego w Kielcach „Żeromszczacy” – przygotowując arcyciekawą i bogaty program spotkań literackich powiązanych z jubileuszem pisarza w ramach pleneru na Żeromszczyźnie (15–18 maja br.).

Fascynująca była wycieczka śladami Gustawa Herlinga-Grudzińskiego od kieleckiej kamienicy na ulicy Sienkiewicza 52, w której pisarz miał się urodzić – ten adres jako miejsce narodzin wymieniał sam Herling-Grudziński, i w której zamieszkiwał jakiś czas na stacji w czasie nauki w gimnazjum, przez Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego (dawne gimnazjum męskie, do którego młody Gustaw uczęszczał) i pozostałe miejsca, gdzie znajdowały się dawne kina, sklepy, place bazarowe – tak czy inaczej związane z rodziną pisarza.

Malownicze świętokrzyskie drogi zawiodły nas do Skrzelczyc, wsi, w której zachowały się jeszcze resztki zabudowań dworskich folwarku, będącym w posiadaniu jego ojca. Są świadkowie, którzy utrzymują, że to właśnie tu, w spolonizowanej rodzinie żydowskiej, przyszedł na świat Gustaw (Gecel), czwarte dziecko Doroty (Dobrysi) z Bryczkowskich i Jakuba (Joska) Herlinga vel Grudzińskiego. W rozmowie nagranej w Neapolu w 1996 r. przez prof. Zdzisława Kudelskiego pisarz tak wspominał to miejsce:

Kiedy się urodziłem, ojciec mój był właścicielem niewielkiego majątku w Skrzelczycach w okolicach Buska, który zawsze potem, w następnych już latach mojego dzieciństwa był przedmiotem opowiadań... o ich jakiejś niezwykłej obfitości. Wszystko tam było jakoby wielkie, ogromne, niezwykłe. Grzyby, przez które nie można było przejść czy przeskoczyć, ryby kilkukilowe. To była legenda, często się o tym mówiło, o tych skrzelczyckich obfitościach i o niezwykłym zupełnie bogactwie tego mająteczku.

Przeczyłoby temu to, że jednak ojciec wkrótce po moim urodzeniu się sprzedał te Skrzelczyce tak wspaniale i zakupił młyn w Suchedniowie, do którego o wiele, o wiele później, krótko przed wojną dobudował mały tartak. I to była baza naszego życia.

Odwiedziliśmy cmentarz żydowski w Bodzentynie, na którym spoczywają prochy rodziców Herlinga-Grudzińskiego. Z inicjatywy miejscowego proboszcza przed dwoma laty rozpoczęto porządkować to miejsce. Okazale prezentuje się brama z metaloplastyki roboty miejscowego mistrza, porządnie ustawiono zachowane macewy... Niestety, jak dotąd nie udało się ustalić miejsc pochówku małżonków.

Po drodze była Święta Katarzyna z przyklasztornym kościółkiem, w którego ołtarzu można kontemplować niecodzienne przedstawienie Ukrzyżowania, noszące wyraźne ślady włoskiego romantyzmu. Niejeden to przykład związków kulturalnych Świętokrzyszczyny ze sztuką Italii. Nieopodal klasztoru benedyktynek, na skraju puszczy stoi XIX-wieczna kapliczka cmentarna, powszechnie nazywana kapliczką Żeromskiego. Na jej wewnętrznej ścianie można odczytać wyryte podpisy Stefana Żeromskiego i jego szkolnego kolegi Janka Stróżeckiego.

Końcowym etapem wycieczki był Suchedniów i młyn Herlingów, przebudowany obecnie na okazały hotel. W stylowej salce w podziemiu zaprezentowano nam spektakl „Wieczór u Herlinga”. Dopełnieniem wieczoru w Starym Młynie były wspomnienia o znakomitym pisarzu, prowadzone przez dr Irenę Furnal z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, badaczkę twórczości Herlinga i jego związków z Kielecczyną oraz rozmowa z gościem honorowym programu Martą Herling, córką pisarza.

Następnego przedpołudnia sala konferencyjna Wojewódzkiej Biblioteki przypominała raczej aulę uniwersytecką. A to za sprawą dwóch ciekawych wykładów – prof. Zdzisława Kudelskiego (KUL) *Gustaw Herling-Grudziński a „Kultura Paryska”*,

oraz prof. Włodzimierza Boleckiego (IBL PAN) *Edycja krytyczna „Dzieł zebranych” i nowe badania twórczości Herlinga-Grudzińskiego*. Następnie odbyło się spotkanie z Martą Herling prowadzone przez dr hab. Grażynę Maroszczyk, a po nim dyskusja na temat *Gustaw Herling-Grudziński dzisiaj*, w której uczestniczyli córka pisarza, obaj profesorowie i pani Irena Furnal.

Wieczór herlingowskiego dnia należał do grupy teatralnej seniorów z Buska, którzy zaprezentowali przedstawienie *Pielgrzym. Zwierniactwo wieku zniewolenia*.

Kolejną odsłoną programu pleneru były prezentacje książek.

Dr Patrycja Spytek z Uniwersytetu Warszawskiego przedstawiła swój świeżo wydany tom *Inny Świat! Rosja Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*. Bardzo warto z uwagą zapoznać się z tą pracą. Jest to głos – tak niesłyszany i niesłuchany dzisiaj w Polsce – o istnieniu „innej Rosji”, nieznannej, niepopularnej, tuszowanej i przemilczanej przez trzymających władzę – Rosji opozycyjnej, dysydenckiej, podziemnej. Jak pisze autorka:

Rosji, która nie godzi się na zastaną rzeczywistość, a której głos jest wyciszany, zakłócany wręcz przez narzędzia partyjne, czyli terror i zastraszenie. Gustaw Herling-Grudziński nie fascynuje się Związkiem Radzieckim, lecz Rosją, jej wielowiekową tradycją, kulturą, bogatą literaturą, oraz narodem rosyjskim.

W Domu Środowisk Twórczych – Pałacu T. Zielińskiego na Zamkowej odbyła się promocja tomu wywiadów Andrzeja Piskulaka *Od słowa do słowa (Rozmowy o pasjach)*. Wśród kilkunastu rozmów, m.in. z pisarzami znalazł się mądry i głęboko refleksyjny dialog ze Stanisławem Nyczajem, zasłużonym liderem kieleckiego środowiska literackiego.

W Bibliotece Głównej Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach w sposób barwny, z wykorzystaniem nowoczesnych środków prezentacji, Bogusław Wiłkomirski przedstawił swoje książki: *Uzależnienie całkowite, Piekło w dolinie Pandżu, Diabelski kamień i Złotą tetradę*. Autor – profesor zwyczajny doktor habilitowany, chemik, biochemik, biolog, specjalista w zakresie toksykologii środowiska naturalnego, jest nie tylko nauczycielem akademickim wcześniej na Uniwersytecie Warszawskim, a obecnie UJK, ale też wytrawnym globtroterem. Trasy jego dotychczasowych podróży mogłyby opasać świat 17 razy. Nie brakowało w nich momentów grozy i autentycznego zagrożenia życia, jak

na przykład, przy przekraczaniu granicy tadżycko-afgańskiej. W sposób naturalny akcja niektórych jego powieści rozgrywa się w krajach Azji Środkowej, w fikcję literacką wplecione są prawdziwe wydarzenia i rzeczywiste postaci. Temat bardzo poważnych zagrożeń związanych z substancjami o wybitnym działaniu fizjologicznym, dramaturgia zagrożenia bioterroryzmem sprawia, że powieści te mogą iść o lepsze z takimi mistrzami gatunku sensacyjnego, jak Alistair MacLean czy Frederick Forsyth. Warto zaznaczyć, że prof. Wiłkomirski od niedawna jest członkiem ZLP.

Niejako na marginesie, ale to wcale nie równa się marginalności!, toczyły się rozmowy uczestników pleneru na zacisznym „stryszku” urokliwego pensjonatu Leszka Trębacza w Ciekotach u stóp Radostonej, kilkaset metrów od Szklanego Domu i dworku rodzinnego Stefana Żeromskiego. Trzeba przyznać (nie pierwszy przecież raz!), że prezes Nyczaj (walnie wspierany przez uroczą małżonkę Irenkę) wie, jak zachęcić i zgrabnie moderować gorące dysputy. Dziękuję Ci, Staszku!

Cowieczorne „uczty literackie” w Ciekotach bez wątpienia pozostaną w pamięci uczestników herlingowskiego zjazdu na Żeromszczyźnie.

Chciałbym w podsumowaniu mocno zaakcentować ważną okoliczność. Byłem gościem kieleckiego Pleneru Literackiego, przygotowanego przez Oddział ZLP. Nie znaczy to, że nie dostrzegłem, czy, uchowaj Boże!, chciałbym pomniejszyć zaangażowanie i wkład pracy Społecznego Komitetu Obchodów Roku Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i uczestniczących w nim Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Kielcach i Stowarzyszenia Absolwentów Liceum Ogólnokształcącego im. S. Żeromskiego w Kielcach „Żeromszczacy”. To dzięki tym Szacownym Organizacjom i Instytucjom upamiętnienie wielkiego pisarza, kieleckiego rodaka zyskało tak znaczący i interesujący wymiar.

Jan Cichocki



Z wycieczki śladami Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (16.05.2019)

Po miejscach związanych z Pisarzem oprowadzał grupę dr Paweł Grzesik – historyk, przewodnik świętokrzyski

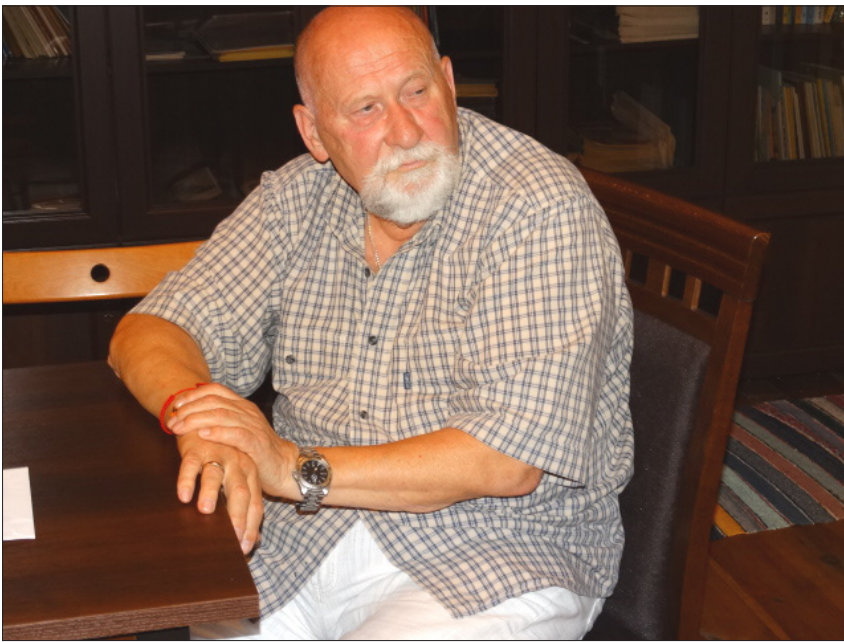


Wśród uczestników niezapomnianej wycieczki – Marta Herling, córka Gustawa (na pierwszym planie z lewej) z zainteresowaniem słucha ciekawego komentarza przewodnika

Powitanie gości w Skrzelczycach



Zdjęcia Paweł Nyczaj



Jan Cichocki zajmująco opowiadał o swoich dokonaniach jako tłumacz gościom zgromadzonym w Dworcu Stefana Żeromskiego w Ciekotach



Małgorzata Siemieniec zapowiada piosenkę dedykowaną Annie i Janowi Cichockim



Stylowe wnętrze Dworcu Stefana Żeromskiego w Ciekotach

Zdjęcia: Kazimierz Ryk

W hołdzie Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu

Teatr S 60+ z Buska-Zdroju zaprezentował spektakl *Pielgrzym. Zwierniactwo wieku zniewolenia* wystawiony w Buskim Samorządowym Centrum Kultury (21.05.2019), powtórzony w Warszawie (1.07.2019). Scenariusz, reżyseria i opracowanie

muzyczne Arkadiusz Szostak. Konsultacja dr Irena Furnal. Kierownik produkcji spektaklu Jarosław Zatorski. Scenografia Maciej Miernik. W roli G. Herlinga-Grudzińskiego wystąpił Zdzisław Skoczylas.

Fot. Piotr Kaleta



Jarosław Zatorski otwiera uroczystość w BSCK, na której zaprezentowany został spektakl *Pielgrzym* przygotowany przez buski Teatr S 60 +



Reżyser Arkadiusz Szostak opowiada o pracy zespołu seniorów nad przygotowaniem spektaklu



Prof. Stanisław Żak i Jan Chruśliński gorąco oklaskują występ buskich artystów



Spektakularny prezent twórców świętokrzyskich dla Warszawy

Dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Gustawa Herlinga-Grudzińskiego w auli stołecznego Domu Literatury zaprezentowany został ciekawy spektakl teatralny: *Pielgrzym – zwierciadło wieku zniewolenia*.

To autorskie dzieło Arkadiusza Szostaka, zarazem reżysera spektaklu, odśłania nie do końca znane fakty z tułaczego i niezbyt szczęśliwego życia znakomitego pisarza i publicysty, pozostającego w frustrującej tęsknicy za ojczyzną aż do końca swoich dni na obczyźnie. Tę Jego usłaną męczeństwem i rozterkami drogę do sławy – w blaskach i cieniach zmiennych nastrojów, realiach neapolitańskiego domu – pokazali ambitni aktorzy-amatorzy Teatru S 60+ działającego od niedawna w Busku-Zdroju. Zagrali niełatwą sztukę ze swadą godną podkreślenia i uznania.

W rolę Gustawa wcielił się Zdzisław Skoczyła, który ekspresją sceniczną zachwyił warszawską publiczność. Żonę Pisarza, Lidię Croce, znakomicie zagrała – utożsamiając się z tą trudną rolą – Teresa Romańska-Faściszewska. Martę, córkę Gustawa, z młodzieńczą werwą i scenicznym wyczuciem zagrała Aleksandra Olszewska, trafnie oddając nastroje panujące w tej nietuzinkowej, wielonarodowościowej rodzinie.

Kolejnymi postaciami tworzącymi niepowtarzalny klimat niezwykłego spektaklu są dziennikarki osaczające swymi zaskakującymi pytaniami Grudzińskiego. Są to: Honorata Głuska, Barbara Kuziel i Halina Marciniak. Ich pytania inspirowane i animowane przez czuwającą niczym cenzor nad całością sekretarkę planu, Bożentynę Pałka-Korubę, wielokrotnie wprowadziły w zakłopotanie zarówno Herlinga, jak i widzów. Szczególne role

w tym spektaklu powierzył autor przybywającym z Polski bliskim – ukochanej siostrze Luchnie, którą z powodzeniem zagrała Barbara Kuziel, a w roli męża Luchny, Mariana, mogliśmy zobaczyć mistrza elegancji Jerzego Palusińskiego. To oni swym przybyciem odmienili nastrój panujący w tym sztywnym, patrycjuszowskim włoskim domu, a wprowadzając „odrobinę Polski” – z jej muzyką, tradycją i potrawami – otworzyli serce i duszę Gustawa na pozostałą rodzinę.

Ten spektakl naprawdę warto było zobaczyć. Dziękowali za jego prezentację licznie przybyli znający się na teatrze warszawscy widzowie, jak i tuży polskiej literatury: prezes sekcji polskiej Stowarzyszenia Kultury Europejskiej Eugeniusz Kabatc (prywatnie przyjaciel Gustawa Herlinga-Grudzińskiego) oraz Marek Wawrzekiewicz – prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.

W imieniu warszawskiej publiczności serdecznie dziękujemy twórcy tego nietuzinkowego spektaklu, Arkadiuszowi Szostakowi, jego wspaniałym aktorom, jak również organizatorowi Stanisławowi Nyczajowi – prezesowi Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Specjalne podziękowania składamy Patronom przedsięwzięcia: Marszałkowi Województwa Świętokrzyskiego; Burmistrzowi miasta Busko-Zdrój; Dyrektorowi Wojewódzkiego Domu Kultury w Kielcach; Prezesowi Rozgłośni Polskiego Radia w Kielcach – Patronowi Medialnemu tego znaczącego wydarzenia kulturalnego.

Warszawa 1.07.2019

Arkadiusz Szostak



Staszowskie Lato Literackie (24–30.06.2019)



Po autograf Jana Lechickiego ustawili się Benedykt Kozieł i Marianna Piotrowska
Fot. Leszek Lisiecki



Emilia Tesz, Anna Zakrzewska, Elżbieta Jach
Fot. Leszek Lisiecki



Spotkanie Barbary Gajewskiej prowadził Stanisław Nyczaj
Fot. Leszek Lisiecki



Prezentacji Joanny Rzodkiewicz towarzyszył wokalnie Leszek Lisiecki



Stefan Jurkowski, Irena i Stanisław Nyczajowie
Fot. Elżbieta Jach



Grupa literatów zwiedziła zamek w Baranowie Sandomierskim

W otwartym dniu

Trzeci dzień ogólnopolskiego pleneru literacko-plastycznego w Staszowie, zorganizowanego przez Oddział Kielecki ZLP, zaowocował ciekawymi zdarzeniami. Wyjazd do miejscowości Kurozwęki, połączony ze zwiedzaniem pałacu i chłodnym napojem pod parasolem w urokliwym, wiekowym parku, wypełnił słoneczne, gorące przedpołudnie. A literacki wieczór, spotkanie z poetą Benedyktem Kozięciem oraz z Leszkiem Lisieckim, fotografikiem z zamiłowania, też poetą oraz Joanną Rzodkiewicz, która to spotkanie prowadziła, opowiedział uczestnikom pleneru, że „Wszystko jest poezją...” (E. Stachura).

W otwartym dniu to tytuł wiersza Benedykta Kozięcia z jego tomiku *Z obłoków z doliny* był jakby mottem spotkania, bowiem wędrowka wierszami poety, deklamowanymi przez Emilię Tesz i Joannę Rzodkiewicz, przenosiła słuchaczy „w prześwity nieba... z bezpiecznego podwórka dzieciństwa w podróż niezapomnianych smaków”. W wierszu *Kalendarz* powiada: „dostałem kalendarz na kolejny rok...” i sam sobie odpowiada w innym wierszu: „w możliwości wyboru odnajduję uświadomioną niepewność”. W tej wędrowce przez życie dostrzega nawet drobiazgi, które wpisane są w drogę życia; pajaka, który pod okapem kuchni rozwiesił swoją stołówkę, kosa, który towarzyszy mu swoim śpiewem, gdy wychodzi z domu i wraca. Są to pozornie drobiazgi, ale dostrzegane poetyckim słowem dnia codziennego. Po powrocie z pleneru sięgnęłam po tomik Benedykta. Zanurzyłam się w słowa, które ujęte w metaforyczne spojrzenia na otaczającą nas rzeczywistość, uświadomiły, że tak jak w tytule tomiku i wiersza, „z obłoków z doliny trzeba iść dalej za najbliższe wzgórze, za lustro rzeki... zgadywać siebie, w nieprzewidywalnym znajdować drogę, która się nie kończy”.

Słuchałam, ale także recytowałam niektóre wiersze Benedykta i patrzyłam na przyrodnicze fotografie Leszka Lisieckiego, jakie ze swoich zbiorów udostępniła nam Joasia Rzodkiewicz. Wkomponowały się te prace delikatnością porannej rosy, barwą motyla, pięknem białego grzybienia w poezję obu autorów. Zafascynowana fotografią Leszka, Joanna czytała wiersze swojego autorstwa o zatrzymanych w kadrze łabędziach, żurawiach i srokach, o ludziach,

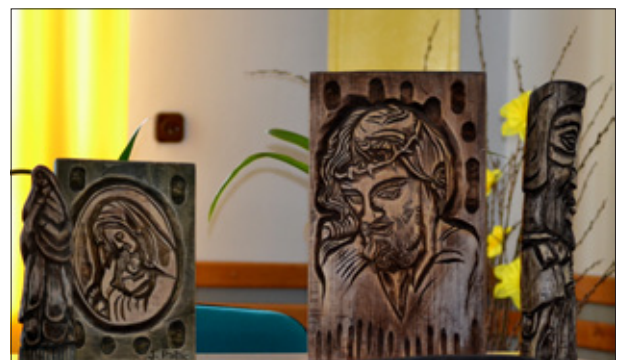
„którzy wciąż konspirują w przekonaniu, że całe niebo należy do nich”.

Spotkanie twórców w Staszowie uświadomiło bogactwo łączenia różnych dziedzin sztuki: poezji, fotografii, malarstwa, rzeźby, muzyki. Leszek Lisiecki gra na gitarze i śpiewa. Próbuje w wierszu rywalizować pogwizdywaniem z koncertem kosa siedzącego na wysokiej sośnie. Nie bardzo mu to wychodzi, więc obiecuje, że następnym razem przyjdzie z gitarą, „wtedy zobaczymy”.

Z tomikiem Leszka Lisieckiego *Nikt nie budzi drzwi*, jego fotografią, z wierszami Joanny Rzodkiewicz oraz wierszami z tomiku *Z obłoków z doliny* Benedykta Kozięcia wybierzmy się w podróż pomiędzy, próbujmy coś zostawić i „zmierzać do celu... cieszyć się drogą”. Dziękując prezesowi ZLP Oddziału Kieleckiego Stanisławowi Nyczajowi za zaproszenie Józefa Pałaca, rzeźbiarza, oraz mnie na ten wyjątkowy plener napiszę słowami wiersza Benedykta Kozięcia: „Wodzony słowami/ uśmiecham się/ do akceptacji/ potencjalnych szans/ kuszą/ obrazy/ realizacji/ spełnienia/ pozostaję/ w niedomówieniu”.



Jadwiga Kupiszewska, Rafał Nowocień, Józef Pałac, Marianna Piotrowska, Mariola Suchojad. Poniżej rzeźby Józefa Pałaca



Poniedziałni plener literacko-plastyczny w Busku-Zdroju (9-15.09.2019)



W gościnnych progach buskiej Miejskiej Biblioteki Publicznej
Zdjęcia Krystyny Koneckiej



Wieczorne spotkania literackie. Od lewej: Emilia Tesz, Danuta Skalska, Irena Nyczaj, Stanisław Nyczaj, Joanna Rzodkiewicz i jej mąż Rafał Nowocię



Spotkanie z literatami z Zarządu Głównego ZLP: tłumaczem Janem Cichockim, Andrzejem Żorem i Markiem Wawrzkiwiczem



Spotkanie z warszawskimi literatami w BSKK uświetniły muzycznie Joanna Babiarcz-Szot z mężem Januszem



Pisarze zwiedzili ciekawe Muzeum Techniki Wojskowej i Obrony Przeciwlotniczej w Busku-Zdroju



Grupa gotowa do wyjazdu na uroczystość wręczenia odznaczeń dla 12. pisarzy z Kieleckiego Oddziału ZLP w KCK



Kielce, 12 września 2019 roku

Pan
Stanisław Nyczaj
Prezes
Związku Literatów Polskich – Oddział w Kielcach

Szanowny Panie Prezencie!

Czym byłby świat bez autorytetów, bohaterów, wieszczów i kanonu najwspanialszych narodowych dzieł...? Przegląda się w nich nasza historia, a tożsamość znaczonej dziejami przeszłości jest dla nas nieustanną lekcją patriotyzmu.

Serdecznie dziękuję za zaproszenie na spotkanie jubileuszowe z okazji 35-lecia kieleckiego oddziału Związku Literatów Polskich. Jestem pod ogromnym wrażeniem Państwa dotychczasowych osiągnięć. Dzięki wielkiemu zaangażowaniu i poświęceniu, Oddział należy do największych i najaktywniejszych w kraju. Cieszę się, że tak wielu utalentowanych ludzi w naszej „Krainie Świętokrzyskiej” znalazło tu swój azyl i może rozwijać wyjątkowe umiejętności. Tworząc dzieła pozwalacie zachować to, co najcenniejsze w ojczystej historii, kulturze, przyrodzie i tym, co nas otacza. A to wartość bezcenna. Dlatego proszę przyjąć wyrazy głębokiego uznania za te wszystkie lata działalności, za niespotykany dar dostrzegania w naszej rzeczywistości, tego co niezwykle i ważne a także za umiejętność i odwagę utrwalania tych chwil dla nas i dla przyszłych pokoleń.

Przesyłam życzenia powodzenia w realizacji kolejnych planów twórczych. Niech najbliższe lata przyniosą dalsze, wspaniałe sukcesy.

Jednocześnie z całego serca życzę Państwu pogody ducha i uśmiechu na co dzień, a w życiu osobistym — zdrowia, szczęścia i spełnienia marzeń.

Z poważaniem

Andrzej Bętkowski

Andrzej Bętkowski
Marszałek Województwa Świętokrzyskiego



Pan Stanisław Nyczaj
Prezes
Związku Literatów Polskich
Oddział w Kielcach

Szanowny Panie

Z okazji Jubileuszu 35-lecia Związku Literatów Polskich w imieniu Rady Miasta Kielce i mieszkańców Kielc, składam Państwu serdeczne gratulacje i wyrazy uznania.

Literatura jest źródłem naszej wolności i niezależnego myślenia. Pobudzają kreatywność i tworzą potencjał twórczy. Rozbudzają wyobraźnię, pozwalają zrozumieć świat.

W tym szczególnym dniu Jubileuszu, chciałbym serdecznie podziękować za bogaty wkład w życie kulturalne naszego miasta. Jestem przekonany, że w przyszłości, z równym jak dotychczas powodzeniem, będą Państwo realizowali działania na rzecz rozwoju literatury i edukacji. Dziękuję za niezwykle zaangażowanie i dotychczasową, owocną współpracę, życząc jednocześnie dalszych sukcesów oraz wszelkiej pomyślności.

Z szacunkiem i uznaniem,

Kamił Suchoński

Przewodniczący Rady Miasta Kielce

Kielce, dnia 11 września 2019 r.



Warszawski Klub Przyjaciół Ziemi Kieleckiej



*Zarząd Warszawskiego Klubu Przyjaciół Ziemi Kieleckiej
uznaje*

STANISŁAWA NYCZAJA
*ZNAKOMITEGO POETĘ, ESEISTĘ, SATYRYKA I EDYTORA
PREZESA KIELECKIEGO ODDZIAŁU
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH*

*Za wybitne osiągnięcia w działalności na rzecz popularyzacji piękna
poezji świętokrzyskiej oraz promocji Ziemi Świętokrzyskiej*

PRZYJACIELEM ZIEMI ŚWIĘTOKRZYSKIEJ

Prezes WKPZK

*Wiesław Osuchowski
Ambasador ad personam*

Warszawa, 12 września 2019



*Pan Stanisław Nyczaj
Prezes Kieleckiego Oddziału
Związku Literatów Polskich.*

Szanowny Panie Prezesie!

Z okazji wspaniałego jubileuszu 35-lecia istnienia Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich, na Pana ręce składam serdeczne życzenia wszystkim ludziom pióra Kielc i naszego regionu. Środowisko pisarzy Kielecczyny z powodzeniem czerpie z bogatej twórczej tradycji swoich poprzedników: Żeromskiego, Dygasińskiego, Herlinga-Grudzińskiego i innych. Ale pamiętacie też o początkujących talentach przygarniając Ich do działającego przy Związku Koła Młodych Pisarzy. Nie do przecenienia jest Państwa działalność proedytorska, bo czymże by była literatura, która nie trafiałaby do rąk czytelników...

Wojewódzki Dom Kultury w Kielcach zawsze był otwarty na różne formy współpracy ze środowiskiem literackim. W naszej siedzibie odbywały się niezliczone spotkania autorskie, promocje książek i tomików poezji. Pisarze byli i będą zawsze miłymi i cenionymi gośćmi naszej Placówki.

Jeszcze raz życzę wielu dalszych lat twórczej działalności!

DYREKTOR
Wojewódzkiego Domu Kultury
im. J. Piłsudskiego w Kielcach
J. Machnicki
mgr Jarosław Machnicki

Kielce, 12 września 2019 r.

Zaszczytne odznaczenia dla świętokrzyskich literatów z okazji 35-lecia Kieleckiego Oddziału ZLP (Kieleckie Centrum Kultury, 12.09.2019)



Wicewojewoda Bartłomiej Dorywalski dekoruje Annę Błachucką Złotym Krzyżem Zasługi Fot. Jarosław Kubalski



Anna Błachucka przyjmuje gratulacje od burmistrza Małogoszcza Mariusza Piotrowskiego Fot. Krystyna Konecka



Prezes Zarządu Głównego ZLP Marek Wawrzkiwicz, radny Sejmiku WŚ Grzegorz Gałuszka i wicewojewoda Bartłomiej Dorywalski dekorowali Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” kieleckich literatów: Joannę Babiarsz-Szot...



...Krystynę Cel Fot. Elżbieta Jach



...Beatę Kępińską Fot. Jarosław Kubalski



...Irenę Paździerz Fot. Jarosław Kubalski



...Irenę Żukowską-Rumin Fot. Jarosław Kubalski

Odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” otrzymali:



Jan Chruśliński Fot. Elżbieta Jach



Joanna Rzodkiewicz Fot. Jarosław Kubalski



Kazimiera Szczykutowicz Fot. Jarosław Kubalski



Maria Włodno Fot. Elżbieta Jach



Anna Zielińska-Brudek



Iwona Zielińska-Zamora Fot. Jarosław Kubalski

Odświeżenie pomnika-stoliczka Leopolda Kozłowskiego-Kleinmana w Busku-Zdroju (14.09.2019)



Jarosław Zatorski – pomysłodawca pomnika Leopolda Kozłowskiego, organizator Spotkań z Kulturą Żydowską rozmawia z autorem pomnika – kieleckim artystą rzeźbiarzem Sławomirem Mickim



Marta Kozłowska-Woźniak, córka artysty, odświeżania pomnik Ojca, w czym aktywnie pomaga jej burmistrz Buska-Zdroju Waldemar Sikora



Marta Kozłowska-Woźniak ze wzruszeniem wspomina Ojca – pianistę, kompozytora, dyrygenta, wybitnego klezmera, ale też Tatę – czulego i kochającego najbliższego przyjaciela



Agata Zatorska pięknie wykonanie piosenki zadedykowała pamięci Leopolda Kozłowskiego, silnie związanego z Buskiem-Zdrojem



Burmistrz Waldemar Sikora wśród gości uroczystości, m.in. literatów – uczestników poniedziałkowego pleneru



Wśród zgromadzonych Izabela i Jan Chruślińscy. Obok utalentowana wokalistka Agata Zatorska Zdjęcia: Piotr Kaleta

Nadmorskie Spotkania Literackie – Międzywodzie (18–28.08.2019)



Autorskim prezentacją towarzyszy wokalistka
Małgorzata Siemieniec



Prezentacja Julii Pawlickiej-Dekert. Poniżej z przyjacielem
Jerzym Wróblewskim



Tradycyjne spotkanie w Miejskiej Bibliotece w Kołobrzegu



Fot. Zofia Walas



Zdjęcia Julii Pawlickiej-Dekert

PREZENTACJA PISARZY UHONOROWANYCH Z OKAZJI 35-LECIA KIELECKIEGO ODDZIAŁU ZLP

Joanna Babiarz-Szot

cierpliwie i łagodnie
odpowiadać na nudne pytania
na głupie nic nie mówić

przetrawianie

rozpaczam kolejną walkę

wyostrzam słuch

każde drgnienie
ruch powietrza
przesunięcie źrenic
może spowodować
efekt motyla

za późno będzie
na czułe słówka

nastąpi piękny
koniec świata

milczenie

kwitnie we mnie
tysiącem słów szeptanych

oplata wewnątrz
wdziera się pod skórę
tętni

i tak bezgłośnie
krzyczę
z nadzieją że może teraz
zrozumiesz

ocalić resztki

przed głupcami
należy pochylić głowę

przed łaknącymi
krwi
zatrzasnąć bramę

powtarzać zaklęcia
skrzyżować ręce
i uśmiechać się cicho

do wewnątrz

obcowanie

czasem jest mi obcy
mój adres
mój rysopis
mój dom
i to co wokół

dziwię się więc
skąd ta znajoma twarz
ktoś mnie woła
ktoś otwiera drzwi
i tego kogoś
nie ma w środku

a ja
co ja tu robię
co ja tu jeszcze robię
co ja tu jeszcze
co ja tu
co ja
co

cisza

Wiersze z tomu *porastanie*, Wydawnictwo SIGNO,
Kraków 2019, s. 104.

Żółw

spójrzcie na żółwia
tylko on nas przeżyje
jego powolność zobowiązuje

może gdybyśmy tak
nie pędzili
bez pośpiechu
powoli i rozważnie
z namysłem
sięgali po życie
smakowali
jak wykwintną potrawę

może powinniśmy
nie patrzeć za siebie
zapomnieć urazy
wymazać wrogość wobec

spójrzcie na żółwia
tylko on nas przeżyje
nawet o tym nie wie
nie martwi go własna
ani cudza śmierć
przeszłość ani przyszłość

instynktownie idzie
zawsze do przodu

**Czerwona hulajnoga**

Gdy przyjdzie starość
na pewno zdziecinnieję
oddadzą mnie
do ostatniego przedszkola
gdzie będą
za mnie myśleć

po korytarzach
będziemy jeździć
na wózkach i łózkach

zabawimy się w teatr
ona będzie Julią
trzymaną przez balkonik
a ja romantycznym Romeem
podpierającym się
złamanym życiorysem

wieczorem przyjdzie
cycata pielęgniarka
zmienić pampersa

będę udawał
oschłego

kiedy wszyscy
już zasną
ukradnę
czerwoną hulajnogę
i pojedę

pod prąd

Utworky nagrodzone w Turnieju Jednego Wiersza na
Jurajskiej Jesieni Poezji w Złotym Potoku.

Bo to za mało wolnym się urodzić,
sztuką jest jako wolny człek – odchodzić.

To już 35 lat?

Tak! Już 35 lat tej doli
w której aż tyle wspólnych niedoli...
Tyle wieczorów z wspólną nadzieją,
że czasy samo dobro posieją.

Ile zapomnieć, ile wybaczyć
trzeba, ażeby nie tkwić w rozpacz,
ile odświeżeń barw uczuć tęczy
trzeba, ażeby czas nie zadręczył.

Silni tak pięknym jubileuszem
w prostocie myśli w ozdobie wzruszeń,
składajcie dalej boskim zrządzeniem,
Literatury Polskiej istnienie.

Dumni słów prostych i zdań trwałością
bogaci książek swoich ilością,
zacni dobrocią – taką na co dzień
życie dopóki twórczość na chodzie.

Z dużych osiągnięć i kroczków małych
wykwitł nam NYCZAJ PIERWSZY WYTRWAŁY.
I współ-wzespół IRENA PIERWSZA
świetnie wpisuje się w strofę wiersza.

Rozmyślania

Tryptyk

Inspiracja postacią Marka Edelmana

I
W kompletnym menu lodówki pękatej
spełniamy wszelkie zachcianki łakomstwa.
W miękkościach sofy, kanapy puchatej
rozleniwiamy wszystkie ścięgnięta męstwa.

Łatwość jest zawsze nieco podejrzana;
rozkosz, wygoda szczere chęci kruszy.
Inteligencji powierzchownej banał
raczej nie wzniesie myśli na szczyt duszy.

Wolność jest światłem dla naszego ducha.
Czy taką wartość da się skonstruować
wtedy, gdy ciała jedynie się słucha,
gdy już zaczęła nuda urzędować?

II

Za obcą myślą, za cudzym rozkazem
mądrość jęlczeje, czucie gnębi nieżył.
Niełatwo w zgodzie z wewnętrznym nakazem,
według własnego zdania życie mierzyć.

Ile sił trzeba, by lęk swój przegonić
i wzniesić się ponad możliwe podziały,
ponad głos „ważnych”, poza zasięg broni,
wzdłuż trudnych ścieżek dalekich od chwały.

A kiedy przerwie się nic tego życia,
w substancji pracy i czystej miłości,
każdy dokona wielkiego odkrycia;
policzy, ile brał i dał wolności.

Linia wolności jest jak – izofota,
łączy błysk dobra w myślących istotach.

III

Jak taką postać, taką osobowość
chwycić w sieć pojęć logiką stworzonych?
Na jaką wielkość, na jaką świadomość
jest czas wojenny zbrodnią naznaczony?

Gdy głodny człowiek rabuje głodnego,
trudno po ludzku działać czy świat leczyć.
I kłamać przyszło, by chronić bliźniego,
zło czynić przyszło, by gorsze niweczyć.

Wśród egzekucji, eksów¹⁾, sprzeniewierzeń,
jedną komendą obsługiwał siebie.
Zawsze chciał „Robić coś w najlepszej wierze”,
gdy upodlony człowiek był w potrzebie.

Jak sprawić, aby pospolita szelma
choćby drgnęła, gdy słyszy – Edelman?

¹⁾ Akcje konfiskowania majątku bogatszym mieszkańcom getta.

π -WOSZ

Po pierwszym piwku jesteś weselszy,
po drugim, w czynach i słowie śmielszy.
Po trzecim humor łatwo przychodzi.
Po czwartym kuflu jesteś jak młodzik,
mógłbyś wnet gorzką wódeczkę „słodzić”!
Po piątym jasnym ciemność masz w głowie,

po szóstym piwie – co wiesz, to powiesz.
Po siódmym pełnym jeszcze flirtujesz,
po ósmym pełnym świat ci wiruje...
A po dziewiątym, gdy blisko łożę
nawet swą główkę donieść tam możesz.
Zasypiasz błogo, myśl twa wybywa
na polsko-czeskie mieszanie piwa.
Gdzieś tam dziesiąte piweczko z pianką
czeka na ciebie już o poranku,
takie pełniutki, takie kuszące
i takie jasne jak ranne słońce.

π -wiara

Komplement π -fana
Ty jesteś jak π -cudnie niewymierna,
stała, przestępna, Rzeczywistym wierna.
Bardziej niż π -wo jesteś mi radością,
w twych π -wnych oczach tonę z przyjemnością,
a twoje π -egi na lic różowości
liczyłbym chętnie do nieskończoności.

Sonet z π -kotką

Wielka sensacja! Już węższą π -sarzel!
Serca podpala uroczy π -Roman,
krew w lodowatej zawrzała π -Sarze,
lecz na tym nie chce poprzestać π -roman.

Z Basieńką na noc skrył się do π -rogi,
Martynę w lutym zabrał na π -sanki,
z Klaudią przyprawiał mężowi π -rogi
z Kasią malował świąteczne π -sanki.

U wielu siadał chętnie przy π -stole,
przywoził w darze piwo i π -stacje,
badał, gdzie dama ukrywa π -stole

i brał! Ślad kryły rozliczne π -stacje.
Gdy go koła Jola, woda, π -anka
– wpadł! – gdyż tam wpadła przebiegła π -Anka.

Z cyklu *Erotyki*

Zapach kobiety

...a była taka miękka
jak w lipcu leśny mech,

pachniała wonnym zieleń
aż zapierało dech!
Oniemiałem, odrętwiałem
i mój anioł stróż!
Wzrokiem słowa wypalałem
– ciebie chcę i już!

Coś zadrzało we mnie, świat wirował!
W tańcu goniliśmy wiatr!
I już żadnej obok nie widziałem,
opustoszał z kobiet świat.

...i sama przyszła rankiem
pachniała trawą z łąk.
Rozmowa się zaczęła
szczebiotem czterech rąk.
Co wyrzekłem, co przyrzekłem
pojmowała w lot,
zawijając ciała, myśli
w najpiękniejszy splot.

A co potem było nie wypowiem
bo brakuje na to słów,
jak tonąłem, jak chłonałem zapach
wonných ziół i leśnych mchów.

Nagośnia

Na gałęziach zbliżeń
trelowałaś ptaśnie,
konary mych pragnień
mrucały chrumaśnie.

Twoje niecierpiące
zwłoki – okrzykniki,
wwiadły nas cudownie
w marzeń wymyślniki.

Szaleńczo, namiętne
ptaśnie i chrumaśnie,
bliżej, coraz bliżej,
rozkosznie przeciaśnie...

W ciał i dusz scaleniu
do granic nagośni,
syciliśmy sobą
krajnę błogośni.

Anna Błachucka

Powszedni taniec

Jestem już
mój zwyczajny dniu
podaj mi rękę i zaproś
do powszedniego tańca

i niepotrzebnie nie przyspieszaj
ani zanadto nie spowalniaj
bym rytmu nie zgubiła
i dotrzymała ci kroku
aż do słońca zachodu

i nie pozwól by zwiódł mnie
jakiś piruet szalony
o zawrót głowy przyprawił
i na twoim parkiecie
samą zostawił

wszak jestem tylko
tancerką dnia powszedniego

Szczęście

I tak mam szczęście
gdy tracę grunt pod stopami
ziemia rozstępuje się powoli

siłą życiowego pędu
przewyciężam strach
i z niemałym trudem
dźwigam się na powierzchnię

i stoję tak przez chwilę
cała rozedrgana do głębi poruszona
jak ta osypująca się ziemia

jeszcze nie mogę uwierzyć
że ten znany mi grunt
po którym tak pewnie stapałam
okazał się wiotki i kruchy

Wolność myśli

Nie mogę utrzymać w ryzach
własnych myśli

natrętne nie znają już
skromności ani pokory
narzucają się na siłę
wykrzykują te swoje postulaty
tworząc zamęt i chaos

czy to już pierwsze
oznaki buntu

co zrobię gdy
wypowiedzą mi posłuszeństwo
nie mam takiej władzy
by kłutwą je obłożyć
ani takiej siły
by w zarodku zdusić
niepokorne

czy będę zmuszona dać im
tę ich upragnioną wolność

Wieczność

Gdy świat przestał się o mnie troszczyć
nieustępliwa Wieczność
zgłosiła się pierwsza
i widząc moją bezradność
zaoferowała swe usługi

najpierw chwając siebie i wszystkie
swoje rajskie konotacje
spróbowała obrzydzić mi
te moje ziemskie przyzwyczajenia
według niej splunięcia niewarte

ale widząc że tak uparcie się chwytam
to słońca promieni
to gałęzi drzew
to kropel deszczu
nawet i schodów poręczy

zmarkotniała nagle
i głęboko zamyślona
odeszła

Tęsknota

Znużona długim oczekiwaniem
przecięła na przekór sobie
wszystkie napowietrzne łącza

zatrzymane w pół drogi
wytęsknione słowa
rozżaliły się na dobre

głośno zawodząc
i przenikliwie jęcząc
zwabiły przelotne ptaki

lekko przysiadły na ich skrzydłach
i niesione wiatrem
poderwały się do lotu

zdumiona ich siłą tęsknota
odżyła na nowo

Poeta i krytyk

Aż boi się własnych słów
jakby stał przed surowym sędzią
plącze się w zeznaniach
i o łagodny wyrok prosi

bo cóż ma na swoją obronę
parę metafor zaledwie
jakieś porównanie
chyba nawet nie homeryckie
rozrzucone tu i ówdzie epitety
no i jeszcze ta puenta
czy aby nie za mocna

i skąd mógł wiedzieć
że tak wytrawny krytyk
powoła na świadków
biegłych w sztuce
z minionych już epok

Zjazd absolwentów

Spotkania po wielu latach
są niebezpiecznie ciekawe

mierzymy się wzrokiem
niby to dyskretnie

ale ten miniony czas
nie potrafi utrzymać na wodzy
zadziwienia samą sobą

czuje się jak wielki szkodnik
i rumieńcem wstydu się kaja

czy z tej taksującej konfrontacji
uda się jeszcze wyprowadzić
jakąś pocieszającą puentę

PS

Widziałś Zbyszka L.
jest grubszy niż dłuższy
a taki był z niego
przystojny chłopak

on to jeszcze nic
ale spójrz na Jagodę W.
aż trudno uwierzyć
że była kiedyś królową balu

Książka

Gdyby nie zdążyła zaistnieć w czytelniku
gdyby nie wdarła się do jego serca
umysłu najgłębszych zakamarków duszy
może swój los przyjęłaby ze spokojem
a nawet rezygnacją

i pytanie
czy lepiej być
na indeksie ksiąg zakazanych
czy też spłonąć w ogniu
nie byłoby aż tak drastyczne

cóż że zadrży serce bibliofila
cóż że pióro poety zawiśnie w powietrzu

Habent sua fata libelli

Cień

Prześladuje mnie twój cień
co tak się już z moim zbratał
że idzie ze mną nawet w słotne dni
gdy słońce skąpi mu blasku

jakże wierny i niestrudzony jest
ten twój cień

szkoda że na twoje skinienie
przywołany korzy się
i mętnie tłumaczy
że aż wiotczeje w sobie

Nie mogę oswoić w sobie wszechświata
każda o nim myśl kończy się fiaskiem
jego ogrom i bezmiar ciągle mi umyka
a nieskończoność wprost przeraża

siłą rzeczy trzymam się już tylko
Drogi Mlecznej
bojąc się kosmicznego zbłądzenia

Fantazja

Tę miłość stworzyłam najpierw w wyobraźni
nie mogłeś wiedzieć, że nieoczekiwanie
stałeś się obiektem moich pragnień
i brnęłam w tę fantazję
coraz to dalej a sielanka
zdawała się nie mieć końca

nie mogłam przewidzieć
że fikcja może się urzeczywistnić
jak mam teraz rozpocząć to
co się już wydarzyło
czy iść śladem gotowego scenariusza
czy też zdać się na żywioł

Krystyna Cel



Skok Wojtka Mrówki po kielbasę

(Fragment powieści *Złapcie go!*)

Żołnierze oczekiwali, że każdego dnia może nastąpić nie tyle zapowiedziane, ile przeczuwane przegrupowanie kompanii do rejonu alarmowego. Bieg i marsz, okopywanie się, branie przeszkód, a po drodze – kąpiel w rzece, wykonywanie zadań w dzień i w nocy, w słońcu lub w burzowej ulewie.

Nadeszła kolejna żołnierska noc, która miała przynieść ulgę i twardy sen po znojnym dniu szkolenia.

Nagle tuż po ogłoszeniu capstrzyku:

– Alarm! Alarm! – Krzyk podoficera dyżurnego i tupot czyichś butów po kamiennej posadzce przywołały do rzeczywistości układających się do snu żołnierzy.

– Co jest, do cholery! – zaklął Wojtek ze złością, wyskakując z łóżka.

Ubierali się w największym pośpiechu. Wojtek naciągnął błyskawicznie spodnie, założył onuce. Lewa noga obuta, potem prawa.

Na salę wszedł porucznik Wróbel w towarzystwie przygotowanego do wyjścia sierżanta Blaszkę.

Ktoś podał komendę i chciał złożyć meldunek, lecz dowódca plutonu gestem ręki zrezygnował z rytuału. Spojrzał na zegarek.

– Ruchy, chłopcy, ruchy, bo nie zdążycie! – szef kompanii ponaglał całkiem niepotrzebnie, bo i tak uwijali się jak w ukropie.

Ostatnie przygotowania. Wojtek w pełnym wyposażeniu pobiegł do magazynu broni, chwycił ze stojaka swojego peema i maskę pegaz. Po kilku minutach cała kompania w pełnym wyposażeniu bojowym stanęła na placu alarmowym.

– Żołnierze! Do kurwy nędzy! Pokryć, bo was święta ziemia pokryje! – krzyczał sierżant Blaszkę. – Do chuja miłego, co to za dziadostwo... – zakończył już ciszej. I chyba ta cisza spowodowała zastępcę dowódcy batalionu do spraw politycznych do interwencji, bo nagle usłyszał jego głos.

– Obywatelu sierżancie, a czy nie można tego powiedzieć bez przekleństw, bez tych słów obrazoburczych?

Chwilę trwała cisza, widocznie sierżant był zaskoczony tak bezpośrednim zapytaniem wobec żołnierzy i potrzebował chwilę na zastanowienie.

– Można, obywatelu kapitanie – potwierdził niepewnym głosem. – Ale opierdół w wojsku to

jak dzień dobry w cywilu. Poza tym oni by tego nie zrozumieli... Oni są przyzwyczajeni do takiego słownictwa. To są jedyne słowa, które są w stanie zrozumieć...

– Obywatelu sierzancie, mylicie się: „bądź człowiekiem, to i inni będą dla ciebie dobrzy”. Przecież to ludzie, obywatelu sierzancie.

– Obywatel kapitan wybaczy, ale od chwili wcielenia ich do wojska to nie są ludzie, tylko żołnierze. A wojsko, które nie potrafi wykonywać podstawowych czynności pojedynczego żołnierza, to... – zamilkł na moment, szukając odpowiedniego słowa, jakim by nie uraził polityka, z którym musiał się przecież liczyć, jeśli zależało mu na kolejnym awansie. W tym momencie dostrzegł gesty w jego kierunku dowódcy kompanii i postanowił się pohamować ze swoim ulubionym prostym słownictwem. – ...To ofermi i ciamajdy. A my dowódcy mamy obowiązek nauczyć takiego jednego z drugim, jak ma wykonywać rozkazy.

Zasalutował i wrócił przed front kompanii. Ogarnął wzrokiem pododdział.

– Szeregowiec Mrówka, co się tak kręcicie jak byście wiatrak w dupie mieli?

– Plecak mi ciąży – dlatego.

– Ciesz się, dupku, że nie dałem ci dwóch min pepanc do niesienia... – stwierdził krótko, odwracając się do nich plecami i oddając gestem dłoni komendę kapralom. – Dwadzieścia kilo dodatkowego sprzętu na plecach na pewno by się wam nie spodobało, ale przyjdzie i taki dzień, że poczucie, ile on waży po całym dniu szkolenia. Obiecuję... Teraz, kurwa, to jest luksusowe wojsko – samochody, motory, zawiozą, przywiozą, jeść dadzą i tylko tyłka wam nie podetrą. Nowoczesność, w mordę jeża...

Dowódca kompanii nie przywitał się z wojskiem jak zwykle, ale od razu wydał rozkaz, aby zagiąć skrzydła! Zwrócił się do stojących stłumionym głosem. – Tematem zajęć jest: „Zadania plutonu i kompanii, w ugrupowaniu pułku piechoty, w specyficznych warunkach współczesnego pola walki”. Celem ćwiczenia jest doskonalenie działania plutonu w składzie kompanii piechoty. Jasne?

– Tak jest! – odpowiedział mu cichy pomruk żołnierzy. Po krótkiej odprawie dowódców plutonów podjechały ciężarówki. Załadowali się na skrzynie ładunkowe. Było ciepło, mrok nocy wydawał się chustą, która ich łączyła, pod osłoną której czuli się dobrze.

Usiedli ciasno jeden przy drugim. Wojtek odzyskał wreszcie dobry humor.

Silniki warczą, zisy klekoczą i grzechoczą. Droga była wyjeżdżona i pełna wybojów. Nie wolno zapalać żadnych świateł, dlatego kierowcy wpadają w wyboje, co omal nie wyrzuca żołnierzy z ciężarówek. Wreszcie docierają do rejonu alarmowego, gdzie mają rozpocząć się ćwiczenia. Od huku wystrzałów pozorujących artylerię samochód drży i wibruje, wokół przetacza się potężne echo.

Bierze ich w objęcia niewielki zagajnik. Mijają kuchnie polowe. Za zagajnikiem wysiadają. Ciężarówki wracają. Przyjechać po nich mają po zakończeniu ćwiczeń.

Mgła i dym z petard pozorujących artylerię unoszą się nad łąką. W górze świeci księżyc. Drużyny pieszo przemieszczają się na stanowiska ogniowe. Stalowe hełmy połyskują matowo w świetle księżyca. Głowy zmieniają się tu w postacie – kurtki mundurowe, spodnie i buty wyłaniają się z mgły jak z mlecznego stawu. Formują kolumnę.

Szeregowy Wojtek Mrówka stał na końcu kolumny i zatopił się w marzeniach... Wcale nie o ciepłym łóżku u mamy, chociaż nie miał nic przeciwko temu, aby i to się sprawdziło. Był po prostu głodny. Kolacja, którą zjadł przed dwiema godzinami, dawno uległa strawieniu, a on znany był z tego, że notorycznie odczuwał głód, a próby jego zaspokojenia i ustawiczne ssanie w żołądku były źródłem większości jego kłopotów. Zadziwiające – nie miał w sobie nic, co wskazywałoby na ten szalony apetyt. Był wysoki i chudy, a mimo to mógł pożerać nie tylko swoją porcję jedzenia, ale poszukiwał możliwości dokładki, a w krótkim czasie po posiłku zaczynał kręcić się przy kuchni, oferował swoją pomoc przy przygotowaniu jedzenia w zamian za zrozumienie jego potrzeb. Nie posiadał umiejętności kucharskich, za to był doskonały w myciu i szorowaniu garów, najchętniej tych, w których jeszcze coś zostało na dnie.

– Cholera, jestem głodny – odezwał się cicho Mrówka, czując jak mu burczy w brzuchu. – Może przed wymarszem uda się jeszcze coś skombinować do jedzenia? – rozmarzył się.

– Już to widzę – odrzekł Machnicki – a tak naprawdę, to masz przesrane z tym twoim ciągłym głodem – stwierdził krótko, przyglądając mu się z uwagą. Niby mu wierzył, ale tak jakoś nie do końca.

– Mam już dość wszystkiego, mogłoby się już to zacząć – stwierdził Wojtek, kręcąc głową. – Ale wcześniej zjadłoby się coś... – po raz kolejny poczuł, jak żołądek podchodzi mu pod gardło.

W pobliżu rozstawiony był namiot, w którym zakwaterowany był punkt żywienia kadry; stamtąd dochodziły do nich nie tylko zapachy bigosu na wędzonce i smażonego mięsa, ale także świeżo parzonej kawy i jakichś deserów. Wojtek westchnął przejmująco i przełknął ślinę.

– Co bym dał za porządny talerz rosółu z makaronem. Mama moja rosół gotowała jak jakiś nektar...

– A ja zadowoliliby się w tej chwili takim prawdziwym żurkiem na boczku i ziemniakami z jakąś omastą – dodał Franek Machnicki i rozejrzył się z uwagą dookoła. – Jeśli masz odwagę zaryzykować, to mam propozycję – dodał.

– Pierdzielisz? – Wojtek spojrzał na niego z niedowierzaniem – gadaj.

– Skoczmy, tak w trymiga, do namiotu kasyna kadry i może uda się czymś pożywić. Od frontu nie da rady, trzeba będzie dostać się od zakrystii – powiedział spokojnie.

– No to ruszamy! – Wojtek zdziwił się, jak szybko znalazł się najpierw przy odsłoniętej z tyłu części namiotu, a po chwili w jego wnętrzu oświetlonym słabą żarówką. Pierwsze, co zobaczył, to stół roboczy do rozbioru mięsa, tuż przy ścianie namiotu. Za nim na metalowym stole kuchennym, stał „wilk” masarski do mielenia i siekania mięsa, a dalej regały, na których ustawione były garnki i patelnie różnych rozmiarów. Po przeciwnej stronie umieszczono dwie duże lodówki, które swoim warkotem skutecznie zagłuszały odgłos jego butów o podłogę. Chociaż stapał cichutko, wydawało mu się, że słyszy bicie swego serca. Bez wiary otworzył drzwi pierwszej lodówki i w pierwszej chwili został oślepiony światłem, które rozlało się po całym namiocie. Dopiero po chwili, kiedy oczy przyzwyczały się, dostrzegł na dolnej półce szereg puszek z koncentratem pomidorowym. Natomiast górna półka była pełna cienkiej kiełbasy.

– Jest tam coś? – doleciał cichy i niepewny głos Machnickiego, który stał przy odchylonej płachcie do namiotu. – Znalazłeś jakieś żarcie?

– A co wolisz, gorzałę czy zakąskę – zapytał cicho Wojtek, szeroko otwierając drzwi lodówki.

– W naszej sytuacji zakąskę...

– Szpenio z ciebie – stwierdził cicho Wojtek.

Wziął dwa pęta kiełbasy, zawahał się chwilę, po czym włożył kiełbasę za bechatkę, zaciągnął mocno pas i skierował się do wyjścia, ale prawie w tej samej chwili usłyszał czyjeś szybkie kroki za kotarą oddzielającą część magazynową od konsumpcyjnej. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że tak naprawdę to

słyszał je od dobrych kilku chwil, tylko z pełnymi ustami kiełbasy nie zwrócił na to uwagi. Zerknął w tamtym kierunku i zdał sobie sprawę, że nie ma żadnych szans, aby uciec. Tym bardziej że kroki zatrzymały się i ktoś zaczął przesuwac kotarę. Nie mając wyboru, przykucnął za lodówką, uznając, że w ten sposób nie zostanie zauważony. W tym momencie oparł się o regał, z którego z łoskotem zaczęły spadać garnki; to spowodowało, że zza kotary wyszedł sierżant Ptaszyński, magazynier żywnościowy, który spostrzegł Wojtkę schowanego za lodówką. Popatrzył na Mrówkę, jak obciera usta dłonią i z dezaprobatą pokiwał głową.

– Żarcie, kurwa, cię kiedyś zgubi – powiedział cicho sierżant, ruchem dłoni wskazał Wojtkowi kierunek do wyjścia i wrzasnął:

– Bierz tę kiełbasę, spierdalaj stąd i nie pokazuj się tu więcej.

Mrówka wybiegł z namiotu, chwycił jeszcze po drodze bochenek chleba, kiwnął ręką na Machnickiego i krzyknął: – Spadamy, bo w końcu ktoś zauważy, że nas nie ma.

Zanurzyli się w ciemności nocy i szybko dołączyli do kompanii.

Jan Chruśliński



bezużytecznych skrzydeł
i gdaczą żałośnie
nad stratą

boję się

boję się ludzi nadaktywnych
wychylonych do przodu
z dzidą gotową do ataku
oni nie myślą
czekają na hasło

to nie tchórzostwo
ani asekurancstwo
ja umiem trwać
przy swoim

nie lękam się strzał
we mnie wymierzonych
ale wzdramam się na myśl
że mogłabym być członkiem
wytresowanej sfory ujadaczy

Sprofanowana

Okaleczona mieczem mściwego człowieka
smutna Madonno z surowym obliczem,
wzorze czystości i pokory cichej,
żeśmy Cię nie ustrzegli od zniewagi, przebacź!
Majestatowi Twemu mocy nie odbiera
miejsce plugawe, ekskrementami pokryte
ni malowane jadem sześciostunne tęcze,
od których biblijna zginęła Sodomą.
To Ciebie naród złotem koronował,
do Ciebie wołał o pomoc w niewoli,
medalik ścisnął, gdy konał w okopach.
W wolnej więc Polsce chyba nie pozwoli
swojej świętości brukać profanowi
i wizerunku Matki będzie bronił?

upadłe anioły

mojej siostrzenicy Agnieszce

upadłe anioły
często spoglądają w niebo
by zmierzyć dystans
który przebyły

gdy uświadomią sobie
ogrom upadku
stają się podobne do kur
muskają lśniące lotki

to nie Bóg
odebrał im nadzieję
to niewiara
we własne siły sprawia
że rezygnują
z powrotu

Wywiad z poetką ukazał się w miesięczniku „Made in Świętokrzyskie” #18 (7-8/2019), s. 41-43, https://issuu.com/madeinwiotkrzyskie/docs/mis_18_single/40

Październikowy sonet

Sosen kolumny zdobione bogato
dzikiego wina purpurowym wieńcem
wspierały niebios gładkie wysklepienie
barwione pięknie kobaltową farbą.

Wiatr wplątał w lata posiwiłe włosy
magiczne nitki pajęczych pożegnań,
mokrym połyskiem uśmiechnął się kasztan,
kiść jarzębiny upadła na wrzosa.

Ptaki umilkły po wielkim spełnieniu
znów zapragnęły wyśpiewać zachwyty.
Znieruchomiały na altany brzegu

i trwały, głosząc Magnifikat w ciszy.
Nie pozwoliłam głośno tętnić sercu
aby nie spłoszyć świętości tej chwili.



Prezes ZG ZLP Marek Wawrzekiewicz gratuluje Beacie Kępińskiej przyznania Brązowego Medalu Gloria Artis. Od lewej: wicewojewoda Bartłomiej Dorywalski, radny Sejmiku WŚ Grzegorz Gałuszka, z prawej mąż poetki Michał Kępiński Fot. Elżbieta Jach

Anna Maria Musz

* * *

dzisiaj późnym wieczorem
rozmawialiśmy długo

teraz noc
świecą myśli o tobie

próbuję opisać
– w języku który się skończył –
cud liryczny:

czułość się otwiera

* * *

zobacz
słodką miłości
ja idę przed tobą

bo za tobą nieść można
tylko długi tren
z bardzo smutnych słów

* * *

ty – poeta – jesteś dumnym słowem
niesiesz mi w chłodnej skórze niebezpieczny żar:
ochraniam płomień w tobie – poparzoną dłonią

o jak płytko w nas leżą wszystkie dzienne żale
post od ciała – milczenie – już zmyte przez ogień

bierzemy w siebie wzajemność
co nie znaczy: zgodę

bierzemy w siebie żądzę
co oznacza: głód

Czasem nie wolno mówić

teraz na przykład
przycinasz pomidory
z batutą nożyka w uniesionej ręce
lekko
jakbyś dłonie układał na falach

nie ma z tego dźwięku
sok płynie milcząco
przez zielone kanały

artymicznie podzwania
tocząca się jesień

muzyki z tego nie będzie
ale jest nad twoją pracą cisza
święta –

że niebo się skrada na palcach
po leżący promień

* * *

oto jesteśmy w chłodnej bramie brzasku
patrz – słowo w słowo się w nas odkłada –
słowo w słowo tak samo krzyczymy
z uciekających pociągów
– płoną lokomotywy – ścigają nas małe języki
ptaków śpiewających
piszcza – słowo w słowo –

słowo w słowo to samo milczymy
powracając w siebie

a mowa nasza znaczy wreszcie
tak – tak
nie – nie

* * *

z daleka
przychodzą do nas
odnowieni
jakbyśmy nigdy nie byli na ty

do nas – kurczowo
trzymających w sobie
dobrze ukryte ścieżki ciepłej krwi

jesteśmy dla nich
hałaśliwym światłem

oni nam teraz –
nagłym skrzydłem w okno

* * *

tak panienczko – mówisz –
stada wracają z pól
szwadrony twardych dziobów
otwierających ziemię
do żywego ciała

czarni patrzymy na ptaki
cisi patrzymy na ziemię
zamykamy się w łuskach
w maskach ostrych jak dzioby
mijamy innych ludzi
otwierających ulice
do żywego ciała

tak tak panienczko
dopiero zamknięci w ciemnościach
świecimy
dla siebie

* * *

czułość jest z naruszania twoich najbliższych granic
czułość jest z oddawania bez walki
czułość jest z takiego uwikłania dwojga
że zabić jedno to pochować drugie
(które jeszcze czuje chociaż coraz mniej)

czułość jest wtedy gdy znajduję słowa
nieosiągalne – nawet nie ruszam
tej mowy żeby od niej nie oszaleć
nie ogłuchnąć – nawet nie ruszam tej mowy
ale w niej jestem

Ogrody

niebo łąpczywe chce dzisiaj ruchu
i głosu – leci w skrzydłach
gada w dziobach
życie zrywa się w drzewach
czarnych – biała żałoba jeszcze
usypia na dnie wód – jeszcze nie odpływa –
jeszcze trzymamy się pulchnej ziemi
zamkniętej nad wami – jeszcze nie stężała –
stąpamy nad świeżo zamieszkałym piekłem

ale niektóre beznadziejne prośby
zostały już wysłuchane –
czuwamy czy wschodzą ogrody

dacie nam w nich
jakiś znak

Anna Maria Musz



Podczas Krajowego Zjazdu ZLP, 12.10.2019 w Warszawie, Anna Maria Musz – aktywnie współpracująca z Kieleckim Oddziałem ZLP – odebrała z rąk prezesa ZG ZLP Marka Wawrzkiwicza Odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, wnioskowaną przez prezesa KO ZLP Stanisława Nyczaja
Fot. Krystyna Konecka

Tylko forsa

(fragment powieści)

Sobota, 15 lipca 2017 roku, godzina 18.00

Samochód z piskiem opon skręcił na stację benzynową. Marianna oparła się ręką o drzwi.

– Nie możesz jechać ostrożniej? – burknęła zwracając się w stronę Tomasza. Nie zareagował, więc dodała głośniejsze. – Zawsze tak jest. Zwalasz winę na innych, bo źle jeżdżą, a sam co robisz? Nie hamujesz na zakrętach.

Miał ochotę powiedzieć, żeby się w końcu przymknęła. Kłóci się z nim od samego rana. Wszystko jej przeszkadza. Jak taka mądra i lepiej prowadzi samochód, niech usiądzie za kierownicą, chociaż nie ma prawa jazdy.

– Chłopcy, przerwa w podróży. – Marianna odwróciła się do tyłu i spojrzała z naganą na Michała. – Gdzie ty trzymasz nogi. Tyle razy ci ojciec powtarza, żeby nie opierać kolan o siedzenie. To nowy samochód.

Michał i Karol mieli słuchawki na uszach, kołysali się w rytm muzyki.

– Nie słyszycie, co się do was mówi? – spytała robiąc głośny wdech, krzywiąc się, aby chociaż zobaczyli, jak bardzo ją to denerwuje. Jak nie słuchanie muzyki, to granie w jakieś idiotyczne gry. Te komórki wymyślili chyba po to, aby dzieci nie rozmawiały z rodzicami. Chociaż jakie to dzieci. Studenci, a zachowują się, jakby mieli po kilka lat.

Karol spojrzał na Michała i zdejmując słuchawki, szturchnął go łokciem.

– Przerwa. Idziemy rozprostować kości.

Stacja Orlenu była przy dwupasmowej trasie szybkiego ruchu z Warszawy w kierunku Wybrzeża. Z tyłu za stacją był Mc Donald's.

– Idziemy coś zjeść. – Marianna wreszcie złagodniała. Popatrzyła na syna z miłością. Najmłodszy i najprzystojniejszy z całej trójki. Zawsze miała do niego słabość. Najukochańsze dziecko. Może dlatego, że późno się urodził, gdy była po czterdziestce, a tamte dorastały. Poczwała się wtedy młodo, ale szybko zrozumiała, że pielęgnowanie dziecka w tym wieku jest naprawdę dużym ciężarem. To jednak nie zmieniło jej uczuć, kochała go najbardziej z wszystkich dzieci.

– Idziemy do kibla – oznajmił Michał wyprzedzając ich. Objął Karola za ramię i pociągnął za sobą.

„Gdyby Michał od dwóch lat nie chodził z Kaśką miałbym wątpliwości, czy mój synalek nie jest pedałem – pomyślał Tomasz zamykając samochód.

– Wciąż tylko ten Karol i Karol, właściwie to Karo, tak go przecież nazywa. On za to jest Miszą. Szkoda, że nie myśla. Czy oni nie mogą normalnie do siebie mówić? Karo. Misza”.

– Pospiesz się – ponagliła go Marianna. – Dla was chłopaki co zamówić! – krzyknęła w kierunku oddalającego się Michała i Karola.

– Hamburgery i coca-cole. Ojciec mógłby zatrzymać się bliżej. Pod Mc Donald'sem też jest parking. – Michał odwrócił się, zatrzymał na chwilę, a potem zwrócił do Karola. – Z ojca kierowca jak z koziej dupy trąba. Twój to co innego. Młodszy, to prędzej da się z nimi dogadać. Moich już nie zmienisz. Gdybym to ja prowadził samochód, bylibyśmy już na miejscu, a ten jedzie siedemdziesiątką, bo jakiś geniusz od dróg postawił znak ograniczający prędkość. Tylko że nikt tego nie przestrzega oprócz mojego ojca.

– Ma nowy samochód, może dlatego jeszcze nie odważył się rozpędzić.

– E, tam. Ojciec zawsze taki był.

– Przecież pamiętasz go tylko jak był już stary. – Karo zaśmiał się i przyspieszył kroku.

W Mc Donald'sie było tłoczno. Kolejka do kasy ciągnęła się przez całą salę. Pomimo włączonej wentylacji było duszno. Spocone ciała wydawały nieprzyjemne zapachy. Przez ostatnie pięć minut padał deszcz, ale upał panujący nieprzerwanie od dwóch tygodni nie zdążył nikogo ochłodzić.

– Śmierdzi – skwitowała Marianna półgłosem.

– Cicho – upomniał ją Tomek. – Jeszcze ktoś usłyszy. A my co? Też nie pachniemy.

Po kwadransie wreszcie ukazał się na monitorze numer ich zamówienia.

– Gdzie oni poleżli. – Marianna rozglądała się po sali, ale nie mogła wzrokiem odszukać syna ani jego kolegi. – Czy tak długo są w łazience?

– Widzisz jaka kolejka. Może musieli dłużej poczekać.

– Aż tyle? A kolejka jest przy damskiej ubikacji. Idź, sprawdź, może na zewnątrz się z kimś zagadali.

– Po co mam iść. Zadzwoń.

– Myślisz, że nie dzwoniłam? Chyba ze trzy razy i gówniarz nie odbiera. Wyłączył komórkę. Za każdym razem jest taki sam komunikat „abonent jest poza zasięgiem”.

– Dobrze – Tomasz z niechęcią podniósł się z miejsca. Czuł się zmęczony. Gdyby Maryśka tyle nie gadała i stale mu nie zwracała uwagi, że źle jedzie, nie byłby tak spięty. Jeszcze nie zdążył przyzwyczaić się do nowego samochodu. Ma go dopiero pięć dni, a już musi nim jechać nad morze.

Stanął przed Mc Donald'sem i rozejrzał się, ale chłopaków nigdzie nie było. Sprawdził z jednej i drugiej

strony, i to samo. Z boku stały dwie dziewczyny, na jego widok przerwały rozmowę.

– Nie widziałyście dwóch chłopaków? Gdzieś tu powinni być. Obaj po metr osiemdziesiąt, trudno takich przeoczyć.

Blondynka z wysoko upiętym końskim ogonem spojrzała na koleżankę.

– Nie, nikogo żeśmy nie widziały – odpowiedziały zgodnym chórem.

– To dziwne – powiedział Tomek jakby do siebie.

– Powinni gdzieś tu być. A panie długo tu stoją?

– Dopiero przyszłyśmy – blondynka znowu spojrzała na koleżankę, jakby szukała u niej potwierdzenia.

– Dwie minuty, na pewno nie dłużej – dodała szybko druga.

Tomasz wrócił i usiadł naprzeciw żony.

– Nie ma ich.

– Jak to nie ma? Sprawdziłeś dookoła?

– Oczywiście. Może poszli na stację benzynową.

– Po co?

– A ja wiem po co? Może coś chcieli kupić?

Minęło pół godziny, potem godzina, a Michała i Karola wciąż nie było. Marianna zaczynała się coraz bardziej denerwować.

– Może coś im się stało – powtórzyła nie wiadomo który raz spoglądając na zegarek.

– Od razu „stało” – przedrzeźniał ją Tomasz, ale też był zaniepokojony. Jaki numer znowu im Michał wyciął. Nie chciał z nimi jechać do Międzywodzia, to teraz coś kretyńskiego wpadło mu do głowy, żeby specjalnie ich zdenerwować.

– Musimy zadzwonić na policję – zdecydowała Marianna. – Nie będę dłużej czekać.

– Zostaw – złapał ją za rękę. Poczekajmy jeszcze trochę.

Sobota, 15 lipca 2017 roku, godzina 21.27

Mc Donald's zaczął się powoli wyludniać.

Marianna i Tomasz podjęli decyzję: nie ma co dłużej czekać, trzeba zawiadomić policję. Za długo nie ma Michała i Karola.

Znowu czekali godzinę. Tym razem na przybycie policji. Z każdą minutą tracili nadzieję, że chłopcy powrócą.

– Posterunkowy Krzysztof Łobodziński – przedstawił się policjant, przystawiając dwa palce do szarej bejsbolówki. A to podkomisarz Jan Kowalski – wskazał na kolegę. – Słuchamy, co się stało?

– Trzy godziny temu zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej – zaczęła Marianna trzęsącym się głosem i natychmiast się rozplakała.

– Może pan nam powie, co się stało, bo najwyraźniej żona nie jest w stanie. – Łobodziński z lekceważeniem popatrzył na Tomasza. Co za facet, że pozwala żonie wysforować się przed siebie. Chyba wie, jakie są kobiety. Będą gadać nie wiadomo o czym i tylko niepotrzebnie czas zabierają.

Tomasz mówił bardziej rzeczowo. Tylko co tu było do opowiadania. Zatrzymali się na stacji benzynowej. Zostawili samochód i poszli do Mc Donald'sa. Poczekali na realizację zamówienia, a syn z kolegą szli przed nimi, i ich do tej pory nie ma. Minęły trzy godziny, coś musiało się stać, bo tak długo nie wracają.

Policjanci zadali rutynowe pytania. Czy coś podejrzanego w tym czasie się nie wydarzyło? Czy syn albo jego kolega nie wspominali o czymś, co mogłoby im nasunąć jakieś podejrzenia? To były mało istotne pytania, z których nic nie wynikało.

– Znaczący się szli przed wami i nagle zniknęli – wtrącił się do rozmowy podkomisarz Kowalski.

– Syn powiedział, że idą do ubikacji – uściśliła Marianna wypowiedź męża.

– Do ubikacji? – zdziwił się podkomisarz. – Przecież ubikacje są wewnątrz budynku.

– Najwyraźniej skłamali. Zapewne chcieli sami zostać. Może chcieli zapalić.

– Mój syn nie pali – zaprzeczyła Marianna.

– No, niezupełnie – Tomasz nie mówił o tym żonie, żeby jej niepotrzebnie nie denerwować. Kilka razy przyłapał Michała na paleniu.

– Wszystko się wydało – odetchnął z ulgą Łobodziński. – Poszli zapalić, a potem chcieli wam zrobić psikusa i zabrali się okazją do Międzywodzia. Jak państwo tam dojedziecie, na pewno znajdziecie ich na miejscu.

– Ale on nie odbiera telefonów. Stale taka sama informacja, jest poza zasięgiem.

– To oczywiste. Nie po to chcieli was nastraszyć, aby odbierać od was telefony.

Łobodziński podniósł się z miejsca.

– My oczywiście zgłoszenie o zaginięciu przyjmujemy i będziemy mieć na uwadze, gdyby ktoś podejrzanym pojawił się w pobliżu. Państwo niech jądą do Międzywodzia. Zapewne syn już dawno tam jest i cieszy się, że wam kawał wywinął. Proszę, to jest moja wizytówka. Gdy syn z kolegą się znajdą, koniecznie o tym powiadomcie. Wszystko będzie dobrze. – Uśmiechnął się przystawiając krzesło do stolika.

Marianna sięgnęła do portfela i wyciągnęła zdjęcie Michała.

– Niech pan weźmie – rzekła drżącym głosem.

– A tak, tak, zdjęcie się może przydać.

– Dlaczego nie zapytałeś o numer telefonu tego drugiego chłopaka? – spytał Kowalski, gdy wyszli na zewnątrz. – Jego zdjęcie też by się przydało.

– Aleś ty naiwny. Myślisz, że oni naprawdę zginęli? Młodziakom zachciało się żarty stroić ze starych. Nie ma się czemu dziwić. Rodzice chcieli jechać na wczasy i myślą: ich syn nadal jest malutkim dzieckiem, niczego tak nie pragnie, jak wybrać się na wakacje z nimi, a to student. Dwadzieścia dwa lata. Chce się urwać i nie ma się czemu dziwić.

– Ale lepiej sprawdzić. Tak na wszelki wypadek.

Łobodziński ze złością zatrzasnął drzwi radiowozu. Gówniarz, znowu go poucza. Niczego się jeszcze nie nauczył. Gdyby każdym zgłoszeniem o rzekomym zaginięciu miał się przejmować, dawno by dostał obłądu.

Sobota, 15 lipca 2017 roku, kilkanaście godzin wcześniej

– Nigdzie z wami nie jadę. – Michał od godziny powtarzał to samo.

– Jak możesz nie jechać, wszystko jest załatwione.

– Nie i koniec. Chyba że pojedzie z nami Karo. Umówiłem się z nim. Wcześniej wam to nie przeszkadzało, a teraz nagle zmiana decyzji.

– Mówiłam ci, mamy dwa pokoje, a dla ciebie jednoosobowy. Gdzie ten twój Karo będzie spał? – Marianna próbowała zachować spokój, ale była coraz bardziej zdenerwowana.

– Mówiłem przecież, że ze mną, wezmę karimatę i śpiwór. Wielkie mi rzeczy spanie. – Prychnął i odwrócił się do matki tyłem.

– A co z jedzeniem? – nie dawała za wygraną.

– Jakoś sobie poradzimy.

– Niech jedzie – wtrącił się do rozmowy Tomasz. Chciał dodać, że dla jego kolegi nie ma zamiaru fundować wczasów, ale się powstrzymał.

– Tak uważasz, a kto za to wszystko zapłaci? – Marianna zwróciła się do męża.

– Daj spokój, Marysiu. Jakoś to się załatwi.

Miała zamiar powiedzieć, żeby wreszcie przestał ją nazywać Marysią. Marysią to ona była trzydzieści lat temu. Czy nie ma na imię Marianna? Tyle razy mu to powtarzała, a on ciągle Marysiu i Marysiu.

– Dobrze, dzwoń po tego swojego Karo. Niech szybko przyjeżdża. Chyba jest spakowany, jak mu obiecałeś wyjazd nad morze.

– A nie możemy go po drodze zabrać?

– Jak po drodze? Jak po drodze? Czy nie zdajesz sobie sprawy, ile kilometrów jest do Międzywodzia, a ten twój kumpel chyba mieszka w Rzgowie.

– Ja mogę prowadzić. Dla mnie taka odległość do Międzywodzia to jakby na drugą stronę Łodzi przejechać w godzinach szczytu.

– Akurat dam ci samochód. Mało ci było, gdy z tym swoim Karo zaryłeś się w polu pod Rzgowem?

Tylko że volkswagen miał już swoje lata, a sandero ma tylko tydzień.

– Bo to był grat i nie miał sprawnych hamulców. Dobrze o tym wiedziałeś. Gdyby ci ojciec Kara nie pomógł go wyciągnąć, a potem naprawić, sam byś się wyłożył. Dobrze, że to się zdarzyło na leśnej drodze, a nie w centrum Łodzi. Wtedy z ciebie i z samochodu nie byłoby co zbierać.

– Mnie by się nic nie stało. Hamulce były kiepskie, ale ja umiałem jeździć volkswagenem, nie to co ty. Gaz i hamulec, gaz i hamulec.

– Przestańcie się kłócić – wtrąciła się do rozmowy Marianna. – Dzwoń do Karola, niech szybko przyjeździe. Musimy wyjechać najpóźniej o dziesiątej.

Nie wyjechali ani o dziesiątej, ani o jedenastej, tylko o pierwszej piętnaście. Młodym się nigdy nie spieszy, oni zawsze ze wszystkim zdążą, ale nie im. Jechać w dzień to co innego, ale nie wieczorem czy w nocy. Osiem godzin jazdy i to wtedy, gdyby nigdzie się nie zatrzymywali, a muszą zrobić przerwy, co najmniej dwie. Czy ktoś będzie na nich czekać tak długo? Powiedzieli, że będą między dwudziestą a dwudziestą pierwszą. Nie zjawią się w terminie, to na ich miejsce wezmą kogoś innego. Mało to chętnych?

Wynajęli dwa pokoje najbliżej morza, aby daleko nie chodzić na plażę. W zeszłym roku wykupili wczasy, tak samo w Międzywodziu, i do plaży było z kilometr. Niby to niedaleko, ale i nie blisko. Obiad od trzynastej do czternastej. Za wiele się na plaży nie nasiedzieli, a jak przychodzili przed końcem wydawania posiłków, wszystko było zimne, a tyle za te wczasy zapłacili. Po raz drugi nie zawsze chciało im się iść na plażę. Tomaszowi co prawda udawało się niekiedy wieczorem wyciągać Mariannę nad morze, aby popatrzeć na zachód słońca, ale jak wracali, zawsze nogi ją bolały i musiała je smarować voltarenem. Co prawda piękny widok roztaczał się z kawiarni na wydmach. Na plaży ludzie puszczaali zapalone lampiony, ale potem musiała to odcierpieć.

Tym razem wynajęli dwa pokoje bliżej plaży. Jedzenie na parterze. I wszystko byłoby jak należy, gdyby Michał nie zaczął stroić fochów. Z Iloną i Gabą takich problemów nigdy nie było. Tylko że one od dziesięciu lat mieszkają w Niemczech, a im został najmłodszy i jedyny syn. „Gdybym wiedziała, jakie będą problemy z wychowaniem syna, nigdy bym się na trzecie dziecko nie zdecydowała – pomyślała Marianna ze złością. – Zawsze musiałam Tomkowi ustępować. Tak bardzo chciałam mieć syna i mu go urodzić”.

Irena J. Paździerz

Flotacja

*...mieszając barwy pór roku kreślisz obrazy i słowa
nadając im sens własny od początku dnia...*

Jerzy Tawłowicz *Klucze w niepamięci*

myśl która budzi nad ranem
podaje ci klucze

ocierasz się o korę wody
dryfujesz na załączkach słów
kruszą się na niespójne znaki
i rozpływają po kapryśnym ego

lęk zaciemnia delikatne pasmo
gdzie jeszcze nie dotarła gorycz
a ufność podsuwa bezpieczne ramię

nie dosięgniesz głębi
podszeptem umysłu
tak jak chmury nigdy nie dotkną ziemi
jedynie uwiodą złudzeniem na tafli

Sugestia

odmierzona ze złotego pojemnika
podana w najdroższej porcelanie
z największą ceremonią
najtańsza herbata
smakuje jak
najkosztowniejszy trunek

Bez Ograniczeń

zaszywa pęknięcia i uszczelnia akceptacją
krawędzie oczyszcza z zakrzepłych słów
ze źrenic wyjmuje roztrzaskane racje
i zlizuje pozory jak cierpki miód

iluzja kontroli toczy się bańką mydlaną

ufna w nieuchronne już nie planuje
spokojnie maluje rzęsy nowym dniom

w srebrnym dzwonku zawiesi echo
żeby zaprzyjaźniło się z przeszłością

Rafałowi

przeczuwali
że kiedyś nadejdzie

lecz gorzki jad lęku
objął boleśnie o krawędzie
zwielokrotniał w ciemności
i drętwiał w mięśniach
kiedy dotykali serca

więc rozebrali siebie do gołej prawdy
do sacrum

aż stali się źrenicą
od pierwszych nienazwanych słońc
i ujawnionych słów

z niedowierzaniem zaglądają
poza krawędź tkanki
ale już wyprzedzają mgławice

w miękkich spiralach
ulatują światłem

Rozgrzeszenie W Górach

starzec spogląda w przepaść
ze strzelistej góry

Ojcie teraz mam dalej do ziemi
niż do nieba
kosztowny pomnik na cmentarzu
wystawiłem nie dla siebie
ale dla sumienia wnuków

wystarczy że rozłożę ręce
i polecę beztrąsko bezboleśnie
po drodze oczyszczę miłość do syna
dwie ostatnie nikczemności
choć uznajesz je tylko za naukę
człowiecze doświadczanie

Ty nawet grzechy
przemieniasz w diamenty

Kreacje

z głębia historyczną wiedzę
o władcach zdrajcach bohaterach
studiuje biografie i zdjęcia
uznanych artystów
wpływowych kurtyzan

podziwia i gardzi
ocenia
choć nie wie
że któraś kreacja była jego własną

w zatrzaśniętym mroku
rodzi się szept
usłysz moje prośby
oczyść z kamieni i mchów którymi porastam

wiekuista jaźń dźwiga balast
i woła nocami
kiedy umysł śpi

Joanna Rzodkiewicz-Nowocień



Odnaczona Joanna Rzodkiewicz-Nowocień w foyer Kieleckiego Centrum Kultury po uroczystości wręczenia



Z mężem Rafałem podczas miodowego miesiąca w Hiszpanii



Parami

(oktet)

I

zatańczyły myśli
zauroczenie wznieciło iskiarki
w czworgu oczach
zaświtało

jasne działanie
niesie plan

II

...a jeśli spadniesz
w miazdzącą mnie czerni
gwiazda zamruga w ciszy
i ryk burzy zamieni się w szept

III

zażegnać wszelkie zło

kiedy się bardzo chce
serca kamień złamie mrok
ze świtem delikatność
zbrata się z rozkoszą

IV

w twoich oczach większy świat
dla mnie twoja łza
w odniesieniu do dziś
czasoprzestrzeń
wyślizguje się w przeszłość

na wskroś snom
łańcuszek słów pulsuje prawdą

V

kamień z serca
niech spada w ciszy
choć krzyczy burzą grzmi
załamuje podłoża

oby dalej oby bez powrotu
albo sztucznym satelitą
albo jako księżyc
niech przebija mroki blaskiem
służąc sercu
które własnym ciężarem obarczał

VI

człowiek własnością czasu
ego-słabości
cienie złączone drżą
przed tymi co wyciągają szyje
by patrzeć z góry
jak lampy uliczne

VII

pod wieczór zwalniam myśl
układam zmęczenie
jak kleptoman ciepła

głównia oddaje iskry
w popiele zasypuję gruszki
jak klucze do bram życia
przy twoim boku

VIII

rzednie ciemność
tren jesieni unosi złoto w promieniach
z babim latem

w sytych pejzażach obfitość
zapach ziemi
kiełkuje zieleń
nadzieja na przyszły chleb

puch mgieł otula domy
sennie majaczą
drogi parami światel aut
rozważnie mierzą szybkość



Titanic

Piękny transatlantyk pełen pasażerów.
Podróż i przygoda. Atrakcje, salony,
na samym środku oceanu.

Uskrzydla nas opinia
stworzona przez maszynę promocyjną:

Płyniemy statkiem niezatopialnym!

Bo celem promocji jest
stworzyć reklamę o zasięgu huraganu.
Nie bać się przesady,
trafić na czołówki gazet.

Nikt nie myśli o godzinie próby,
która nieubłaganie nadchodzi.

Noc z 14 na 15 kwietnia 1912 roku.

Zderzyli się z górą lodową,
która rozbiła statek i wszystkie iluzje.

Zakładać pasy ratunkowe,
siadać do szalup!
Pasażerowie pierwszej klasy
mają pierwszeństwo!

To się jeszcze liczy, lecz wkrótce zrozumiemy,
że tutaj dolary są jak papierowe łódeczki
w morskim żywiole,
a szalup przygotowano za mało,
żeby nie zagrazać pokładowi.

Więc jeśli jesteś liderem czegokolwiek
zadbaj o miejsce w szalupie
dla każdego, kogo masz na pokładzie.

Pomyśl o wyszkoleniu

dla oficerów wachtowych
i słuchaj wiatru znad Atlantyku, który szumi:
Wybacz, że nie zbudowałem lepszego statku.
Wybacz, że reklamowałem to, co miało braki.
Wybacz, że nie stworzyłem lepszego świata.

Noc poślubna
bez ślubu,
bez zapowiedzi.

Nie było świadków,
gości weselnych,
błogosławieństwa
ani życzeń.

Nikt nie pił wina
za pomyślność.
Nie ma złotych obrączek.

Pan młody za to
przynosi pakiet obietnic,
lecz jest ciemno
i rozwiewa je wiatr.

Panna młoda
idzie czerpać wodę
do pustej studni.

Szykuje się życie
nowoczesne,
zwolnione z wartości.

A mogło być
inaczej.

Polowanie

Wydzwania
ukrywając się
pod zastrzeżonym numerem
niczym zbój
w kominiarce.

Gada serią, bo najęty.
Recytuje firmowe komunały
jak karabin maszynowy
i – żadnych pytań!

W wielkim pędzie
zbacza z drogi uczciwości.
Pułapka
przygotowana dla ofiary
głupiego zaufania
pozostanie pusta.

Pielgrzym odzyskany

Pamięci Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Od ciemnego stawu, krainy młodości
wyruszyłeś w „Inny świat”.
Na przystanku sowieckiego lagru,
tulony samotnością i snem.

Ref. Gułag, Paryż, Rzym i Monte
Cassino i długa cisza o Tobie...
Pytania, czy wracać?, czy nie wracać?
gdzie inny świat, gdzie czysty dźwięk,
gdzie wina to kara musi być!
„Bo człowiek nie może żyć
nie wiedząc po co żyje”.

Twoje *Dzienniki pisane nocą*
głośne, zbyt jasne, żeby spać.
Wiedziałaś, że brak miłości to zguba,
a zło to dobra brak.

Ref.

Wraca nadzieja o twarzy Boga, puka
tęsknota do okien dzieciństwa.
Otwiera drzwi pielgrzym odzyskany,
ziarno świętokrzyskiej ziemi.

Ref.

Autorka tekstu: Anna Zielińska-Brudek
Muzyka, aranżacja, produkcja: Paweł Piotrowski
Akordeon: Krzysztof Korban
Wykonanie: Aleksandra Gronek-Piotrowska
Chórki: Justyna Łysak

Kielce 2019

Konik osierocony

Jedyny siwek w wiosce murowanej,
ostatniej, pochylonej zagrodzie
przeżuwa swoje zielone lata,
tam na łące, ciągle brzemiennej.
O każdej porze legło się życie,
smakowało kradzione pastwisko.
O każdej porze legło się życie
i końskie mieliśmy zdrowie.

Ref. Hetta w prawo, wiśta w lewo,
wio do przodu, gnaj siwucha
i nie zwijaj ciemnej grzywy w kłęby.
Hetta, wiśta, wio koniku
choć utykasz jak mój świat
brykać, parskać będziemy wolnością.
Hetta, wiśta, wio z godnością
choć utykasz jak mój świat
brykać, parskać będziemy wolnością.

Jeszcze wczoraj lepiły się bezwstydnie
żaby, biedronki i klacz z ogierem.
Pomarszczona ziemia tętentem
tańczyła śpiewając piosenkę.
O zgubnym warkocie na szosie,
kulących się ze strachu trawach
O zgubnym warkocie na szosie,
i końskim nieznanym losie.

Ref. Hetta w prawo, wiśta w lewo,
wio do przodu, gnaj siwucha
i nie zwijaj ciemnej grzywy w kłęby
Hetta, wiśta, wio koniku
choć utykasz jak mój świat
brykać, parskać będziemy wolnością.
Hetta, wiśta, wio z godnością
choć utykasz jak mój świat
brykać, parskać będziemy wolnością.

Na pustym i obcym pastwisku
pomyślał o tym siwucha
wierzgnął kopytem pełnym ognia,
w ślepiach, pęcicach rżało słońce,
Jakże cię nie głaskać i dosiadać
by na tym grzbiecie być bliżej nieba?
Cicho, cicho koniku, cicho, cicho koniku.

Link do teledysku: https://youtu.be/sxso3p_73f0



Rys. Irena Nyczaj

Cała we mgłach
złoty koronkach
w pajęczych frywolitkach
grzybami pachnąca
leśnym duktem
polną drożyną
snuje się Jesień
podstępny szelestem
spadających liści
rdzawym zachodem słońca
i o wczesnej nocy
stanie na progu twojego...
...mojego domostwa
...cała we mgłach...
...pajęczych frywolitkach...
stanie Jesień i przyniesie...
w darze niechciany podarek
tęsknotę za latem co błękitną strzałą
minęło śmignęło tuż obok
nostalgię za tym co nieposiadłe
i niedoścignione – mitycznym Edenem?

Inowódz, 17 września 2019

Złotą rzęsą świtu
błękitem zenitu
witasz mnie miły
Dniu...
podajesz na tacy
czarę nadziei
teraz ode mnie
zależać będzie
czy wypiję z niej
duszką, do dna
czy poskromię zachłanność
i smakować będę chwile...
delektując się ich świeżością

ciężką powieką zmierzchu
przywołasz noc
czy będzie kolejną z szeregu
czy ostatnią?

Łódź, wtorek, 12 lutego 2019

Przedwczoraj...

w lustrze...

oczy...

w stalowym błękitcie spojrzenia...
hardość
ironia
i zapewnienie
cokolwiek... nie dam się!

Wczoraj...

niepewność
zwątpienie
uległość
i rozczarowanie

Dzisiaj...

już tylko lęk...

Łódź, niedziela, 3 marca 2019

Zaproszenie

W starej jabłoni
czatuje wiatr
rozwiewa toksyczne lęki
wygładza zmarszczki na czole
i bruzdy w kącikach warg.

Tylko tu wejdź!

Deszcz ukryty za chmurą
wychynie by obmyć
oblicze ze smutku i łez
a zapach kwiatów, szalone
przywoła wspomnienia.

Tylko tu wejdź!

Choć słońce już śpi za rzeką, to
zawsze gotowe rozpostrzeć ramiona
ogrzać, pozłocić szarą dzień.

Tylko tu wejdź!

Ptaków trele znowu nadadzą sprężystość,
wyznaczają tempo i rytm twoim krokom
...i pokierują ku nieznanemu...

Tylko wejdź do mojego ogrodu.
Będę na ciebie tu czekać!

Inowódz, czwartek, 23 maja 2019

* * *

Mówię do Ciebie...
Szepczę...
tylko nam znane
słowa-kody
opowiadam
a nie rozmawiam
no bo jak – z milczeniem?
Przyjdź do mnie
tyle mam do wypłakania
tyle do wykrzyczenia
tyle mam do wyżalenia
Tyle... tyle... tyle...!
Wybacz – bez Ciebie
tak niewiele – do radowania
Przyjdź do mnie!
a jeśli nie...
Przyjdź po mnie!

* * *

Wzdłuż mojej drogi
wiele już cieni
kaprysem woli
ustawione w szeregu
gotowe do zmiany szyku
a pamięć o nich tak długa
jak długo mnie!

* * *

Stale w drodze...
potykam się, obijam o własny ból
uciekam przed rozpaczą,
już czuję na karku
jej toksyczny oddech
zbliżam się do przepaści...
muszę...
pozwolić się wyprzedzić

* * *

Kochasz jak potrafisz...
a jak potrafisz:
szorstko, chropowato
zagnieździłeś się
pod skórą, czaszką
i w mojej duszy
szczotką nie wydrapię
nie wymażę gumką
jak implant
jesteś we mnie
jesteś ze mną
jesteś...

Sansewieria

Dostałaś ją mamusiu
na urodziny
Była licha
niechętna do życia.
Dzisiaj Ciebie już nie ma
A Ona rozpycha się
na okiennym parapecie
pośród innych doniczek

A we mnie...
ambiwalentne uczucia...



To wartościowe pismo od 2010 r. Iwona Zielińska-Zamora prowadzi jako redaktor naczelna

Szuflada

Mieszkańcy szuflad wiodą życie niepodległe
Sznurek od stóp po czub konopny
(miał się do czegoś nadać)
brata się z oberwanym guzikiem
od świątecznej koszuli
dawno już zamienionej
w ściereczki jednorazowe.
Ogryzek świecy z woskiem
całkowicie pszczelim
mięknie pośród kluczy
od drzwi zagubionych
po przeprowadzce.
Pojedyncze spinki od mankietów
i dzielna liga breloczków
tuż przy porcelanowym słoniku
z utraconą trąbą
od dźwigania szczęścia.
Szczerbate ostrze szczyrzy scyzoryk
przy połamanym grzebieniu.

Bogactwo nieprzebrane, róg obfitości
rzeczy przydatnych do niczego!
Jaka tutaj tolerancja
egalitaryzm i solidarność
Jakże trwałe leżenie
I niech was ręka ludzka broni
od ładu i składu wszelkiego
może co najwyżej wyrzucić
szeleszczący nie w porę
papiererek po cukierku

Narodziny wiersza

Najpiękniejszy jest wiersz
kiedy się rodzi
jak zawsze
nie ma pewności skąd przybywa
ani w którą stronę pójdzie
zupełnie nie są znane słowa
do jego przyobleczenia
terminy z opasłych poetyk
od łamania głów teoretykom literatury
jak na razie
pozostają na swoich miejscach
w ustalonym porządku
w odpowiednich rozdziałach

Nie da się nawet wiersza opisać
poprzez rozbłysk światła
za którym się podąża
w pierwszym odruchu
ani nazwać tajemnym wołaniem
na przekór wszelkim wiedzom i niewiedzom

Dom do wyburzenia

Drzwi są jeszcze masywne i grubo okute
okiennice zbrojne w metalowe sztaby
panoszą się wróble w dzikich winogradach

wszystko na nic
tynk odpada wielkimi płatami
pęka i kruszy się mur ceglany
a ludzie jak to ludzie
dawno ich tu nie ma

już jadą buldożery
i sprzęt tak zwany ciężki
na rumowisko spada
monument niepamięci

Ludzie snu

Należą się państwu słowa uznania
szczególne i poszczególne
za wysoką frekwencję
bez względu na warunki
miejsca wszystkie zajęte
jak miło tak miło, że ach
głowa pęka w szwach

jak nie dziękować
za gremialne przybycie
za aktywność ochoczą
za stawianie się w mig
za czujność conocną
za obecność po świt
jak praca na trzeciej zmianie
a absencji tyle co na lekarstwo

na jawie o tym nie ma co śnić
tu niemrawość jedynie
osobność, zgrzebność i zgrzyt
na jawie państwa się nie widuje
w żywych obrazach z sensem naddanym
a we śnie proszę swatem i bratem
z tanecznym przeskokiem w dowolną epokę
w słoneczne Boliwie Japonie wiśniowe
wyśnione bez udziału tego co śpi

Zaklików...

podwórko dzieciństwa
dom
w nim wszystko
radość i ból
kłótnia i płacz
wychodziły na ulicę
akustyką drewnianego domu
to
rynek wydarzeń –
gdzie kto kogo
i kiedy oszukał los
i wyprowadzał za modrzewiowy
kościółek
tu
pierwszy dymek z papierosa
wypite wino
ukryte inicjacje
z dziewczęcą atencją

Zaklików, 05.2018

Zanurzony w godności

Zostawiłem serce
choć stąd wyjechałem
tu mała ojczyzna –
matka
wyrwana świadomość
kryje sny
za zachodem słońca
budzi jasność
w ramionach dnia
wynurza z zalewu
myśli
godne grodu
Zakliki

Zaklików, 2.01.2014

Uroda zwierzeń

Odkrywam na nowo urodę
młodzieńczego bycia
zbieram
uwięzione w szyszynce wonie

pieczonych na blasze
podpłomyków
wypiekanego przydomowo
chleba i kaszanki
zjadam skórki
z obrzeża talerza
nielubianej pomidorowej
naciskam ustami
pierogi z jagód –
ku przestrodze mamy
zbieram dwóje czterech okresów
później oświecone
kopię z dużego palca
gumową piłkę dzień cały
powracam do szkoły
stęsknionym za nią
latem
szukam spracowanych drelichów –
w niedzielę odświętnie
ubranych
spopielam bezsens gonitwy
za każdym niby
ważnym dniem

Zaklików, 5.05.2018

Obrazy cierpliwości

Starość –
nie mamy dla niej czasu
cierpliwości
na zwyczajną rozmowę
opuszczamy ją
hamowani proszącym
– zostań jeszcze trochę...

drepcze
laską z bocze podpierając
lustrować nasze życie

denerwuje

nie idzie już
nie sztorcuje
nie poucza
nie ma jej –
choć wciąż jest
drogowskazu
wyrzutem

Zaklików, 23.07.2014

księżyc nie wschodzi nad Aleppo

śpij synku
nazbierałam ci bajek na gruzach
utkałam kołysankę z okruchów
rozszarpanej przez bombę ciszy
przegoniłam strach z naszej piwnicy
kawałkiem wiary

Baszira nie próbuje zrozumieć
jej pytania spłonęły razem z domem i Adilem

zostało tylko dziecko wydarte okamgnieniu
tamtemu mgieniu oka
gdy dach i podłoga miażdżyły przestrzeń

i nie wie dziecko
że to mgnienie za krótkie było dla ojca

i wie dziecko
że jego dom pies i nie jego samolot
tak samo wyły gdy pękało słońce

śpij synku

przenieś cię przez sterty krzyków i płomieni
znajdziemy księżyc po drugiej stronie dymu

a księżyc ma czułe struny
będziemy je szarpać będziemy w nie tłuc
usłyszysz świat
i Allah się obudzi
zabiorą nas dobrzy ludzie
do dobrych ludzi

.....
księżyc nie wschodzi nad Aleppo
mamo

em Monte

i szli
w strugach zmęczenia i radości
otwierali parasole wiary
by chroniły od złego
ból kolan znaczyli miłość na kamiennych schodach
w płomieniach świec spalali niepewność losu

i szli
w oparach zachwytu i uwielbienia
i trzepotały nad nimi barwne ptaki modlitw
przysiadają na wieżach sanktuarium
na promieniach rzęs świętej Panienki

i ona szła
po równinie rajy barwnego Monte
i niosła świecę płonąca ufnością
i oddaniem

gdy stuletni dąb miażdżył ciała i nadzieję
runął spłoszony ptak jej modlitwy
w krwawiących skrzydłach wyło przerażenie

taka jedna
koczuje teraz nad otchłanią niedokończonej pieśni
którą niosła jak płonąca świecę

niemożliwe

i znowu
w równo zaścielony spokój
zamęt
ze skrzyżowań myśli
z nabrzmiewań
jeszcze nieprzeżytych
z czarnych plam na horyzoncie jutra

i ani barwy ani kształtu nie można zamknąć
w innych oczach

nie pomaga ostrze najjaśniejszego promienia słowa
nie rozetnie obłąkanego sztormu skalpel rozsądku

na powierzchni pozorne trwanie

powiedz jak rozwinąć przed tobą ten chichot
[splątanych doznań]

słowa nie da się rozłupać
jak skorupki orzecha

wołanie gór

towarzyszkom wędrówek po tatrzańskich szlakach

głos gór jest ciszą
rzeźbioną zachwykami

oblaskawioną bólem nóg
i uległością zmęczenia

jest mgłą nad zapatrzeniem
w ostateczność
gdy szczyty i chmury splątane w podniebnych
[pejzażach]
zatapiają czas zebrany na nizinach

głos gór
wyłuskał nas jak dobre ziarno
z powszedniego dreptania
ze zgrzebnych płacht myśli i nastrojów
posiał nasze istnienie
na Rusinową Polanę na Kalatówki na Giewont
na Morskie Oko i Czarny Staw

sycił
kamienny spokój
pod stopami

niepokoił
kamienny spokój
na stromych zboczach

istniałyśmy pełniej
w chwilach wypiętrzonych dla nas
w epoce trzeciorzędu
wspinałyśmy się
na wypiętrzone w nas
masyw wielookiego losu

bliskość

oswoiłeś mnie
ogrzałeś zziębniętą na zboczu jakiegoś dnia
oplotłeś powojem czułości
wydeptałeś ciepły szlak wśród zimnych snów
nazgarniałeś dobroci na biesiadny stół
przy którym
nasza bliskość
snuje sonaty piano unisono

w twoim domu
tak dobrze smakują słowa i milczenia

twoje dłonie
jak kojący balsam na moim rozedrganiu

nawet zadry politycznych dysput
nie zmąciły zapachu porannej kawy

nie przerwały przędzy wieczoru
rozwieszanej na pragnieniach

choć codzienność
wyznaczyła nam inne miejsca na szlaku
nasze miasta
są bliskie naszą obecnością

nie chcę miasta
bez Ciebie

gdy zabrakło miłości

ta kobieta z tego bloku
wiedzieli ludzie
podeptała różaniec swoich lat
jak niedobra dziewczynka chleb
w baśni Andersena

chłęptała chciwie ciemność
o smaku warg
ostatniego mężczyzny
a skomlenie chowała skrzętnie
pod poduszkę

nie widzieli ludzie

ta kobieta z tego bloku
rozwieszała od ściany do ściany
skruczę marnotrawnej miłości
wybierała resztki ciepła
z kruchej sieci

myśleli ludzie
że ocali
jeszcze jeden paciorek swojego różańca
że uciszy
pieśń ptaka ciernistego krzewu

ta kobieta z tego bloku
nad ranem
odepchnęła szorstki świat zza okna
uciszyła rozedrganą strunę
pętlą sznura

widzieli ludzie

Barbara Gajewska

Stara kobieta

Stara kobieta
życiem zmarszczona
w ciasnym pokoju
dwa na trzy

W szal otuliła
lata zgarbione
cichutko dzierga
suche łązy...

Czasami do niej
ktoś zapuka
słyszę – otwiera
może syn?

Po paru chwilach
echo kroków
przerywa trzask
żelaznych drzwi...

Dwie

Jest nas dwie:
ja i ona,
ja to ja,
kontroler – ona!

Myślę – TAK,
a ona – wspaniale,
krzyczeć chcę,
a ona – NIE!

Wyjść, ulecieć Bóg wie gdzie...
A już słyszę: – W domu siedź!
Wyrzuć popiół z popielniczki,
przyszyj w swetrze trzy guziczki,
upiecz ciasto biszkoptowe,
kup dziś świece zapachowe,
odpowiedz na wiadomości,
bądź milutka, żadnych złości...
Gotuj, zmywaj, pierz i ceruj,
kurze ścieraj i głupstw nie rób!

Pracuj, pracuj tak jak trzeba...
Padnij! Powstań!
Prawa, lewa!

Co za bestia!
Boże drogi!
Poplątały mi się nogi...
Ręce wiszą jak kikuty,
nie wytrzymam ni minuty!

Zrób coś, Panie,
możesz, wiem...
Na biegun ją wyślij hen...
Prośby mojej nie odkładaj.
Zobacz, ona już się skrada...
Nawet pisać nie da mi...
Boże, weź ją!
Zamknij drzwi!

Posag

Mamie

Zapach bzu liliowy
tak smutny że boli
złociste żonkile
zazdrosne o słońce
stokrotki różowe
pijane od rosy
dumne słoneczniki
z głowami w błękicie

Piękno tego świata
dałaś mi Mamo
w posagu
na życie

Wiersze pochodzą z tomiku pt. *Między słowami*, którego promocja odbyła się 11.10.2019 w Miejskim Centrum Kultury w Skarżysku-Kamiennej.



obok

na granicy nocy
ostatnie kryształki ciemności
odpadły jak perłowy guzik
od wieczorowej sukni.
niebo wylania błękit
i przecieka przez rzęsy.
uchylam powieki, smakuję świt,
jego różowe chwile.
wtulam się w twoje imię,
tylko tego pragnę,
choć obok cały świat.

oddech

zaraz odejdzie dzień,
powoli zgaśnie za ciemnymi świerkami.
ucichną kroki i ujadanie psów,
wyludnią się ulice.
w oknach tylko światło odbite od latarni.
ciemność spłynęła nawet w dziurkę od klucza,
wszystko zastygło, ból też.
tylko marzenia
wciąż oddychają.

miejsce

jesień ma swoją ławkę w parku.
z dala od ludzi, zgiełku ulic
i chaosu. na niej
przesiadują dni i noce.
w objęciach powietrza
i zapachu ziemi.
tu nie ma słów
i ani kawałka człowieka.
dalekim echem
odbija się głęboka cisza.

odbarwienia

zdrapane kolory z płatków róż
i do ostatniej iskry
ciepło z powiek.
chropowate ścierniska

w nitkach babiego lata.
w zgniłej zieleni
łąki.
deszcz zmywa motywy lata
i odsłania nagość jesieni.
już przegląda się w kałużach.
w lustrze twarz
odbarwiona z ciepła.

lato

już wypalone do końca
na polach i w mieście.
wypluło resztki ciepła
nawet z języka.
chłód w każdym zagłębieniu
przeszywa ręce i stopy.
przywiedła zieleń,
herbaciane liście
i wypłowie skwery.
jesień w zwojach mgieł
przychodzi za szybko.
coś umknęło, rozsypało się.
tylko kamienie wciąż zamknięte
w swoim kształcie.

usta

przyszarzałe kłęby krążą po niebie.
ścierają się barwy i widać
pierwsze pomarszczenia.
żeby je ukryć, zmatowić,
żółty pigment
nakłada swoje warstwy.
powietrze pachnie wilgocią,
oddech ją chwyta i roznosi
w nas. tylko usta
wciąż z ciepłem,
jakby zawisło na nich
i nie da się strącić
nawet przez kaszel.

Zamiany

zamieniłem miasto baczyńskiego
na miasto różewicza
trzeba zamieniać poetów
sprzedawać miejsca samego siebie odzwyczajając
od siebie przewlekać się
na lewą stronę wędrować

piaszczystą drogą skalistą plażą uciekać
kanałami wierszy i słuchać
jak wyją jak bardzo
wyją wypluwając
błoto prosto w niebo które
zrzuca kolor a domy –
światła i mroki

zamiana –

przestawianie
tych samych miejsc

Dojrzewanie

kiedyś myślałem że myślę
potem nie myślałem że myślę
później myślałem że nie myślę
wreszcie nie myślałem że nie myślę

teraz
uciekają włosy
wysychają oczy
odpadają uszy

słyszę ogień
widzę co mówi
moja
błyszcząca czaszka

Nowe

budujemy nowy dom
niech się mury pną do góry
jak niegdyś chcieli towarzysze
a dzisiaj poeci

wznoszą nowe budynki
ze słów
wyciskają soki z drzew
z których kropki pytajniki przecinki
najczęściej
puste miejsca

figury stylistyczne przybierają cyrkowe pozy

woda leci

krany zepsute

znaczenia chyłkiem opuszczają
zdania

budynek po rosyjsku
to właśnie zdanije

Wizyta

odwiedzam dawne miejsca
wchodzę w nazwy wpadam
w przerwy między słowami spalam się
w znaczeniach i niezrozumieniach

wszystko gwałtownie żyje
– domy drzewa figury świetlne
odnawiają blask i kształty

pory roku
obok siebie

– zieleń wciąż młoda
krematoryjny upał
liście kleją się w deszczu
śnieg nie topnieje –

jednocześnie zatrzymane w ruchu
na sekundę lub dwie

* * *

nigdy nie spotkałem
własnej twarzy
w tłumie
w eremie
w trawach
w morzu

widziałem różne
niektóre nawet podobne
psychopatyczne zbrodnicze
prymitywne debilne
bestialskie
ale swojej nie spotkałem
choć po części we wszystkich
tkwi moja

więc jeśli ty chcesz ją spotkać
próbuj –
mnie się nie udało

Przybysze

do starego
przykleili nowe miasto
ze słów
hieratycznych gestów
spotów reklamowych

nadali nowe nazwy ulicom
zmienili numerację domów oraz lokali
prowadzą kartoteki
myśli mowy uczynków
autobusów (też stać je na nieprawomyślność)
rozkładów
jazdy

słuchają z płyt
chodnikowych tupotu słomianych kroków

tymczasowe twarze
układają w księgi wieczyste

na cmentarzach
grzebią za pieniądze w kostkach

bauma

: szukają korzeni

Obiad

nie śpiesz się masz dużo czasu i słów jeszcze
napiszesz tekst na który nikt nie czeka
na początku świata i na jego końcu posiedź

przy stole – miłosa para – łyżka i widelec
wchodzą pomiędzy wargi noszą
wrzątek i ciężkie mięso
sycą nadzieje i wyobrażenia

posiedź jeszcze
masz przecież dużo czasu

dopiero za dziesięć sekund
skamieniałe powietrze
wypełni twoje płuca

Stefan Jurkowski



Podczas tegorocznej Warszawskiej Jesieni Poezji (12.10.2019) gratulowaliśmy Stefanowi Jurkowskiemu Literackiej Nagrody im. J. Słowackiego, przyznanej za całokształt twórczości poetyckiej i działalności krytycznoliterackiej Fot. Andrzej Walter

Pudełko

powieść autobiograficzna (fragment)

Stoimy na stacji w Lublinie. Dowódca kompanii, młody chłopak, chorąży świeżo po wojsku, ustawił nas „na spocznij”, ale zapowiedział, że major Ostromencki zrobi przegląd kompanii, całej tej zbieraniny, która składa się na drugą kompanię: prawników, zootechników, biologów, polonistów, filozofów, a także studentów z wydziałów, gdzie jest przewaga kobiet.

Dowódca kompanii patrzy w tę stronę, z której ma przyjść major, a z naszych tylnych szeregów coraz to ktoś się wymyka na dworzec do bufetu po wino. Zazwyczaj nie poprzestaje się na jednej butelce. Jesteśmy jeszcze w cywilu, z plecakami i walizkami, które stoją i leżą między szeregami.

Major w końcu przychodzi, stajemy na baczność. Nie wiemy jeszcze, na jaki poligon pojedziemy. Na południowy zachód mamy Kielce i poligony w Puszczy Sandomierskiej koło Nowej Dęby, i najwięcej głosów jest za tymi poligonami, ale są i tacy, którzy wieszczą jakieś poniemieckie poligony w lasach na Pomorzu.

Podjeżdża pociąg towarowy z szeroko otwartymi drzwiami wagonów i przystaje. Druga kompania ładuje się do wagonów z tyłu, my – do przednich za lokomotywą. Major nie zostaje w Lublinie; towarzyszy nam do końca podróży, a może tam na miejscu zostanie z nami. Ma własny kąt z dowódcą kompanii w odgrozionej deskami połowie jednego z wagonów, gdzie są stolik, jakieś krzesła i zasłana prycza.

Stoimy, ale widocznie winko poszło w ruch, bo tu i ówdzie słychać gwar i rozpoczynają się biegi po uzupełnienie napitków. Po półgodzinie ruszamy. Zatrzymujemy się za parę minut w Zemborzycach, gdzie doganiają nas taksówką prawnicy, którzy zawieruszyli się na dworcu. Mieszają się z tłumkiem, który wyległ z wagonów i oblega kiosk z winem. Bezpalko i Kwaśniewski niosą „dla pewności” naręczą butelek. Przycicha jednak, bo major i kadra wysiadają, zaczynają robić przegląd wagonów. Dowódca kompanii z notesem. Nie przerywa to jednak zabawy w wagonach, tyle że skończyła się biegania do kiosku. Podochocone towarzystwo śpiewa, my też śpiewamy nieśmiertelną pieśń:

I zostaną się w legendzie
czasy gniewu, chwały, krwi
owe dni wspominać będziesz
nie zapomnisz owych dni...

Miałem dobry, mocny głos i zawsze, czy to na brygadzie SP, czy gdziekolwiek indziej, kiedy maszerowaliśmy w czwórkach, byłem zapiewajką.

Zacząłem więc podniecony winem:

Czemuż ty dziewczyno
pod jaworem stoisz
czy cię słonko piecze
czy się deszczu boisz...

A kiedy wszyscy podchwycili refren:

Nie ma wesela
nie ma muzyki
żeby nie było
panny Ludwiki...

W drzwiach wagonu ukazał się major Ostromencki z dowódcą kompanii.

– Baczność! – krzyknąłem przytomnie, a major powiedział:

– Spocznij!

Uporządkowaliśmy się trochę i major znowu:

– No, jak się wam jedzie? Na wieczór zajedziemy, tam już wszystko przygotowane na nasze przyjęcie! – zrobił aluzję do naszego postoju. – Do jedzenia chyba coś wzięliście?

– Tak jest – powiedział Lech, który tego nigdy nie zaniedbywał. – Możemy poczęstować – wyciągnął rękę z paczką herbatników. – Proszę, panie majorze!

Major wziął herbatnik, ugryzł, a Bezpalko zaraz pomyślał, że przecież trzeba dać majorowi popić tego herbatnika. Nalał do porcelanowego garnuszka z ubitym uchem, z którego piliśmy po kolei. Garnuszek był obmazany brudnymi paluchami dookoła. Palijo pijący od samego rana był na zupełnie wiotkich nogach i wino marki „wino” przelewało się przez brzegi, kapiąc na podłogę:

– Pij, major! – bełkoce Palijo. – Weterynaria chłopaki po chuju!

Major schował ręce za siebie, a dowódca kompanii odebrał garnuszek od Palija i postawił na desce, która miała służyć za ławkę.

– No, to jedźcie spokojnie! – major usiłował nie zauważać stanu Palija i zeskoczył na peron.

Cholera! Przecież to są moje wspomnienia, a ten Bezpalko ciągle mi włazi w tekst! Ale to już ostatni raz, bo kiedy na piątym roku zaczął się po chamsku naigrywać z Marzędą i Ciecierskiego, to Marzędą mu przywalił:

– Ty, Broniek, to pewno dzisiaj piłeś z majorem Ostromenckim!

I Broniek pozostał z otwartą gębą, nacisnął czapkę i w drzwi.

No i jedziemy, jedziemy, przystajemy na stacjach i przepuszczamy jakieś pociągi, znowu ruszamy i tak gdzieś na dziesiątą wieczór zajeżdżamy na mielecką stację. I zaraz:

– W dwuszeregu zbiórka, do dwóch odlicz!

– Raz, dwa, raz, dwa! Rzędy zdwój!

Do niedawna było: „Czwórki w prawo zwrot!” A teraz ruska komenda: „Rzędy zdwój! I krokiem marsz!”.

Przed nami prawie dziesięć kilometrów drogi. Myślałem, że zobaczę rodziców na stacji, byli i czekali, ale spłoszeni wykrętnymi wyjaśnieniami kolejarzy co do przyjazdu eszelonu, dali za wygraną, bo rano trzeba iść do pracy. Przyszli dopiero w niedzielę na piechotę spacerkiem na Biesiadkę.

No i jesteśmy na poligonie w pułku zwanym kołobrzesckim, sławnym za zdobycie Kołobrzegu i zepchnięcie esesmanów niemieckich do morza. Ten pułk to czternasty pułk szóstej dywizji, potem przemianowany na pułk desantowy stacjonujący w Krakowie. Dowódcą pułku był pułkownik Ciok, dowódcą batalionu powinien być porucznik Karolus, ale coś mu w awansach przeszkodziło i został dowódcą naszej kompanii, frontowiec, wspinały człowiek, w przeciwieństwie do naszego politruka porucznika, też frontowca, który potem skończył prawo i był w Krakowie prokuratorem.

Namioty były przygotowane, duże, mieszczące czterdziestu ludzi, dostaliśmy pościel, nie wszystko się zgadzało i nie obeszło się bez przedwojennego: „Masz głowę i chuj! Kombinuj!”. Ale w końcu śpiemy.

Włodzimierz Kłaczyński

Nadzieja

Zanurzony
imieniem w wodzie
świętego istnienia
niosę nadzieję
błogosławionej księgi życia

wpisuję się
w jej każdą stronę

Dom

Szukałem mieszkania
w domach
bogów i ludzi

zamieszkałem
kątem
w zasłyszonym słowie
płacę
każdą cenę

Ewangelie

Wyznaczony do życia
obsadzony w roli

czytam ewangelie

lektor aktor uczestnik
ministrant Pana Boga

Moja dewocja

Na półkach mojego świata
oprócz książek
stoją
oprawione w ramki
wyjęte z gazet
otrzymane lub kupione
moje święte obrazki

często zerkam na nie
przez własne życie

u moich świętych
wypatruję
wyrazu twarzy
sugestii spojrzenia

szukam
właściwego światła
by zrozumieć

Każdym słowem

Już tak rozbity
porozrywany
ten nasz świat

na
kawałki
kolory
rozstawione łóżka

na wszelkie możliwe sposoby
jak tylko się dało

cóż mogę robić
zanim
zdradzi mnie odwaga
i pochłonie śmieszność

sklejam go
w każdym możliwym miejscu
każdym słowem

Kos

Słucham
śpiewu kosa

towarzyszy mi
gdy wychodzę z domu
i gdy wracam

niezależnie
gdzie i skąd idę
jakie niosę światy

wiem
dlaczego śpiewa
i dla kogo

wiem
że jestem
tylko tłem
nieoswojonym drzewem

ale to mi nie przeszkadza

cieszę się
pięknym istnieniem

Horyzonty

W horyzontach słońc
ludzie
niestworzone rzeczy

w stworzeniu
niedowierzenie

nie starcza pewności
nie starcza wiary

Z obłoków z doliny

Tak jak się przyszło
z obłoków
z doliny
trzeba iść dalej
za najbliższe wzgórze
za lustro rzeki
w rozstawione drzewa

nieść
wszystko z sobą
co się udźwignęło

w gęstwinie znaczeń
wymieniać obrazy
dodawać barwy
składać w strumień światła

zgadywać siebie
w nieprzewidywanym
znajdować drogę
która się nie kończy

Benedykt Kozieł

Zamiast noty biograficznej

ktoś nazwał mnie kiedyś
– bez mojej zgody –
góralem świętokrzyskim
godność ta brzmi dumnie
przyjąłem ją z szacunkiem
ale ja góralem
nie jestem

przez całe życie
wspinałem się tylko
na pagórki nauki i literatury
nie była to wspinaczka
Syzyfa
zdobyłem Laskę Eskulapa
i legitymację pisarza

na Świętokrzyskiej Ziemi
zostawiłem ślady swoich stóp
i kartotekę w bibliotekach

zawsze wspinałem się
na różne pagórki i góry
wspinaczka nie była łatwa
ale upór górala zwyciężał
drogi i ścieżki musiałem
bosymi stopami
przecierać

Moja wojna

moja wojna trwa
ona jest we mnie
i obok mnie
ona się nie skończyła
tkwi w moim sercu
i w mojej głowie

słyszę wybuchy bomb
widzę jak partyzanci
Ponurego i Jędrusia
strzelają do tarczy
zawieszanej na świętokrzyskiej jodle

widzę niemieckich żandarmów
prowadzących łagowskich Żydów
do kieleckiego getta

z tłumu Żydów
pędzonych do obozu zagłady
zapamiętałem starą kobietę
która do piersi przytulała
płaczące niemowlę
kobieta szła bezwolnie
potykając się o ludzi i kamienie
bo zajęta była ukochanym wnukiem
który od czasu do czasu
płaczem dawał znać że żyje

tyle już lat minęło
od tamtego zdarzenia
ale na zawsze zapamiętałem
ową żydowską babcię
idącą bezbronną na śmierć
z mocno wtulonym w nią wnukiem

Jestem ekspertem

jestem ekspertem
drugiej wojny światowej
który widział i słyszał
maszerującą śmierć
w groźnym hełmie
i podkutych butach
który widział jak
uciekają szczury
z tonącego okrętu

nie mam blizn bohatera
ani orderów zasługi na piersiach
ale stale czuję
ból kręgosłupa
zadany butem spod Kurska

nie nadaję się
do izby pamięci
bo nie byłem
synem pułku
ani powstańczym kurierem

widziałem jednak
wybuchy bomb
i słyszałem szum
pocisków katuszy
ryzykując życiem rozbroiłem
wiele niemieckich i radzieckich min

mając na uwadze
te niebłahę zasługi
czekam na dyplom
eksperta II wojny światowej

Życiowa droga

żyłem w czasach
strachu i nienawiści
ból miłości i zdrady
i zwykłej ludzkiej dobroci

stałem nad przepaścią
i przed świetną przyszłością

kierowały mną rozsądek
lecz i poetycka wyobraźnia

wybór był trudny
szedłem za głosem
to rozumu to serca

matka na moją życiową drogę
powiedziała:
bądź zawsze człowiekiem!

Jestem mammo!

Mój portret

tego nie da się streścić
w kilku zdaniach
mam wiele twarzy
i wiele wcieleń
jedne do drugich niepodobne

mój portret pamięciowy
jest nie do odtworzenia

płonie miłością
albo jest zimny
jak lody Arktyki

dlatego epikryza
mojego życia
pozostanie tajemnicą

Chciałbym

chciałbym pędzić
na wstecznym biegu
do lat chmurnych i durnych

tymczasem ścieżki dzieciństwa
przeorał czas
a chmury zasnęły
na dnie oceanu

natrętne myśli
zawisły na polnej gruszy
i grają smutną melodię

Nie z tej ziemi

– jesteś nie z tej ziemi –
mówią przyjaciele
– chodzisz po innym świecie –
dodają

potwierdzam
i zaprzeczam

jestem jaki jestem
stworzony podobno
na obraz i podobieństwo...

Pytam sam siebie

czemu ciągle wracasz
do lat minionych

czemu przeżywasz chwile
które na śmietnik cywilizacji
już dawno wyrzucić należało

czemu wciąż szukasz ścieżek
które zarosły trawą
lub zamieniły się
w smogowy pył
przełomu ostatnich wieków

Jan Lechicki

Z najnowszego tomu pt. *Postscriptum*.

Elżbieta Musiał na *Przedwiośniu* '2019 w BWA



Elżbieta Musiał, której obrazy zdobią okładkę tego numeru, rokrocznie uczestniczy w wystawie kieleckiego BWA *Przedwiośnie*, będącej pokłosiem Interdyscyplinarnego Konkursu Plastycznego Województwa Świętokrzyskiego.

Przedstawiona została też w katalogu wystawy (*Przedwiośnie 42/2019*), na co zwraca uwagę trzymający go w ręku przy ekspozycji Stanisław Nyczaj.

Sprawiedliwy las

Wieś, w której mieszka moja matka, nazywa się Pańska. Ja nazywam się Szczęsna. Maria Szczęsna. Jadę, aby zaopiekować się starą matką, która nie może już żyć bez mojego wsparcia. Urodzona i mieszkająca w stolicy, uczestniczka Powstania, starość zapragnęła spędzić na wsi wśród lasów i jezior. Ojciec, zapalony wędkarz, przyjął pomysł entuzjastycznie. Kupiliśmy więc chatę w zapadłej wiosce, tylko z nazwy „pańskiej”, w rzeczywistości zapyziałej i biednej. „Hacjenda”, jak żartobliwie nazywaliśmy chałupkę, po remoncie wykonanym przez mojego brata architekta, okazała się wygodnym azylem nie tylko dla naszych rodziców, ale w wakacje dla różnych innych odwiedzających członków rodziny i przyjaciół.

Moi rodzice, ludzie wykształceni i światli, bardzo prędko zyskali zaufanie miejscowych. Przychodzono do nich niemal w każdej sprawie – od porad medycznych po zwykłe życiowe. Byli rozjemcami w sąsiedzkich sporach, psychoterapeutami – słowem – szanowanymi mędrkami i niekoronowanymi sołtysami wioski. Aż do śmierci ojca cieszyli się nadzwyczajnym szacunkiem wiejskiej społeczności.

Tylko jednego nie zdołali przewalczyć – wszechpanującego na wsi pijaństwa. Pili wszyscy – starzy i młodzi, kobiety i chłopcy, ba, nawet podrostki. „To dlatego, że nie ma pracy, pani” – mówili.

Wioska leży w malowniczej okolicy. Dużo tu jezior rynnowych. Zawsze mnie przerażały. Metr, dwa od brzegu i od razu głębia. Strone brzegi nie nadawały się do wypoczynku. Tylko wędkarze wysiadali tam wśród szuwarów. Ludzie mówią, że kiedyś jeden wypił za dużo i może przysnąwszy, zsunął się w czarną otchłań. Nigdy go nie odnaleziono.

Ludzie chodzą na torfowiska, ale co to za dochód. Chowają trochę inwentarza, dla siebie. Wioskę otaczają lasy – piękne, gęste, liściasto-iglaste. Bogate w jagody i grzyby. Kobiety codziennie chodzą do lasu jak do pracy. Trzymają się po kilka, chociaż wiedzą, że wtedy zbiorą mniej. Dawniej chodziły w pojedynkę. Przynosiły kopiałe kosze leśnego bogactwa, lecz kiedy jedną coś zaatakowało, trudno powiedzieć co – bo dziewczyna była nieociekła umysłowo, a w szoku nie umiała dokładnie określić – więcej się na samotne wyjścia żadna nie odważyła. Nie można też było dociec, co się

dziewczęciu przydarzyło. Indagowana, odwracała się, zasłaniała uszy i jakby jęczała. Matka osłaniała ją przed wścibskimi oczami i językami. W końcu dano spokój i leśna przygoda Maniusi odeszła w niepamięć. Pozostał tylko przekazywany z ust do ust strach przed samotną wyprawą do lasu.

Raz jeden młodzieniec, wypiswszy jak zwykle, ogłosił:

- Ja tam się nie boję. Idę sam.
- To idź. Ty możesz, bo jesteś chłop.

Wrócił bez grzybów i bez jagód. Bez koszyka nawet. Zdziwionym ludziom plótł coś bez ładu i składu. Zrozumieli tylko, że gonił go jakby zwierz, ale wydawał dziwne dźwięki. Nie oglądał się i nie wie, co to było. Gdyby dzik, to słyszałby kwik czy chrupkanie. Może, uchojaj Boże, niedźwiedź?! Z drugiej strony, czy ktoś tu w ogóle widział niedźwiedzia? Więc rzucił koszyk i uciekł.

Ludzie gadali, że w wojnę Niemcy wymordowali pół wsi. Pozostałych zmusili, by trupy braci, sióstr i matek zwałili do dołu wykopanego w lesie i zasypali. Mówiono, że ci pozostawieni przy życiu, jak połówki nadgniłych jabłek, już nigdy nie byli tacy, jak dawniej. Wszyscy zaczęli pić.

Mijały lata. O strasznym miejscu w lesie powoli zapomniano. Dzieci biegały tam zbierać jagody i grzyby. I tylko czasem któreś, zatchnąwszy się z emocji, opowiadało o dziwnych odgłosach, jękach i trzaskach. Dorosli żegnali się i nic nie mówili.

Moja matka ma już 89 lat. Koślawe stawy u rąk, pochyłona prawie pod kątem prostym. Nie słuchała, kiedy zalecałam, aby porzuciła pracę w ogródku. To ciągle schyłanie... Nie słuchała. Umysł jasny. Chodzi podpierając się kosturkiem.

- Córko – mówi radośnie – wróciłaś.
- Nie na stałe, mammo. Muszę wracać na uczelnię. Ale będę często przyjeżdżać.
- Tu jest szkoła w miasteczku. Możesz tam uczyć.
- Mammo, ja jestem naukowcem, przecież wiesz.
- To chyba możesz uczyć w szkole. Co, za mądra jesteś...?

– Nie o to chodzi, mammo. Nigdy bym się nie dogadała z tamtejszą władzą. Miasteczkiem rządzi despota, skorumpowany tyran. Gnom. Tak, leśny gnom! Ten strachliwy, pamiętliwy stwór wszędzie widzi wroga i zaraz powołuje sztab wiernych żołnierzy, którzy stają zamiast niego do walki. A on spokojnie siedzi i czeka, czeka i obserwuje. I zaciera krótkie rączki.

– Ale go podsumowałaś. Masz rację, on i w nas z ojcem widział zagrożenie dla swojej pozycji. A przecież my tylko pomagaliśmy miejscowym. Nawet ksiądz opowiedział się za nim.

– A czego się spodziewałaś? Racja, w jego mniemaniu, jest po stronie silniejszego.

– On może jest nie tyle silny – wtrąciła matka – co zły. Ludzie mówili, że jego rodzina zginęła tu, na tej ziemi, w niejasnych okolicznościach. Szeptali coś o lesie i przeklętym miejscu. Ale kto to wie... Ludzie zawsze coś dodają od siebie. Ubarwiają. Fakt, że po tej tragedii stał się złym człowiekiem. Jakby szukał zemsty. Nie miał już nic. Tylko władzę. I strach. Ludzie bali się go. Jestem stara i wiem, tak samo jak i ty, moja mądra córko: dobry człowiek nie dzieli ludzi, lecz łączy. Nie wykorzystuje swojej wiedzy i inteligencji przeciwko, lecz za człowiekiem. Nie uderza w czyjś słaby punkt. Ksiądz na mszy mawiał: „Sukcesy pana burmistrza są naszymi wspólnymi sukcesami”. Ludzie przytakiwali głowami, przekazując sobie znak pokoju. Czasem tylko ktoś westchnął ciężko.

Zostałam w wiosce na dłużej. Mogłam sobie na to, jako pracownik naukowy z nienormowanym czasem pracy, pozwolić. Hacjenda wymagała remontu.

Udało mi się zwerbować kilku mężczyzn do wykonania najprostszych prac. Chętnie przyszli, wzięli zaliczkę i znikli. Kiedy przepili pieniądze, zjawili się ochoczo do pracy.

Zwołałam kobiety do porządków. Wkrótce dom odnowiony lśnił czystością. Matka była szczęśliwa. I jakby mniej pochylona.

Kobiety coraz chętniej odwiedzały nasze siedlisko. Zaciekawione słuchały o życiu, jakiego nie znały.

Jakoś sam zrodził się pomysł, że zaczną produkować i może sprzedawać to, co potrafią robić najlepiej: dzemy, przetwory, a nawet piękne ludowe haftowane spódnice, bluzki, chusty.

– Może haftowane majtki! – wyrwała się któraś młoda.

– Cicho, głupia – skarciła ją stateczna matka.

– A dlaczego nie? – podchwyciłam. – To świetny pomysł!

I tak się zaczęło. Trzeba było tylko dopełnić niezbędnych formalności. Nasze działania zaczęły nabierać rumieńców. Picie schodziło na dalszy plan. Cieszyło mnie to.

Ludzie odwiedzali nas w rozmaitych sprawach. Teraz to ja stawałam się lekarką, psychoterapeutką,

rozjemczynią i kimś tam jeszcze... A do tego księgową, managerem, kierowcą, dostawcą.

Z okien naszej chaty widziałam las. Wieczorem czarny, rankiem niebieski, otulony oparami mgły.

Lubiłam spacerować w wolnych chwilach. Dochodziłam aż do leśnego masywu. Kiedyś dotknęłam białawego pnia brzozy.

Był ciepły.

Jak żywy.

Wbrew logice i prawom natury.

Oniemiałam.

O naszych marketingowych dokonaniach poszła wieść po gminie. Sklepek wiejski brał nasze wyroby, które rychło znalazły chętnych i poza naszym terenem.

W miasteczku zawrzało.

Do sklepu przyjechała kontrola. Nie wykazała niczego niezgodnego z prawem. Za to życzliwi donieśli mi, że sam burmistrz zainteresował się moją-naszą działalnością.

Oho, pomyślałam, będą kłopoty.

Nie czekałam długo. Pewnego dnia otrzymałam urzędowe pismo z żądaniem wyjaśnienia zasad, wedle których produkujemy i sprzedajemy nasze wyroby.

Gnom ruszył do ataku, pomyślałam.

Pudło. Zezwolenie mamy. Stosowny wpis mamy. Podatki płacimy.

Doświadczalam pełnej akceptacji naszej wiejskiej społeczności. Naszej. A więc wrastam tu. Czyżby to miało być moje miejsce na ziemi?

– Nasza Maria na sołtysa!

– Na burmistrza!

– Chcemy ciebie, Mario. W tobie nasza nadzieja i przyszłość!

Otarłam ukradkiem łzy wzruszenia.

Nasza „spółdzielnia” przeżywała prawdziwy rozkwit. Zamówienia spływały jak rwąca rzeka. Co ciekawe, poczesne miejsce zajmowały w nich nasze pięknie haftowane damskie majteczki!

A mężczyźni coraz śmielej snuli plany bardzo odważne.

– Mamy tyle ziemi! I stoi ugiem. Pobudować by domki pod letników... Zarobiłoby się.

Pochwaliłam pomysł. Obiecałam skontaktować się z moim bratem architektem, aby rozeznał problem, co i jak.

A w miasteczku, jak się dało słyszeć, działało się źle. Coraz częściej dochodziło do konfliktów i swa-

rów. Ludzie podzielili się: część trzymała z władzą i księdzem – to głównie ci, którzy znaleźli zatrudnienie w urzędach i na plebanii – inni z ciekawością popatrywali w naszym kierunku.

Gnom rozsierdził się nie na żarty. Na monolocie pojawiły się rysy, za nimi pęknięcia. Trzeba więc było zagrać *va banque*.

Władze miasteczka i gminy ogłosiły wycinkę lasu. Konieczną ze względu na inwazję kornika drukarza, którego populacja tak wzrosła, że zaczęła zagrażać okolicznemu drzewostanowi.

Nie muszę dodawać, że ten zagrożony las widziałam z okien naszej hacjendy. Wieczorem czarny, rankiem niebieski, otulony oparami mgły...

Zwołaliśmy na pomoc ekologów. Nic nie pomogło. Doszło tylko do kilku spięć i awantur, pokazanych nawet w telewizji.

Zaczęły się schody, pomyślałam. A więc wojna.

Miałam przyjaciół posłów i senatorów. Postanowiłam iść po tej linii.

Udało się. Nasz gnom lekko się przestraszył chyba, gdyż zaproponował negocjacje.

Ja zaproponowałam spotkanie.

W kilka osób.

W lesie. Na połowie drogi.

Propozycję przyjęto.

Kiedy burmistrz z dwoma współpracownikami jechali przez las na umówione miejsce, coś się zdarzyło. Może jakieś stworzenie wyskoczyło przed maskę pojazdu, trudno dociec. Dość że kierujący na wyboistej leśnej drodze stracił panowanie nad autem, które przewróciło się na bok. Akurat na ten bok, gdzie siedział gnom.

Przywalony toną żelastwa nie przeżył.

Ciężko ranni współpracownicy po długim leczeniu i rehabilitacji opowiadali o przerażających głosach, jakie słyszeli, zanim stracili przytomność.

Opowiadanie z nowo wydanego tomu pt. *Wina*, którego promocja odbyła się w kieleckiej księgarni „Pod Zegarem” w dniu 8.07.2019 (fot. poniżej)

Wciąż w galopie

Wiem, że jesteś narowisty
i trudno cię usadzić, jednorożcu
A żeby ujeździć,
w ogóle nie ma mowy.

Twoja księżycowo-srebrna postać
w mgławicy gwiazd
na mojej sukience o barwie nocy
– wciąż w galopie –
pokonuje nieprzekraczalne granice,
wyzywa kosmos cały.

Mleczną Drogę bajkową
chcę przebyć na twoim grzbiecie
osadzić cugłami gniew.

Irena Nyczaj

Wiersz ukazał się na portalu [Pisarze.pl](https://pisarze.pl), jako Wiersz Dnia 20.09.2019 <https://pisarze.pl/2019/09/20/irena-nyczaj-wciaz-w-galopie/>



Ciche jezioro

Moje ciche turawskie jezioro – opuszczone –
[wyschnie.
Jak wysechł kędzierzyński las, przywiędły jego
[polany.

Ono jeszcze się garnie
do każdej z rzadka napotkanej stopy,
zlizując ufną falą
najwęższy ślad.

Gdy tylko wdzięczna
tęsknota się skrada –
kołuje fale, wabi,
wyprowadza z brzegów,
bym przemył zbląkaną twarz.

Na próżno wysilam pamięć

Z ukrytą w dłoniach twarzą
na trzęsących się nogach
trwam u brzegu umarłej rzeki.

Nie ma już w niej tamtych ryb,
co ocierały się figlarnie o ciało
w kąpieli przy radosnym wodospadzie.

Ciemnym nurtem suną leniwie
przeładowane żalem wspomnień
barki.

Oka rybackich sieci

Z jakimż wyrzutem patrzą na mnie
oka rybackich sieci,
że z zawziętym aż tak rozmachem
ciskam nimi w lustro toni,
roztrzaskując je w bryzgi fal.

Zapatrzony niemo,
coraz dotkliwiej czuję,
jak w nich zdumienie się przemienia
w pomroczny u nabrzeży szmer.

Ucywilizowani

Jak pomyśleć, że gdzieś tygrys w swej gracji drapieżnej,
że orzeł szybujący spogląda na góry,
w gęstwinach kwitną kwiaty niewidziane,
w oceanach gadają delfiny,
w mrocznych głębinach świecą ryby
[o przedziwnych paszczach,
że niedźwiedź polarny kroczy wolno, samotnie...

A widać tłumy bez włóczni, strzelby
w hipermarkecie.
Zajadle pchają klatki na kółkach (koło to wielki
[sukces umysłu!)

W nich w puszkach ryby,
w słoikach owoce egzotyczne,
w torbach rośliny kiedyś szumiące
i strzępy zwierząt w plastiku.

Ochłapy świata nam ofermom na ofiarę.

Na opak

W naszych opastych sklepach
już prawie nic
„na wagę”,
Coraz mniejsze porcje pokarmu rozdzielone
[w opakowania.



Czasem się podzielą: coś rzuca tym co z głodu...
(Najpierw im sprzedali broń).

Nieustanna fala prze do cywilizacji opakowań.
Dobijają niedobitki.
Morze nie rozstępuje się,
choć w koło krwawe jatki.

Miód w słoikach, mleko w kartonach.
Już nie popłyną.

Naukowcy coś odkrywają, filozofowie podważają.
(Czasem z posad bryłę świata).
Opakowane wielkie Nic?
Po oceanie plastikowa wyspa pływa.
Niezatapialna Atlantyda?

Osiem miliardów opakowanych
strzępów Człowieka?
W ubrania, skóry, ego...
A ci, co byli?
Porcje?
Kupa śmieci?

Jaką miarę przyłożyć, do czego?

Znowu o dębie (bo wśród nich czasowo mieszkam)

A właściwie o dębico-dębie,
bo jest i samicą i samcem samowystarczalnym:
po ludzku – niegramatyczny
z nikto nam znaną własną mową,
bo wietrznie
bez języka...

Wzrastającym istnieniem obszernym – przecież nie
[gestem –
zagarnia niebo pobliskie.

Przesiadują na nimniej sójki ze srokami w wiecznym
[sporze

i wiewiórki gibkie
wciąż się na nowo rodzące.

A wokół ludziowaci dogadzają swemu życiu tak
[nikłemu
więc się o to drzewo lękam, troskam.
Znikoma.

Może stąd odejdę lecz poniosę jego-ją po świecie

delikatnie w gałązkach neuronów pamięci.

Potem proszę: tylko całun.

Śmierć dębu

Wyważony z szumnej ciszy
zgrzyt i trzask...
Huk!
Słyszę:
drży wstrząśnięta ziemia.
Trzysta lat życia
padło.

Mieli papier (!),
że im wolno!

Na pobladyłach z innych trupów płatkach piszę,
Osławiając ranę.

Dąb runął z trzaskiem,
jęknęła ziemia.
Pełna kartka.
Niebo puste.

Jajko

Rozbijam symbol życia
jajko
ciemna mazia
zaśmierdziło śmiercią
to tylko siarkowódor powiedzą rozsądni
i że piekła nie ma
są dezodoranty
wszędzie pachnie ładnie

Tną drzewa w Kanadzie
bo zużycie ropy nieustannie wzrasta
żyć trzeba przyjemnie

Powietrzne meduzy
plastikowe torebki mnożą się zachłannie
oblepiając ziemię pociętą szarymi sznycami asfaltu
pochłaniają zakupy psie kupy i trupy

Z gazet i ekranów nie przenika zapach
śmierć jest higieniczna

i tylko to jajko...

Aureola

Dostałam zdjęciem po oczach.
Szare ciało matki z różową aureolą w miejscu po
[obciętych rogach].
Aureolą pośrodku pyska, twarzy?
Malutki nosorożec tulił się do poćwiartowanej matki.
Róg na potencję dla nieludzkich samców.
Bezradnieję przeciw okrucieństwu.
To zdjęcie jak ikona zła: martwa matka i dziecko.
Przeciw mam tylko twarz matki z jeszcze niezabitym
[dzieckiem]
w aureoli.



Tygrys

Z naszego życia uchodzą gatunki, już nie będzie gibkiego piękna, płowych ciał,
drapieżnych przyczajeń, wiotkości kolorów.
W naszym świecie już całkiem serio grożą bombą atomową.

Patrzę w jasne oczy tygrysa, ja wiem...

W erotykach poetów dużo rozdzierającego słowa: „prześcieradło”,
Jest płaszczyzną do budowania marzeń i spełnień.
W naszej rzeczywistości już rzadko łagodnie okrywa pozostałe kształty.
Worki foliowe czynią przedmioty.

Patrzę jak tygrysica liże ufne tygrysiątko.

Chodzą po globie ludzie. Jak szpileczki wbite w kulkę Ziemi. Stopami do środka, a w sterczących łebkach – co?
Na ziemię padają drzewa Amazonii, morświny już raczej bez szans.
Poeci wciąż prześcielają.
W Wielki Tydzień, krążą drogi krzyżowe. W nich tylko gwóźdź jest niewinny,
Martwe drzewo wynosi zwycięstwo.

Nigdy nie dotykałam tygrysa, myślę że ma mięciutkie futro. Mimo drapieżnych przyczajeń.

Zamachowcy wyrrywają z życia w środku kolorowych miast. Znienacka.
Czerwienią się chodniki w telewizorach na całym świecie. Tylko przyczepione do nich słowa są różne.
Rozdzierający wrzask.

Nie wszędzie jest Jeruzalem, można marznąć na drogach krzyżowych.
W Australii już jesień. W Europie ptaki śpiewają o świecie, zakładają gniazda.
Tygrysica uczy tygrysiątko.

*Uta Przyboś –
wiersze i malarstwo*

IGRASZKI

Ambaras

W szczerłość jego wyznań miłosnych wierzę
ale w towarzystwie tego pana
nie chciałabym nigdy leżeć

Kąkol

Kąkol się nad zboża wznosił
Ale chłop go też wykosiał

Wyznanie dłużnika

Choć całe życie zadłużony
wyznaję to szczerze
że po śmierci nie chciałbym
w długach wiecznie leżeć

Po życiu

Wystarczająco się boję
ciasnoty i ciemności
by po życiu
pod marmurową płytą
złożono moje kości

Rachunek

Zanim cmentarne jękną dzwony
trzeba się jeszcze zastanowić
czy ten rachunek
za światło wiekuiste
mam już zapłacony

Nimfy

Na szczycie góry, pod samym niebem
nimfy częstują miodem i chlebem
i na dokładki, serwują jędrne pośladki
a chłopcy stoją szeregiem

Nie tylko serce

Daleko gdzieś na Słonecznym Wzgórzu
chronić nam córeczkę aniele stróżu
uczucia kipią, żyje w udręce
oddać chce chłopcom nie tylko serce
Oj, będzie wkrótce w rodzinie burza

Na zdrowie

Mężczyzna już w raju stracił głowę
gdy kobieta dała mu jabłka połowę
rozniewany stwórca błyskawicę rzucił spod
[powieki
i skazał człowieka by, jadł z jej ręki już na wieki
Ale nie zawsze wychodzi mu to na zdrowie

Nieudany

Niezadowolony stwórca chciał zniszczyć Adama
Ewa go powstrzymała mówiąc, że zrobi to sama
kobieta odtąd, choć krucha i mała
spełnia to, co Ewa obiecała
I truje chłopca od samego rana

Miłość i rozum

Dziewczyna szczęśliwa, że znalazła bratnią duszę
miłością rozum swój zagłusza
a on każdemu do ucha krzyczy
że taka laska się z nim... liczy
Ale rozum zwyciężył i nie dała się skusić

Dewot

W dobrej wierze
maczał palce w kropielnicy
a potem w aferze

Wianek

Na wodę rzuciła wianek
czekała długo, aż zastał ją ranek
może złapie go który?
Jak nie – to nie będzie w niebie dziury

Z nowo wydanego tomu pt. *Okruchy obłoków*.

Rozdział I (Mateusz)

Fragment powieści

Zielona limuzyna, zostawiając za sobą chęciński zamek, domy u jego podstawy i drogę wiodącą przez Korzecko, gnała prowadzona pewną ręką Mateusza. Płynnie pokonywała zakręty i zdecydowanie przyspieszała na prostych. Kierowca znał tę trasę znakomicie i to mógłby powiedzieć śmiało, że od zawsze. Jego najwcześniejsze wspomnienie samochodowe, to jazda z ojcem taksówką z Małogoszcza do Chęcina. Garbata warszawa majestatycznie przetaczała się przez porastający krętą, wąską drogę, sosnowy młodniak; minęła Bocheniec, wyłoniła się zza serii zakrętów, przetoczyła po moście w Mostkach, zbliżając się nieuchronnie do celu. Oczywiście w tamtych latach nie było zbiornika, powstałego po zalaniu wyrobiska kopalni piachu w Bolminie. To zalanie stało się wiele, wiele lat później. Wodę wpuszczono do byłej kopalni, a nie piaskowni; wtedy mielibyśmy niewielką sadzawkę, a nie piękny, pełen meandrów, z trzcinami przy brzegu, wodnym ptactwem i strzeżonym przez ratowników kąpieliskiem, głęboki zalew. Czy wydobywano tu już wtedy piach – tego nie wie, nie zwrócił w każdym razie na to uwagi. Nawet zamek nie interesował go wtedy, bo go z tamtej wyprawy nie pamięta. Z odległej jazdy przypomina sobie za to staromodny kasownik w taksówce, z perspektywy dziecka w środku ogromnej, i zapchany autobusami chęciński rynek. Stały poustawiane w rzędkę na wybrukowanym kocimi łbami placu. Pekaesy! Całe lata dojeżdżały tylko do Chęcina, a z okolicy, jeśli chciało się dalej dostać, należało jakoś do tego rynku dotrzeć. Z latami, wraz z rozbudową lokalnych dróg siatka połączeń objęła wszelkie, nawet najodleglejsze od Kielc miejscowości. Teraz, po piętnastu latach wolności gospodarczej, nie tylko prywatne busy docierały wszędzie; zmieniła się i sama droga. Przy okazji budowy cementowni w latach siedemdziesiątych, droga została nie tylko wzmocniona, poszerzona, ale i pozbawiona części zakrętów. Obecnie już prosiła się o następny remont, czy raczej o zrobienie jej od podstaw. Ciężkie, wypełnione cementem samochody-beczki wycisnęły w zbyt słabo podbudowanej nawierzchni głębokie tory. Zmieniła się i szosa, i jej otoczenie. O wodzie w Bolminie już wspominałem; jeszcze sosnowy młodniak, z którego wyrósł solidny, dumnie prężący się kilkudziesięcioletni sosnami las. Zapewniał on osłonę od wiatru

i śniegu zimą, a dawał zbawienny cień latem. Cień ten wraz z lasem gęstniał i przechodził już w okolicy Ptasieńca w mrok. Tu, wśród drzew, rozrzucono domki ośrodka kempingowego. Mateusz minął go, wjechał na dobre w Bocheniec i po chwili przemknął po moście.

Ostatni raz był w tych stronach pięć lat temu. Stęsknił się za nimi potężnie. Gdyby nie dzika rozkosz, jaką odczuwał podczas jazdy, pewnie zatrzymałby się już na Bocheńcu, przeszedł po lesie, może nawet wspiął na Czubatkę, z której rozciąga się widok na Małogoszcz. Mateusz widział tę panoramę jeszcze przed cementownią; poprzez zieleń drzew przedzierało się białą ścian domów miasteczko. Pamięta tę panoramę z zachwalającego ziemię kielecko-sandomierską czarno-białego albumu. Bardzo często oglądał go jako dziecko; mimo upływu lat, bez trudu przywołuje zdjęcie z przeprawy po Wiśle promem czy widok polanej deszczem asfaltowej drogi, prowadzącej wzrok widza od strony Kielc ku Chęcinom. Pamięta nawet tytuł zdjęcia – „Nową szosą do Chęcina”. Fotografie musiały być na tyle świetnie wykonane, że rozbudziły w nim na zawsze sentyment do starych, czarno-białych zdjęć. I tam właśnie jakiś wybitny artysta prezentował widok Małogoszcza z Czubatki. Chociaż na Czubatkę dzisiaj już raczej nie. Nie chciałoby mu się. Zresztą, zrobiło się późno. Tak więc nie zatrzymał się na Bocheńcu; przejechał ostatnie kilometry po podremontowanej, równej drodze, od rogatek miasta obwiedzionej doskonale wykonanym chodnikiem z czerwonej kostki, i zaparkował w rynku. Obszedł go po perfekcyjnie równym chodniku, wkroczył do supereleganckich delikatesów, gdzie kupił kilka zniczy i zapałki.

Ani w rynku, ani w sklepie nie spotkał nikogo znajomego. Właściwie już od dziesięciu lat nie spotykał tu znajomych. Musiałby specjalnie do kogoś iść, a na to nie miał ochoty. Te pytania, takie niby troskliwe, a w każdym czuł ironię, czasami nawet kpinę. Kiedy tu przyjeżdżał, odwiedzał tylko wujka i oczywiście „mieszkańców górki”. „Na górcę” jeszcze prędeziej mógł natknąć się na kogoś ze starych. Tyle tylko, że nie w takim zwykłym dniu i pewnie nie o tej godzinie. Pojechał tam, stanął w pobliżu ogrodzenia. Innych samochodów nie widział, a więc jak przypuszczał, będzie na cmentarzu sam. Wspiął się pod górę modrzewiową aleją nazywaną przez miejscowych „drożyną”, minął pięknie odnowiony zabytkowy kościółek, kiedyś potwornie zaniedbany. Jeszcze kilka lat temu z gzymsu nad wejściem wyrastało młode drzewko! Dziś starannie odnowiony, raz do roku, w dniu Wszystkich Świętych przeżywał wielkie chwile, służąc wiernym z Małogoszcza i przybyszom z całego kraju, a nawet

z zagranicy. Minął więc go i w miarę szybko obszedł wszystkie groby. Nieco dłużej postął przy rodzicach i dziadkach. Zawsze czuł się tu głupio; miał irracjonalne wrażenie, że oceniają go, stojącego przy tych kawałkach kamienia, i rozliczają z nieudanego życia, z zawodów, jakie im sprawił. Przecież tak bardzo jego życie odbiegało od ich wyobrażeń o tym, jak powinno się żyć. Starał się, i owszem, ale jakoś nie wychodziło, a coraz mniej miał w tych domniemanych rozmowach z przodkami na swoje usprawiedliwienie. Już wracał, ale jeszcze na chwilę przystanął przy grobie mamy dziadka Antosia, czyli grobie prababci.

Lilijka, tak ludzie na nią mówili. Była tak piękna jak lilijka i dlatego tak ją nazywali. Ojciec przywiózł ją z Kijowa. Była inna niż wszyscy w Małogoszczu. Proszę, zawsze dbaj o jej grób. Bardzo ją kochałem, moją mamusię. Ojciec ją zdręczył, mówią, że z zazdrości i zmarła tak młodo. Zostawiła mnie... takie dziecko na pastwę macochy, ale przecież nie chciała. Pamiętaj, dbaj o jej grób – zawsze w tym miejscu dźwięczały mu w uszach słowa dziadka Antosia.

Zrobiło się, jak to na cmentarzu wraz z zapadaniem ciemności, nieprzyjemnie. Mateusz poczuł się dziwnie niepewnie. W siatce zostały jeszcze znicze dla powstańców styczniowych, pochowanych w zbiorowej mogile, niedaleko od grobu prababci. Powinien jak zawsze tam iść, ale postanowił inaczej. Jutro. Tak, przyjdę tu jutro – pomyślał, poprawił znicze na płycie grobu, przeżegnał się jakoś tak niepewnie. Zszedł pospiesznie na „drożynę,” gdzie między modrzewiami zostawił samochód. Teraz już nie było odwrotu. Nie dało się tego dłużej odkładać. Mateusz zakręcił stacyjką i po pięciu minutach był pod domem wujka.

Nowy, okazały dom stał dociskając coraz bardziej do ziemi ten stary, czemuś wciąż nierozebrany. Nacisnął na dzwonek przy furtce. Czuł się nieswojo. W końcu przez pięć lat nie dawał znaku życia. Okoliczności jego wyjazdu z kraju nie do końca były jasne. Różnie o nich wśród znajomych i rodziny Mateusza mówiono. Jedni podnosili kwestie jego drugiego rozwodu, inni pląty jego firmy, jeszcze inni doszukiwali się w jego wyjeździe jakiegoś drugiego dna. Mimo że wujek wyciągał go zawsze z wszelkich opresji, Mateusz tym razem nie miał pewności, jak zostanie przyjęty. Zadzwoił ponownie. Furtka pozostawała zamknięta.

– Co jest? – głośno powiedział i w tej samej chwili pomyślał, że w furtce obok kamery może być zamontowany mikrofon. Cofnął się, dokładnie obejrzał okna budynku. Wszystkie były ciemne, bez śladu światła. Czyli nie ma nikogo. Tak, na pewno nie ma nikogo. Wyszli gdzieś albo wyjechali, a on sobie wyobrażał

nie wiadomo co. Już miał odchodzić, kiedy zauważył, że furtka do starego domu nie jest domknięta. Chwilę się wahał, rozejrzał wkoło i ostatecznie podszedł do niej, pchnął zdecydowanie. Drzwi wejściowe też nie były zamknięte na klucz. Zatrzymał się w tym, co kiedyś było kuchnią i najczęściej uczęszczanym pomieszczeniem. Odruchowo sięgnął tam, gdzie od zawsze był kontakt. Nacisnął. W kuchni zrobiło się jasno. Nie do uwierzenia – światło działa! Jasne, wujek perfekcjonista. Wszystko, za co brał się w życiu, robił najlepiej jak się dało. Inaczej po prostu nie robiłby nic. Taka natura. Dlatego, dzięki takim „niemieckim” cechom charakteru, odziedziczonym prawdopodobnie po Szwarcach, potomkach niemieckich kolonistów – pracowitości i inżynierskim talentom – udało mu się jak mało komu zrobić karierę. Oczywiście nie tylko dlatego. Potrzebne jeszcze były korzystne okoliczności i zwyczajne szczęście. Rozejrzał się – pełno tu przeróżnych, niepotrzebnych przedmiotów, które powinny wylądować na stosownym dla nich śmietniku, a z którymi nie chciano się rozstać. O dawnym przeznaczeniu tego wnętrza przypominały jedynie dwa meble: solidny stół i przekrzywiony w jedną stronę kredens.

Mateusz przymknął oczy i w wyobraźni przeniósł się w dawne czasy. Zobaczył Dziadka jeszcze w pełni sił, energicznie mieszającego w szklance wodę z sodką i robiącego w ten sposób dla niego „oranżadkę”, albo stos kanapek dokładnie na środku stołu; północ i on z Wujkiem właśnie wrócili z nowego domu. Cały dzień i pół nocy zakładali tam światło i teraz głodni jak cholera zapalają lampę i widzą przygotowany przez Babcię posiłek. Widzą też, jak dokładnie przez środek góry kanapek, zgrabnie zasuwa dorodna myszka.

Ciekawe, co jeszcze zostało w kredensie – pomyślał, wyciągnął szufladkę i grzebał w niej. Jest prawie pusta, ale o dziwo, znalazł tam szewski młotek Dziadka! Chwilę trzymał go w ręce i odłożył z powrotem. Obok szufladka na włosie. Końskie. Dziadek pieczołowicie zbierał je i odstawiał do skupu. Szufladka oczywiście pusta, chociaż... jednak uchwyciła się niewielka kępka. Wraz z nią, jej dotykiem, wraca wspomnienie ich słynnej zabawy z Krzyśkiem. Wszyscy dorośli pojechali w pole, a oni zostali sami. Wspaniała okazja, żeby z normalnego podwórka uczynić a to prerię, po której pędzą Apacze, a to pola bitewne drugiej wojny przemierzane przez niepokonaną załogę „Rudego”. Na koniec postanowili zostać kotami. Tak, prawdziwymi! Wystarczyło tylko przyprawić sobie wąsy. Końskie włosie i butapren świetnie się do tego nadały. Kiedy dorośli nareszcie wrócili zmęczeni całodniowym

tyranem w polu, pozostało im tylko wyłowić koryto z gnojówki, bosakiem wyciągnąć wiadro ze studni i przede wszystkim oswobodzić „koty” z wąsów.

Przeszedł do następnego pokoju. „Jego” tapczanik! Na nim spał w każde żniwa, aż do ostatecznej przeprowadzki do nowego domu. Tapczanik. Na nim nie tylko spał... Przeczytał tu *Długi tydzień w Parkman*, powieść o tyle dla niego zaskakującą, że wówczas całkowicie inną od jego wybitnie nakierowanego na typowo polskie tematy podejścia do literatury czy sztuki w ogóle. Tapczanik był wreszcie świadkiem upojnych chwil... Teraz rozpaczliwie szczerzył się do niego wyprutym siennikiem. Jakieś stare sprzęty spiętrzone bez ładu i składu dopełniały reszty wido-ku. Mateusz przeszedł się jeszcze po pozostałych pomieszczeniach, zawrócił do samochodu i z torby podróźnej wyjął butelkę wódki. Sięgnął po starannie zapakowany notes. Między jego kartkami umieścił stare, czarno-białe zdjęcie. Wyjął je teraz i wrócił do domu. Po drodze przystanął na chwilę w sieni. Wystarczyło uruchomić wyobraźnię, przymknąć oczy i już... Przez sień pyrkocząc przejeżdża traktor i ciągnie wóz ze snopkami – prawie się z niego wylewają, tak ich dużo. Przejeżdżając trze o sień słomą. To już trzeci kurs od rana. Za chwilę podjadą pod stodołę, wypną wóz, przepchną go do środka stodoły, odepną powąż i jeszcze przed obiadem zrzucą snopki do zapola... Otworzył oczy, westchnął i wszedł do środka domu, wprost do kuchni. Wódkę postawił na stole. Z kredensu wyciągnął dziadkowy młotek, pogrzebał jeszcze trochę i już miał komplet! Trzymał w ręce młotek i dwa gwoździe. Odłożył je na stół i sięgnął po butelkę. Odkręcił nakrętkę.

– Wasze zdrowie. – Pociągnął spory łyk, zaszumiło mu. W końcu prawie nie pił od kilku lat. Sięgnął po młotek, gwoździe i zdjęcie. Poszedł do dawnej sypialni dziadków. Tu, na ścianie jeszcze widać było ślad po ich ślubnym portrecie.

– Tu będzie najlepiej. – Przymierzył i prawie pośrodku ściany przybił zdjęcie; odszedł nieco, spojrzął na swoje dzieło. Planował dać zdjęcie wujkowi, tak jeszcze myślał o tym podczas jazdy z Warszawy do Małogoszcza, ale teraz poczuł, że to jest właściwsze rozwiązanie.

Grzegorz Rak

Fragment powieści pt. *Fotografia. Oni i misja. Wolność.*

Haiku

Bywa że można
się nacieszyć pogrzezyć
choć jest pobożna

Szukają pociech
kumy od samej sumy
w plotkach przy płocie

Siebie nie wini
lata na stare lata
za zgrabną w mini

Co druga hoża
żona przyzwyczajona
sprawiać poroża

Kładzie się Hania
co wieczora gdy pora
z jaśkiem do spania

Z braku ochoty
Jadwiga ciężar dźwiga
jest panią cnoty

Gwarkom kokota
nader szczerza otwiera
kopalnię złota

Rzecz się wydała
Gienia z przyzwyczajenia
chłopów zmieniała

Wsiada do łodzi
poseł ale bez wiosła
gdy po powodzi

Wywołał wilka
na zebraniu w przebraniu
podbiegło kilka

Gdy kaszel suchy
męczy i w piersiach jęczy
zostaw dziewczuchy

Aforyzmy

Humor jest wesołym pożywieniem dla człowieka.

*

Chyba najczęściej grzeszą ręce.

*

Bez serca, bez ducha... co druga dziewczucha.

*

Ograniczono dostawę żyłki... poetyckiej.

*

Śliczne kwiaty cięte są jak ryby śnięte.

*

Na pijaka można liczyć tylko w czasie picia!

*

O biedę nie pyta... póki jej nie napyta.

*

Wyglądając Bożej łaski nie czekajmy na... oklaski.

*

Nie tylko świny są amatorkami żółędzi.

*

Nauczmy się cierpliwości, a nic nie będzie nas złościć.

*

Łajdackie cwaniactwo góruje nad mądrością.

Fraszki

Ciągle pierwszy...

Był pierwszym sekretarzem!
Dziś pierwszy – przed ołtarzem!

Podła dusza

Nie pomogą modły,
Gdy nikczemnik podły!

Urbanista...

Młody budowniczy, dożył tej pociechy...
Gdy z krajobrazu – pozniakały strzechy!

Partyjny impotent

Przeminęła jego chwała –
Jest członkiem – ale nie działa.

Dla niejednego polityka

Brudna robota,
To... żyła złota!

„Dziwny jest ten świat”

Już noworodki płaczą,
Gdy ten świat zobaczą.

Skład Rządu

Wystawa kolekcji...
Dzięki protekcji!

Duśpasterz...

Ze swej owieczki, która w biednej chacie
Ściągnie za pogrzeb – przedostatnie gacie!

Na-kazania

Niejeden ksiądz przestawia... kazalnicę
Miast o religii – prawi o polityce.

Partyjne insekty

Przechodzą z sekty...
Do sekty!

Klucze do Królestwa Bożego

Kościół – wyznawania wiary uczy,
Zważając na... podrabiaczy kluczy.

Na alimenciarza

Mówi – nie moje, płacenia unika!
A dziecko – to wierna replika.

„Profesjonalista”

Niejeden strażak „leje wodę”,
Gdy podrywa panny młode.

Wawrzyniec Marek Rak

Na kamiennym progu

Zabiorę samotnie rozstajną drogę
by nią powrócić i uwierzyć
że zostawiłem tu część siebie

gdy tiule białych mgieł opadną
na kamiennym progu usiądę

pośród zapachu bzu i kwiatu jabłoni
imię twoje przywołam

Łza

Pawłowi Pięcie

Z zacisza powieki wypływa
i choć stracona chce być wolna

Marcem dotknie łzy na łące
o człowieczy los się potknie
i za nim uparcie podąży

Powieki drżą niespokojnie
i kolejną łzę ronią

Serce wzbiera żalem
Zamiast zieleni traw
szarością wypełnia świat

W oczekiwaniu

Na placu Artystów
w dziurawych butach
w pokłonie dla bruku
stoję w oczekiwaniu

Co mam począć
Czy tutaj pozostać
czy też jak inni
wejść w tłum
gdzie obcy ludzie
jak sztywne posągi

Teraz gdy wreszcie świat
dał mi to czego wcześniej

nie śmiałem wziąć
Teraz gdy chwila
nie jest już tylko błyskiem
wznoszę upojny wina dar

W wiecznym tańcu

Szukam bratniej duszy
w barwę ciszy ubrany

W wiecznym tańcu
serca i kamienia
chcę schować słońce
do kieszeni

i milczeniem
granice zacierać

Najcenniejszy kruszec

Sobą utrudzeni,
bezbarwni i mali,
jak słabnące tony wieczornych dzwonów,

a tu syk rozgrzanych kamieni
i czekający na drodze los
każą nam odwracać twarz.

Odnaleźć zapomnianą miłość,
co z błysku wyobraźni wyrasta,
staje się najcenniejszym kruszczem przetrwania.

Droga donikąd

Źródło szczęścia jeszcze pełne do wczoraj
dziś zostawiło nam tylko szklankę wody
z nikłym cieniem ręki

Moja droga choć z bezmiarem śladów
prowadzi teraz donikąd

Czy mam się wsłuchać w kamień
bym mógł dalej żyć
czy może kamieniem samym pozostać

Z przygotowanego do wydania tomiku pt. *Uniosę swój czas.*

Ballada

One skarłowaciały, przykucnęły na ziemi, a ja wciąż pięłam się ku górze. Wiosną przypominałam olbrzymią belę białego atłasu wkomponowaną w kruche punkciki zieleni. Musiałam być faworytką matki ziemi, bo wybrała mi doskonale miejsce do wzrastania. Maleńka polanka podkreśla moją wyjątkowość wśród skupionych nieco dalej brzo-zowych karliczek. Uskrzydłona wiatrem, miałam nadzieję, że rozszumiałą głową dotykam nieba. Cieszyłam się swą młodością dłuższą niż młodość człowieka. Górując nad czuprynymi drzew, mogłam wiele zobaczyć. Obserwowałam bytowanie wioski, żyjącej pod pieczą kościoła o czterech wieżyczkach, z krzyżem pośrodku. Uczestniczyłam w trudach ludzkiego życia, dzieliłam z nimi kołacje szczęścia i ościsty chleb cierpienia, żółć i ocet śmierci. Mój wzrok dotykał cmentarza położonego niedaleko lasu, więc ostatnie pożegnania obejmowały mnie zimnymi ramionami rozpacz, wyszlochanej i wykrzyżanej przez osieroconych. Tamte pogrzeby były głośne. Lament żałobników dawał się słyszeć już w znacznej odległości od cmentarnej bramy, a nad mogiłą wybuchał zgielkiem, od którego lodowaciał mój zielony krwiobieg. Ale we wsi bywało też radośnie. Z gospody wytaczały się obertasy pogładzane poleczkami. W weselnych chałupach zawodziły skrzypce, dudnił baraban, śpiewki się toczyły jak jabłka strącone z drzew, trzaskały obcasy. Nad polami niósł się śpiew kobiet, wesoło wrzeszczały dzieciaki spędzające bydło i gąski z pola. Czasem widywałam ludzi drepczących w pobliżu mojego solidnego pnia. Grzybiarze i jagodziarze mieli czym napełnić wiklinowe opałki, blaszane bańki i dzbanki. Cieszyłam się, słysząc wypowiedzi: „Ale ta brzoza bielutka jak panna młoda” albo „Ta brzoza to chyba najroślejsze drzewo w lesie”. Poszukiwacze leśnych skarbów pojawiali się głównie o świcie, bywało że i po południu, a tych dwoje przychodziło o zachodzie słońca albo o zmroku. Na początku wydawało mi się, że są z jakiegoś innego świata, że to dzieci słońca czasowo zesłane na ziemię. Byli piękni i jakby dla siebie stworzeni. On wysoki, smukły, o śniadej cerze, bielutkich zębach, oczach jak czarne winogrona przypominał nieco Cygana. Ale na pewno nim nie był. Gęste ciemne włosy zaczesywał tak jak miejscowi do tyłu głowy, a modne wówczas spodnie

podwijaki i biała koszula dopełniały wizerunku miejscowego chłopskiego syna. Ona o nieco wybujałych kształtach, dorodna jak łania. Niebieskooka, w złocistej koronie lśniących gęstych włosów. Nosila perkalowe usiane kwiatami sukienki, na niedzielę i święta miała granatową w białe grochy, na której wykładanym kołnierzu uroczyście lśniła broszka w kształcie ażurowej gwiazdy. Wydawało mi się, że ich kontrastowa uroda wzmacniała wzajemne przyciąganie, przywołując pasję odkrywania oboj-pólnej inności. Po dokładniejszym przyjrzeniu się młodej parze odniosłam wrażenie, że musiałam ich już widzieć w położonej u stóp lasu wiosce. Mignęły mi przed oczyma dziecięce twarzyczki. Przegapiłam dorastanie dziewczynki i chłopca i rozkwit urody, która ukształtowała ich nieziemskość. Pierwszy raz pojawili się w lesie w maju. Wówczas i ja czułam się piękna jak oni. Ociekałam zielenią, mój biały pień wysrebrzył się w słonecznej kipieli. Usiedli, opierając się o mnie plecami. Zadrzałam, poruszona intymną bliskością ludzi. On całował jej powleczone złotą opalenizną policzki i pełne usta o barwie kwiatów dzikiej róży. Przesuwał dłonią po jej zgrabnej łydce, próbując się dostać pod sukienkę. Dziewczyna była w świątecznym ubraniu, na szyi zawiesiła długi sznur obwarzanków. Pewnie wrócili z popołudniowego nabożeństwa. Chłopiec wycofał się z miłosnego ataku, obgryzał tylko obwarzanki wiszące na piersiach panny, próbując czasem pogłaskać falujące pod sukienką wyniosłe pagórki. Kilka razy trzepnęła go po dłoni. Przekomarzali się, żartowali. Tych spotkań flirtów było jeszcze kilka. Z jego ust spłynęła lawina miłosnych wyznań i obietnic matrymonialnych. Mówił do niej czule: „Helciu, Heluniu, Helenko”. Ona zachowywała powściągliwość w okazywaniu uczuć. Aż wydarzyło się coś, co napełniło mnie lękiem i złymi przecuciami. On nie utrzymał na wodzy swojej chuci. Oczy mu błyszczały jak u młodego wilczka, kiedy ściągnął z niej przez głowę marszczoną od pasa sukienkę, a potem bieliznę. Szarpała się, ale w końcu uległa. Zachodzącemu słońcu ukazały się krągłe jak młode dynie jędrne piersi, smukłe, prężne uda, złociste łono przypominające kwiatostan dziewanny. Płakała, gdy wkładała na siebie białą płócienną halkę z koronkowymi wstawkami.

Siedziała tak w bieliźnie, wtulona w mój pień, zakrywając dłońmi oczy. On z uśmiechem sytego zdobywcy leżał na trawie z opuszczonymi spodniami i gryzł żdźbło trawy. Kiedy Helena wstała, na bieli halki dało się zauważyć szkarłatną plamę. Włożyła sukienkę, chciała odejść. Dopiął portki i dogonił ją... Objął dziewczynę ramieniem, coś jej szeptał do ucha. Potem zniknęli w zgęstniałym od zapadającej ciemności lesie. Jeszcze wielokrotnie spotykali się w brzoazowej samotni i kochali się na mchu nadzy jak dwa pogańskie bóstwa. Ona była teraz uległa i przygaszona, on narzucał jej swą wolę w intymności. Minęło lato, moje liście zaczęły rdzewieć, młodzi nie przychodzili już do lasu. Tęskniłam za Helenką i coś we mnie skowyczało na wspomnienie jej załęcznionych oczu, gdy ulegała wybujałej żądzy kochanka. Zobaczyłam ich ponownie w maju. Byli jacyś odmienieni, wyglądali na obcych sobie ludzi. Ona miała na sobie świąteczną sukienkę z broszką i chociaż dzień był ciepły, włożyła na siebie granatowy żakiet. Jej błękitne oczy zasnuł smutek, który nie wyglądał na przelotny. On założył pasiasty krawat do białej koszuli i czarnej kapoty. Nerwowo przeczesywał dłonią bujną wypomadowaną czuprynę, szczęki mu drgały pod śniadą skórą, oczy były zimne, pełne ironii.

– Czemuś mnie tu ściągnął? – zapytała chłodnym, słabym głosem.

– To przecież nasze miłosne przytulisko, zapomniałaś... – wymruczał szyderczo. – Chyba mamy to i owo do omówienia.

– Czyżbyśmy mieli sobie jeszcze coś do powiedzenia? A może zmądrzałeś i chcesz krzywdę naprawić... – Głos jej się łamał.

– Pomału, pomału – powiedział butnie. – Żle ci było u ciotuni, żeś się tu przywlokła, żeby ludziom gały na wierzch powyłaziły. Jak widzę, nie skorzystałaś z tych pieniędzy, co żem ci je dał, żebyś się pozbyła kłopotu.

Dopiero teraz zauważyłam... Pod żakiem Heleny rysował się wygórowany brzuch.

– Pieniądze będą mi potrzebne dla dziecka. Ludzie póki co nic nie wiedzą. Tylko rodzicom zaraz na początku powiedziałam. Tata chciał do twojego ojca lecieć, żeby ci nakazał się ze mną ożenić. Ale ubłagałam, żeby nie... Wrócę do wujostwa do Radomia. Urodzę u sióstr. W domu, w którym takie jak ja przebywają. Ciocia powie ludziom, że ja jestem młodziutką wdową. A potem wspólnie wychowamy. Wuj ma garbarnię, dobrze im się wiedzie, ale brak dzieci wujostwu doskwiera. Ja do

pracy chętna i sposobna, pomagać będę. Odkąd tu przyjechałam, nikomu się nie pokazuję. Że też żeś mnie wczoraj wieczorem w ogródku zoczył... Odmieniło ci się czy jak? – W jej głosie zadrgał cień nadziei.

– Żeby się tylko tobie nie odmieniło – warknął. – Może po sądach będziesz mnie włóczyć, ślubu się domagać... Ja ci już powiedziałem, że się z tobą żenić nie myślę. Bogatszych i wcale od ciebie nie brzydszych nie brakuje. Wiedziałaś, że my nie dla siebie, to po coś się ze mną po lesie tłukła?!

– Ja się tłukłam! – Helena nie mogła pohamować gniewu. – To tyś za mną latał jak pies. O miłości i ślubie ciągle gadałeś. A potem mi kazałeś własne dziecko zabić. Bodajby cię ziemia pochłonęła, wilkołaku, gadzie oślizgły!

– Prędeż ciebie pochłonie, dziwko! Jak się panna nie szanuje, to kawalerowi zbrzydnie – wysyczał i brutalnie ścisnął ramię Heleny.

– Zbrzydłam ci, kiedy się dziecko poczęło. Zwodziłeś mnie i cukrowałeś, dopóki się dało. Pewnie, żem biedniejsza od ciebie, ale złote ręce do roboty mam i serce gorące do miłowania. A tyś mnie podeptał jak ścierkę, chociaż tylko do ciebie należałam. Mój brat nie wie, kto mnie uwiódł, boby sobie z tobą poradził. Maszerowałbyś do ołtarza albo mókł w rzece z urwanym łbem. Nie powiedziałam Olkowi, bo nie chciałam na tobie ożenku wymuszać. Swój honor mam. Puść mnie, zbójcu!

– Twój honor tyle mnie obchodzi co przeszłoroczny śnieg. – Jego twarz wykrzywiona grymasem wściekłości upodobniła go do diabła.

Puścił na chwilę ramię Heleny, by wyciągnąć zza pazuchy długi nóż. Dziewczyna zaczęła uciekać, ale potknęła się na wykrocie i upadła na twarz. Wtedy wbił nóż pod jej lewą łopatkę. Kilka razy powtórzył potworną czynność, po czym wrzucił zbrodnicze narzędzie między paprocie. Ze zwieszonym łbem zbierał suche gałązki i rzucał je na ciało kochanki. O północy wrócił z latarką i łopata. Wykopał dół sięgający moich korzeni. Dreptał z latarką wśród paproci. Znalazł nóż i pochował go w dole razem z zamordowaną. Uklepał łopata ziemię. Przyniósł ją suchymi gałęziami, które niedawno osłaniały jego zbrodnię. Zniknął w mroku jak cień szatana. A we mnie na zawsze zagasła radość, bo stałam się strażniczką cmentarza, kryjącego w sobie ofiarę kata, dziewczynę, którą kochałam bardziej niż rozsiane po lesie własne dzieci, zrodzone z moich nasion. Upłynęło kilka lat. Wieś opanowali ludzie sępy w zielonych mundurach. Wprowadzili terror,

przemoc, śmierć. Mieszkańcy wioski nie poruszyli się już swobodnie, skuleni przemykali między opłotkami. Musieli składać haracze prześladowcom, drżąc o zapewnienie bytu materialnego własnym rodzinom. Pewnego dnia nad polami przetoczył się jęk grozy. Dały się słyszeć rozdzierające krzyki ludzi i kanonada śmiercionośnych wystrzałów. Dokonał się zbiorowy mord na mieszkańcach niedalekich wiossek. Prawo do zemsty i samoobrony umacniało się, rozkrzewiało. Las nie był już bezpiecznym życiodajnym zaciszem. Wiecznie spięty, rozstrzelany, śmiercionośny stał się wręcz nienaturalny. Któregoś czerwcowego popołudnia leśni pojawili się na mojej polance, niosąc na żołnierskim płaszczu ciało młodego chłopca. Miał jasne włosy i twarz świętego męczennika. Prawie dziecko. Moje liście zaperliły się łzami rosy. Partyzanci wykopali grób dla kolegi. Dziwnym trafem wkraczał on w miejsce zbrodniczego pochówku zakatowanej przez kochankę dziewczyny. Partyzanci ze zgrozą odkryli kobiecego szkielet ze zbutwiałymi resztkami odzieży. Wydostali zardzewiały nóż. Jeden z chłopaków wydał pełen bólu okrzyk. Rozpoznał siostrę po strzępach sukni i po zaśnieżonej wprawdzie, lecz rzucającej się w oczy gwieździstej okazałej broszce. Rozpoznał ją intuicją braterskiej miłości i siłą wspomnienia bolesnej straty sprzed lat.

– Mieliśmy nadzieję, że żyje, że może uciekła ze swoją hańbą i udręką. – Obejmował mój pień, szlochając i złorzecząc zabójcy bez wymieniania jego nazwiska.

Partyzanci wydłuzili trochę grób kolegi, by jego ciało nie stykało się z potwornym znaleziskiem. Poszeptali między sobą i dwóch z nich pobiegło do wioski. Wrócili z drelichowymi rękawicami i lnianym prześcieradłem. Pozbierali szczątki Helenki, zakopali makabryczny dół. W krwawym blasku dogasającego dnia leśni złożyli zabitego druha w grobie, usypali mogiłę, wkopali brzożowy krzyż. Popatrzyłam na biały krzyż. Jakaś brzoza zginęła, by się nim stać. Ale cóż... Prędzej czy później śmierć upomni się o każdą istotę. Tamta brzoza umarła przynajmniej chwalebnie śmiercią. A może jej dusza zaklęta w krzyżyku doznaje pocieszenia i chlubi się swym posłannictwem. W dwa dni później zobaczyłam pogrzeb manifestację. Przy białej trumnie stała cała wieś w głuchym milczeniu. Tylko krzyk matki wibrował nad koronami drzew. Ojciec i brat szlochali cicho, z twarzami w dłoniach. I on tam stał przy mogiłnym dole. Zmęźniał, nabrał dojrzałej urody. Jego twarz zastygła, przybrała postać maski,

nie wyrażała żadnych uczuć. Na grobie Helenki pojawił się ozdobny metalowy krzyż, mogiłę pokryły wieńce i bukiety polnych kwiatów. Ucieszyłam się, że doczesne szczątki dziewczyny doczekały się godnego miejsca spoczynku, że dokonana na niej zbrodnia spotkała się z powszechnym potępieniem, że opłakiwali Helenkę najbliżsi, składając jej ofiarę ze swojego bólu i miłości. Tylko ten potwór nie poniósł dotąd żadnej kary.

Wkrótce okazało się, że jednak poniósł. Po upływie dwóch tygodni, w środku nocy, Aleksander, brat Heleny, przyciągnął na konopnym powrozie okutany w zgrzebne płachty ludzki kształt. Postawił latarkę na mchu, a potem zaczął rozgrzebywać łopatą jamę, w której tamten pochował matkę swojego dziecka. Wrzucił ciało mordercy do dołu i zakopał je, z pasją uklepując rozprutą ponownie ziemię.

– Leż tu, sukinsynu, bracie Lucyfera! – wymówił głucho. – Nie dosięgniesz jej już, bo ona wśród świętych, a ty się, padalcu, smażyś w piekle.

Położył dłoń na brzożowym krzyżyku, wkopanym w leśną mogiłę kolegi.

– Nie miej mi za złe, Antoś, żeś koło ciebie tego wilkołaka pochował. Ale niech leży tu, gdzie ciało mojej siostrzyczki zakopał. Tak się według mnie sprawiedliwość dokonuje. A ciebie w lepszych czasach na cmentarz przeniesiemy.

A ja nadal byłam strażniczką leśnej nekropolii. To, że spoczęło tu ciało chłopca partyzanta nie wzbudziło we mnie niechęci. Opłakiwałam go strugami deszczu, podobnie jak zamordowaną Helenę.

Wiedziałam, że moja utracona radość życia bezpowrotnie przeminęła. Wykryształowana z biegiem czasu misja płaczki nie była dla mnie ciężarem, melancholia stała się moją codziennością. Ale to, że w odnogach moich korzeni gnije truchło kata, napełniało mnie grozą i wstrętem. Boleśnie rozdarła, karmiłam się nadzieją, że to się musi zmienić. Po kilkunastu latach wykopali szczątki partyzanta, specjalna ekipa ekshumacyjna się tym zajęła. Wiele osób ze wsi stało murem na mej polanie. Milicja też była. Przyszli dojrzały, a niektórzy całkiem starzy akowcy z wysokimi dystynkcjami. Aleksander też wśród nich był, siwy, o ściągniętych rysach twarzy i pociemniałych od emocji oczach. Już mieli zasypać pusty dół, gdy ktoś zauważył dłoń kościotrupa wystającą z ziemnej ściany partyzanckiej mogiły. Odkopali tamtego, miał przestrzeloną czaszkę. Skórzana kurtka nie uległa całkowitemu zniszczeniu, złoty gruby łańcuszek z medalikiem połyskiwał wśród zgnilizny... Ludzie pospusz-

czali oczy. Nikt takiego nie znał, nikogo im nie przypominał. Wtedy zza ludzkiej cizby wysunęli się dwaj młodzi mężczyźni. Jeden z nich wyglądał tak, jakby ten odkopany zmartwychwstał... Drugi, mocno zbudowany blondyn zdawał się nie mieć nic wspólnego z nieboszczykiem.

– To nasz ojciec – powiedział oschle ten śniady z wysoką ciemną czupryną. – Pamiętam z dzieciństwa złoty łańcuszek i kurtkę.

Potem spojrzął na Aleksandra oczami pełnymi bólu i wstydu. Do akcji wkroczyła milicja. Wypytywali o denata. Drażyli, czy kto nie wie, dlaczego i przez kogo został zamordowany. Wtedy odezwał się jasnowłosy syn.

– To pewnie wojenne porachunki. Ojciec miał kontakty z żandarmerią niemiecką w Końskich. Tego i owego ponoć z aresztu wyciągnął, ale ludzie różnie komentowali jego zachowanie. Mieszkańcy wioski osłupieli, a po kilku minutach przesłali oczami synom mordercy uznanie i współczucie. Po upływie pięciu dni z pompą odbył się pogrzeb Antosia. A tego samego dnia wieczorem synowie oprawcy przynieśli na ramionach trumnę z nieheblowanych

desek i pogrzebali ojca na niepoświęconym miejscu cmentarza. Nikt im nie towarzyszył. Wydawać by się mogło, że mój leśny cmentarz przeniósł się ostatecznie na miejsce spoczynku tutejszych parafian, a ja zostałam uwolniona od misji strażniczki, ale tak się nie stało. Ze swojej wysokiej pozycji zauważyłam bowiem coś, czego nie dostrzegł nikt z penetrujących groby. W mogile Heleny i jej mordercy był przecież jeszcze ktoś, o którym wszyscy jakby zapomnieli. Nienarodzona, ale kochana przez matkę kruszyna ludzka zostawiła po sobie miniaturowy szkielecik, kosteczki-chrząsteczki, których przetrwanie graniczyło z cudem. Ich istnienie napełniło mnie tkliwością, wyzwoliło potrzebę zrekompensowania dziecięcemu strasznej krzywdy, jaką wyrządził mu ojciec potwór.

Teraz gram na strunach gałązek tylko dla dziecięcia. Wierzę, że jego dusza krąży w pobliżu, ciesząc się z szacunku i miłości okazywanych jego fizycznym śladom na tej ziemi.

Danuta Skalska



Irena Nyczaj: *Sprawiedliwy las*, kolaż

nie urodzę Cię w drodze

nie mógł Józef dołączyć
do długiej karawany
choć Miriam miałaby wygodniej...
jej właściciel drogo sobie liczył
za usłane „gniazdo”
na wielbłąda grzbiecie
osiadł węc oślicę
a sam szedł pieszo obok

pierwszego dnia podróży
Miriam zaśpiewała
„nie urodzę Cię, Synku, w drodze
bo spod kopyt kłębią się
tumany kurzu
i obok pieszych kłótlive mrowie”

drugiego dnia podróży
Miriam wyszeptła
„nie urodzę Cię w drodze
bo śpiewki nieprzystojne słyszę
a uszka Twoje małe –
dla innej muzyki”

trzeciego dnia milcząca
Miriam pomyślała
„nikt nam tu nie sprzyja
jedynie ty, ośliczko
jesteś cierpliwa
i dźwigasz wytrwale mnie
i mego Syna”

milczenie przerwał Józef
bo chciał Ją pocieszyć
„Betlejem już blisko
zobaczysz za zakrętem
tam moi krewni
serdecznie nas ugosczą
a Ciebie położą do czystej pościeli
poznasz dobroć kobiet tamtejszych
urodzisz szczęśliwie”
gdy przed Nimi zamykano
każde drzwi i wrota
Miriam się modliła
za nich i Józefa

by Jego smutek
w rozpacz się nie zmienił
niech Wszechmocny
przysłał archanioła
by ich doprowadził
do miejsca ciszy i spokoju
gdzie Synka małego
w kołysce położy

posłaniec się zjawił
towarzyszył im chętnie
aż stanęli u wejścia
do niewielkiej groty...

W Grocie Betlejemskiej

w tej niewielkiej grocie kaganki płonęły
u boku Maryi trwały dwie kobiety
dzban wody przyniosły i bielone płótno...

na czas połogu mężczyzn z izby wypraszano
więc i Józef samotnie stał u wejścia groty
stał nieporuszony, choć serce biło mocno...

kobiety się krzątały, aniołów nie widziały
kiedy niemowlę cicho zapłakało
obmyły maleństwo, w pieluszkę ubrały,
a śliczne było jak ich własne dzieci...

pierwsza wzięła na ręce i chwilę kołysała
druga podając matce, czule pogłaskała
spytały jeszcze – jakie imię
otrzyma pierworodny?
Jezus – odrzekła Maryja

kiedy na Józefa wreszcie zawołano
wszedł spokojny, spojrział na Dzieciątka
i na Jego Matkę, piersią go karmiła...

na polu pod miasteczkiem, gdzie pasterze spali
niebo się rozwarło, jasność wylewała
zbudzeni, przestraszeni ujrzeli anioła
a on im powiedział: „Mesjasz się narodził”

Wielka Improwizacja

Przyszła do mnie w odwiedzinie Śmierć
rozsiadła się wygodnie w fotelu
poprosiła o kawę bez cukru
zapaliła papierosa
zaciągnęła się głęboko dymem
nie śmiałam zapytać, co ją sprowadza
a nuż...?
Chwile milczenia przeciągnęły się w minuty
coraz dłuższe
czekałam w napięciu – co powie, co zrobi
wreszcie:
– Wiesz, u ciebie naprawdę można odpocząć
ludzie się spieszą, więc ja też muszę
w pośpiechu, byle jak
Jednym słowem – improwizacja

Atawizm

Psy chodzą z gracją modelek
nawet te bezdomne
oswojone z cywilizacją
uczą się wciąż nowych rzeczy
zachowują ciszę na ulicy
(w przeciwieństwie do samochodów)
przechodzą jezdnię na pasach
spoglądając w lewą i prawą stronę
z trwogą reagują na sygnał karetki pogotowia
jednak – niczym człowiek
który wciąż mówi przyszedłem, wyszedłem
nie potrafią się powstrzymać
przed obsikiwaniem drzew

Zaduszki

Pamięci Wiesława Malickiego

Przy grobach najbardziej wytrwali
może mniej zapracowani
ciepło słońca sprzyja pogodnym wspomnieniom
kwiaty, kwiaty, znicze
nawet na najbardziej zapomnianych mogiłach
Zapaliłam światełko przy krzyżu
dla wszystkich – bliskich i dalekich
ale nie dla Ciebie
nie wiedziałam...

Wieczorem otworzyłam tomik poezji
przy twoim nazwisku zobaczyłam krzyżyk
a przecież wyobrażałam sobie, że – Ty
będziesz zawsze
Nie pomogła mądrość złotych myśli
ani buta lwowskiego baciara
który z życiem brał się za bary
nie pomogła ufna wiara w milczącego Boga
widać Mistrz uznał, iż powiedziałeś wszystko
co miałeś do powiedzenia
albo – co chciałeś powiedzieć
wątpliwości, niedopowiedzenia, wyjaśni –

[rozstrzygnie

Najwyższy Trybunał
ja w Zaduszki ślę za Tobą modlitwę
dla mnie – wczoraj – jeszcze żywym

Bieg w nieskończoność

Na moim zegarze zatrzymał się czas
pocziwy stary budzik popadł w letarg
z powodu zużytej baterii
Myślę: niech odpocznie
nabierze sił na jesienno-zimowe wieczory
na niechciane godziny ciemności
wybudzę go w jakiejś pogodnej chwili
gdy zza kotary chmur
przedrze się promień słońca
tymczasem trwa w pozycji stracha na wróble
nieruchomy, z szeroko rozpostartymi ramionami
patrzy w zadziwieniu, że czas biegnie dalej
równym rytmem, bez zadyszki i postojów
jakby wcale nie przybyło mu lat
w pewnej chwili zrozumiał:
człowiek, drzewo, ptak
krzesło i stół
mają swój początek i koniec
wiecznie młody, po nieskończoność
jest tylko czas

Jaskółka

Wciąż zadziwiona urodą świata
nie mam czasu na starość
ona przyjdzie
uwiję wtedy gniazdo przy oknie

Z tomu pt. *Jaskółka*, Tomaszów Mazowiecki 2019.

Żywioty

Pojawiasz się i znikasz
Huragan i cisza

Żywioty, co wzajemnie się znoszą
Ale istnieć bez siebie nie mogą

W epicentrum wiersza

Zjawię się bez zapowiedzenia
Ubrana tylko w słowa

Zagarnę twoje ciało
Pieszczotą ogrzeję

Doprowadzę do wrzenia
W samym jądrze wiersza

W sercu

Gdy zapominam o tobie,
To jakby ciebie nie było

Stwarza cię tylko moje serce

Probierzem twojego istnienia
Jest moja miłość

Boczne tory czasu

Jakiś dziwny zegar
Dziś rządzi twym czasem

Zabiera minuty, godziny,
Kolejne sekundy skazuje na stratę,
A lata zamienia w milczenie.

I czas twój przekreśla,
Bezwzględnie wydiera,
Już nigdzie dziś zdążyć nie możesz.

Twe stare zegary na boczne gdzieś tory
W tej drodze, gdzie nowe,
Wciąż nowe...

A tarcza się śmieje,
Wskaźówka już w ciebie
Wymierza swe ostrze.

Gdy czasem próbujesz
Klepsydrę odwrócić raz jeszcze,
To w oczy twe sypie się piasek.

Że

Że czasem mogłam cię usłyszeć
Chwilom nadawać twoje imię
Dziękuję!

Że czasem mogłam cię zobaczyć
Zachwytem tobą darzyć kwiaty
Dziękuję!

Że mogłam marzyć, śnić na jawie
Bo byłeś całym moim światem
Dziękuję!

Że teraz wątpię w twoje istnienie
Wybacz!

Ja sobie tego wybaczyć nie potrafię

Białe róże

Nie potrafię cię zapomnieć
Mój wyjazd nie na wiele się zdał
Tęsknię coraz bardziej

Już nie chcę walczyć z miłością
Poddam się

Zamiast białej flagi
Ślę ci białą różę



Rys. Irena Nyczaj

Aforyzmy

Szczyt głupoty jest wciąż niezdojty.

*

Można pójść po rozum do głowy i nic tam nie znaleźć.

*

Czasami żeby zmądrzeć, trzeba stracić głowę.

*

Nie przekonasz idioty, jest na to za mądry.

*

Piękny mózg, ani jednej zmarszczki.

*

Stworzenie człowieka trwało niecały dzień, naprawa ciągnie się do dziś.

*

Egzamin z życia trzeba zdać w pierwszym terminie.

*

Dzieci to jedyne, co po nas zostanie, a na pewno ma ręce i nogi.

*

Niektórzy są tak nadęci, że przeszkadza im to oddychać.

*

Większość pań swoje urodziny obchodzi z daleka.

*

Zwierzęta są nam potrzebne do bycia ludźmi.

*

Najtrudniej nauczyć się nie podawać łapy.

*

Jesteśmy tacy jak w oczach zwierząt.

*

Serce psa jest bezdomne, gdy nie mieszka w nim człowiek.

*

Całe życie zbieramy rzeczy niepotrzebne. Dlatego tak mało w nim miejsca na miłość.

*

Mrówka jest mądrzejsza od Diogenesa, idzie.

*

Jedno serce wystarczy do życia. Na miłość to za mało.

*

Miłości nie można zmierzyć ani zważyć, za to da się ją objąć.

*

Nie ma większej zdrady niż przestać kochać.

*

Nie przywiązuje się do ludzi, tylko ich kochaj, sam wiesz dlaczego.

*

Polityka puszcza się na prawo i lewo.

*

Zera mają pociąg do jedynek, zwłaszcza na listach wyborczych.

*

Słyszałem o prawdomównych politykach, że są.

*

Partie mnożą się po to, żeby nas dzielić.

*

Partie upadają z utraty władzy w członkach.

*

Złote myśli są różnej próby.

*

Aforyzm bez podwójnego dna przecieka.

*

Tylko myśli są naprawdę nasze.

*

W pestce myśli sady słów.

*

Aforyzmy może pisać każdy, ale potrafi mało kto.



Złota tetrada

(Fragment powieści)

– Fascynująca historia – powiedział Jens poprawiając się w fotelu – dolecieli?

– Dolecieli. I to bez żadnych problemów. Ale zanim opowiem ci, co stało się potem, muszę wrócić do zawartości walizki. Do nieco bardziej dokładnej charakterystyki złotej tetrady. Ja już się o niej dowiedziałem bardzo wiele, żeby nie powiedzieć, wszystkiego. Włożyłem w to wiele trudu, ale za to teraz będzie mi łatwo wyjaśniać – odpowiedział Bastian i dodał – spójrz na zdjęcie. Zacniemy od krzyża.

– Dobrze – bez oporu, ale i bez entuzjazmu zgodził się Jens.

– Brylantowy krzyż naprestolny. Początek osiemnastego wieku. Cały wykonany ze złota. W tradycji prawosławnej na osi wertykalnej znajdują się trzy belki poprzeczne. Popatrz na górną.

– Tę z tabliczką?

– Właśnie. Wiesz co oznacza napis INRI?

– Nie bardzo. Nie jestem zbyt mocny w sprawach religijnych.

– Ja też nie. Ale przygotowałem się do naszej rozmowy. To skrót od słów „Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski”. Taki napis rozkazał przybić do krzyża chrystusowego Piłat, zgodnie z rzymskim zwyczajem, aby ukazywać winę skazanego. Ale nie sam zwyczaj ma tu znaczenie. Dużo ważniejszy jest sposób wykonania tabliczki. Jak widzisz, jest ona nieco jaśniejsza od całości krzyża, gdyż została wykonana ze stopu platyny i złota. A litery ułożono z małych brylancików. Teraz spójrz niżej. Zgodnie z tradycją prawosławną, odmiennie niż w pozostałych odłamach chrześcijaństwa, uważa się, że nogi Chrystusa przebite są nie jednym, a dwoma gwoździami. Każdy gwoździec to brylant.

– Jest jeszcze dolna, skośna belka. Inaczej niż u nas. Pewnie wiesz, dlaczego? – spytał Jens.

– Wiem, choć dla wartości krucyfiksu sama belka nie ma specjalnego znaczenia. Ot, trochę więcej złota. Żeby cię jednak oświecić wyjaśniam, że dolna belka to podpórka pod nogi ukrzyżowanego. Podniesiony koniec wskazuje niebo, dokąd został wzięty ten z ukrzyżowanych łotrów, który prosił o zbawienie, opuszczony sygnalizuje piekło, miejsce dla drugiego złoczyńcy, który nawet w obliczu śmierci nie wyraził skruchy.

– Mówisz jak pastor.

– Przesada. Ale to jest ciekawe, przynajmniej dla mnie. Natomiast z materialnego punktu widzenia interesujący jest wizerunek czaszki na tej belce. To głowa Adama, który według starych podań został pochowany właśnie na Golgocie, pod miejscem ukrzyżowania Zbawiciela. Krew, która wsiąkła w szczelinę skalną, przywróciła życie Adamowi i dała nadzieję ludzkości. Spójrz na zdjęcie. Pod czaszką widzisz skrzyżowane piszczele. Ich zakończenia też są brylantowe. Zatem to kolejne cztery pięknie oszlifowane blauweissy.

– Fiu, fiu – gwizdnął Jens. – Ile to jest warte?

– Dużo. Ale dokładniej będę mógł ci powiedzieć o wartości całej tetrady.

– No to mów o dalszych jej elementach. Twoja charakterystyka znacznie uzupełnia to, co mogę zobaczyć na zdjęciu.

– Drugim elementem jest szmaragdowa ikona. Nieco młodsza. Pochodzi mniej więcej z 1750 roku. O jej wartości materialnej świadczą cztery wspaniałe szmaragdy zdobiące złote naroża obramowania i wielki szmaragd umieszczony na środku czoła, na chuście okrywającej głowę Matki Boskiej.

– A ten dziwny trójkątny świecznik?

– To rubinowe trykiri. Wykonane mniej więcej w tym samym czasie, co szmaragdowa ikona. Sam metal jest tu mniej warty, gdyż jest to czyste srebro. Ale wszystkie elementy ozdobione są pięknymi rubinami o głębokiej czerwonej barwie z delikatnym niebieskawym odcieniem. Takie rubiny dorównują ceną podobnej wielkości brylantom, a nawet ją przewyższają. Ich niesamowity kolor został nazwany czerwienią krwi gołębiej.

– Bardzo romantyczna nazwa. Powiedz teraz o czwartym elemencie tetrady.

– Właśnie. To najstarsza i najbardziej cenna część skarbu. Szafirowe cyborium. Wspaniałe naczynie liturgiczne. Czyste złoto. Sto lat starsze od trykiri, z połowy XVII wieku. Spójrz na ten mały krzyż na zamknięciu kielicha. To pięknie wyrzeźbiony ogromny szafir. Na zdjęciu może tego dobrze nie widać, ale ten kamień wykazuje bardzo rzadką cechę, asteryzm.

– Asteryzm? Co to jest!? – wykrzyknął Jens.

– To zjawisko optyczne polegające na pojawieniu się wąskich lśniących smug, układających się w kształt gwiazdy. Te smugi mają żółtawy odcień. Ale to nie wszystko. Jak widzisz, dół czaszy kielicha jest ozdobiony szafirami misternie umieszczonymi w złotym ornamente. No i cztery nietypowe szafi-

ry na podstawie cyborium. Nietypowe, bo szafiry najczęściej są niebieskie, a te mają ciemniejsze, przechodzące w fiolet, zabarwienie. Są one oprawione w czystą platynę.

– Miałeś powiedzieć, ile to jest warte? – przypomniał Jens, wydymając wargi i kiwając w zamyśleniu głową. Na jego policzkach pojawiły się rumieńce spowodowane chyba nie tylko działaniem koniaku.

– Odpowiedź nie jest taka prosta – odparł nieoczekiwanie syn standartenführera.

– Jak to nie jest prosta?! Chyba da się jakoś wycenić te przedmioty?

– Da się. Ale to nie jest tylko kwestia wyceny. Wyobraź sobie przez moment, że udało ci się ukraść ze Starej Pinakoteki w Monachium jakiś cenny obraz. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale udało się. Na przykład *Madonnę z goździkiem* Leonarda da Vinci. To jeden z najwcześniejszych obrazów włoskiego mistrza renesansu. Sprawdziłem. Obraz jest nieduży, łatwy do ukrycia, ma 62 × 74,5 cm. Znalazłem te dane przygotowując się do rozmowy z tobą. Policja rozpoczyna poszukiwania, a ty chcesz go sprzedać, aby żyć spokojnie do końca życia gdzieś na jakiejś rajskiej wyspie, w otoczeniu pięknych, bardzo młodych i bardzo napalonych panienek. Tylko jak sprzedać obraz i komu? Nie dasz przecież ogłoszenia w gazecie. Natychmiast by cię zamknęli. Nie weźmie go żaden dom aukcyjny, nie kupi żaden marszand. Wszyscy będą się bać, obraz jest doskonale znany i opisany, wiadomo skąd pochodzi. Będą obchodzić go z daleka, jak trędowatego. I co z tego, że został oficjalnie wyceniony na jakieś 200 milionów marek, skoro w żaden sposób nie możesz ugryźć tych pieniędzy. Jediną szansą dla ciebie jest jakiś zwariowany miliarder z egzotycznego kraju, który chciałby zamknąć ten obraz w podziemiach swojej rezydencji, ukryty przed wszystkimi, i podziwiać go sekretnie, popijając przy tym najdroższe drinki. Mieć go tylko dla siebie. Pewnie jest taki facet. Tylko jak go znaleźć? Jak do niego w tajemnicy dotrzeć? Jak skłonić do kupna? I za jaką cenę? Myślę, że jeśli ostatecznie po pokonaniu wszystkich piętających się problemów dostałbyś połowę wartości, byłbyś szczęśliwy. Więc jaka dla ciebie jest wycena obrazu? Dwieście czy sto milionów marek?

– Myślę, że realnie 100 milionów.

– Masz rację. I dlatego zanim dojdziemy do wyceny tetrady, musisz wiedzieć o dalszych losach mojego ojca.

*

Major Rutler okazał się sprawnym pilotem, mającym w rękach wolant posłusznej maszyny. Dlatego standartenführer Otto Max von Lauritz dotarł szczęśliwie do Krakowa. Rozstał się w sumie dość przyjaźnie z oficerem Luftwaffe, który przeżył wojnę, odstawiając kogoś z ważnych pracowników gubernatora Franka do Berlina, po czym pozostał już w stolicy III Rzeszy. Natomiast von Lauritz odjechał do Berlina kilka dni później pociągiem, po paru ważnych konferencjach na Wawelu. Jeszcze wtedy połączenie kolejowe Kraków – Berlin funkcjonowało regularnie.

Potem przez kilka miesięcy nie wyjeżdżał z miasta, pracując przy Prinz Albrechtstrasse 8 w siedzibie RSHA. Ale kiedy Armia Czerwona przekroczyła Odrę, zdecydował się uciekać. Wykorzystał pretekst w postaci jakiejś drobnej akcji wywiadowczej i wyjechał do Monachium, skąd już nie wrócił do stolicy, wokół której zaczął zaciskać się pierścień prących do przodu radzieckich oddziałów. Rozumował zupełnie słusznie, że lepiej być w strefie ofensywy amerykańskiej niż radzieckiej. Monachium skapitulowało 29 kwietnia, zaledwie na jeden dzień przed samobójczą śmiercią Hitlera. Podczas kapitulacji miasta standartenführer nie tylko nie był w mundurze, ale miał papiery cywilnego pracownika hurtowni żywności. Lepiej było nie przyznawać się do przynależności do SS. Niby front zachodni, w odróżnieniu od wschodniego, był nazywany „frontem bez nienawiści”, ale przecież Amerykanie i Anglicy odkrywali i wyzwalali kolejne obozy koncentracyjne. Widząc, co się tam działo, zaczęli coraz brutalniej traktować jeńców, a nawet ich zabijać bez sądu, o czym przekonała się załoga obozu w Dachau.

– Słyszałem o tym smutnym wydarzeniu – powiedział Jens – podobno o zachowaniu aliantów zdecydowało to, co Amerykanie zastali w samym obozie i w jego najbliższym otoczeniu.

– Może tak, może nie – Bastian machnął lekceważąco ręką – ale lepiej było nie przyznawać się do członkostwa w SS, zwłaszcza do bycia wyższym oficerem tej formacji. Potem zaczęły się procesy.

– I co? Twojemu ojcu też coś groziło? Przecież chyba nie mógł być uznany za zbrodniarza wojennego?

– Nie bądź naiwny. Oczywiście nie kwalifikował się do Głównego Procesu Norymberskiego ani może nawet nie do procesów następczych, ale przecież był

wysokiej rangi funkcjonariuszem RSHA, bliskim współpracownikiem Schellenberga, a w kraju toczyło się wiele różnych rozpraw. Na ławie oskarżonych zasiadali nawet oficerowie niższej rangi. Pewnie na karę śmierci by go nie skazali, ale długoletnie więzienie też mu się nie uśmiechało. Mówiąc krótko, postanowił zniknąć na jakiś czas, zwłaszcza iż miał pewne dane, by sądzić, że został zidentyfikowany, a aresztowanie jest kwestią krótkiego czasu.

– Jak mu się to udało? Chyba nie było to łatwe, szczególnie że, jak słyszę, miał niewiele czasu?

– Odpowiem ci pytaniem na pytanie – zagadkowo odparł Bastian – czy słyszałeś nazwę Odessa?

– Oczywiście. I to w dwóch znaczeniach. Ponieważ domyślałem się, że nie chodzi ci o ukraińskie miasto nad Morzem Czarnym z gigantycznymi schodami zakończonymi pomnikiem gubernatora Richelieu, to musisz myśleć o...

– ... organizacji byłych członków SS – wpadł mu w słowo Bastian.

– Tak sądziłem, choć oczywiście mało wiem o tym porozumieniu.

– ODESSA, czyli *Organisation der Ehemaligen SS-Angehörigen*, nie ma sensu opowiadać ci o tym zbyt szczegółowo, została założona pod koniec wojny przez Reichsführera SS Heinricha Himmlera, aby pomagać członkom SS, a już szczególnie wyższym oficerom, w ucieczce przed tropiącymi ich aliantami.

– I organizacja pomogła twojemu ojcu?

– Właśnie. Kiedy grunt zaczął mu palić się pod nogami, ODESSA umożliwiła mu zniknięcie z Niemiec. W Rzymie otrzymał argentyński paszport i drogą morską dotarł do Ameryki Południowej. Tam poznał bogatą Argentyнкę niemieckiego pochodzenia, ożenił się z nią, a owocem ich miłości jestem ja.

– Nie mówiłeś mi, że urodziłeś się za oceanem.

– Nie było takiej potrzeby. Zresztą nigdy nie pytałeś. Ale skoro już wiesz, to dodam, że wróciłem do Niemiec w roku 1959, kiedy antynazistowska histeria straciła bardzo wyraźnie na impecie. Miałem wtedy 10 lat. Matka umarła niedługo potem, wychowywał mnie ojciec, ale nigdy nie mówił zbyt wiele o swojej przeszłości, a już zupełnie nic o ukrytym skarbie. Dopiero kilka miesięcy temu, kiedy jasne stało się, że wkrótce umrze, odbył ze mną długą rozmowę, której treść w miarę wiernie ci przekazałem.

– Ma to jakiś związek z ODESSĄ?

– Ma. Pamiętasz mój przykład sprzed chwili o hipotetycznej sprzedaży obrazu Leonarda?

– Oczywiście.

– No więc wyobraź sobie, że skarb nadal leży pod warstwą kamieni w podziemiach ryterskiego zamku, a następnie, że znając jego miejsce odkopałeś go i masz w domu walizkę ze złotą tetradą? Co zrobisz dalej ze skarbem? Masz jakiś pomysł?

– Spróbowałbym go sprzedać.

– Komu? Gdzie znajdziesz tak bogatego człowieka, który po pierwsze byłby zainteresowany kupnem, a po drugie zaryzykowałby fortunę dla zdobycia tak trefnego towaru. Bo przecież przedmioty ze złotej tetrady są dobrze opisane i znajdują się na radzieckich listach poszukiwanych dzieł sztuki. Ludzie Kremla i Łubianki tylko czekają na jakiś sygnał.

– W ostateczności zawsze można wydłubać brylanty, szmaragdy, rubiny i szafiry, sprzedać je luzem, a złoto stopić w sztabkę i spieniężyć jako złom.

Na te słowa Bastian szczerze się zaśmiał.

– Nie, mój drogi. To oczywiście jest możliwe, ale byłaby to piramidalna głupota. Uzyskałbyś za nie wprawdzie sporo pieniędzy, może nawet bardzo dużo jak na przeciętnego obywatela, ale straciłbyś fortunę. Nie i jeszcze raz nie! Złotą tetradę trzeba sprzedać w stanie nienaruszonym. Jako unikatowe dzieło sztuki sakralnej.

– Teraz ja spytam, komu?

– Otóż to! Znowu wracamy do ODESSY. Ojciec przed śmiercią, oprócz planu zamku z miejscem ukrycia walizki, dał mi także pewne namiary. Wykorzystałem je, choć nie było to proste, gdyż organizacja jest bardzo dobrze zakamuflowana i niechętnie kontaktuje się z obcymi, ale ostatecznie dotarłem gdzie trzeba i uzyskałem zapewnienie, że o ile wydobędę złotą tetradę z ukrycia i przewiozę do Niemiec, ktoś odbierze ją ode mnie, płacąc w gotówce. Właśnie w tym celu odbyłem dwie wizyty w Monachium nie tak dawno temu.

– Dlaczego sami nie spróbują wydobycia?

– Chyba nie sądzisz, że byłem tak naiwny, aby powiedzieć komukolwiek o miejscu zakopania skarbu. Mogliby mnie ubiec, odkopać skarb, a potem zniknąć bez pożegnania.

– Ale mnie powiedziałeś.

– Bo po pierwsze, jesteś moim przyjacielem, po drugie, nie uważam cię za zagrożenie, a po trzecie chcę cię uczynić swoim współnikiem.

– Tak po prostu? Bezinteresownie?

– Oczywiście. No... prawie bezinteresownie – poprawił się Bastian. – Bo mówiąc otwartym tekstem, sam nie czuję się na siłach pojechać do

Rytra i tam działać. Choćby ze względu na nieznamość języka. Ale nie tylko. Solista ma zawsze więcej problemów niż duet. A ty nie tylko jesteś moim przyjacielem, ale także kończysz studia na filologii polskiej, masz prawie przygotowaną pracę dyplomową, mówisz bardzo dobrze po polsku.

– Tu masz rację. Naturalnie można poznać, że polski nie jest moim ojczystym językiem, ale przecież nie pretenduję do roli rodowitego Polaka. Natomiast mówię dość swobodnie i o ile nie używa się słów specjalnie wyszukanych albo nie mówi bardzo szybko, wszystko rozumiem. Ale nie wiem, czy taka wyprawa jest zbyt bezpieczna. Nawet jeśli skarb jeszcze leży tam, gdzie zostawił go twój ojciec, co wcale nie jest takie pewne, trzeba go nie tylko wydobyć, ale i wywieźć z Polski. A to może być ryzykowne. Nie wątpię, że polskie przepisy, jak zresztą przepisy każdego kraju, nie zezwalają na wywóz tak cennych dóbr kultury.

– Ale ogólnie wchodzisz w to?

– No... nie wiem. Trudno się tak nagle zdecydować – w głosie Jensa słychać było wahanie.

– Żeby cię zachęcić do decyzji, sprecyzuję ofertę ODESSY. Dziesięć milionów marek!

– Ile?!

– Dziesięć milionów marek. Pamiętasz, co mówiłem o obrazie Leonarda?

– Pamiętam.

– Jaki z tego wniosek?

– Taki, że złota tetrada jest na pewno warta przynajmniej dwa razy więcej.

– Słusznie. Tyle że nie wiedzielibyśmy, jak i komu ją sprzedać. Dlatego zgodziłem się na proponowaną sumę. I żeby być precyzyjnym, jeżeli pojedziesz ze mną, pomożesz mi wydobyć skarb i pomyślnie dokończyć transakcję, okrągły milion będzie twój – Bastian spojrzął spod oka na przyjaciela. Ten myślał intensywnie przez chwilę, po czym spytał:

– Wracam z uporem do swojego zastrzeżenia. Skąd wiesz, że walizka leży jeszcze tam, gdzie ukrył ją twój ojciec. Minęło 28 lat! Mogły przecież być prowadzone prace archeologiczne albo jakaś konserwacja zamku, odbudowa, powojenny szaber, bo ja wiem jeszcze co.

– Wszystko mogło być. Ale nie było. Przynajmniej do wczoraj.

– Skąd ta pewność? – Jens sceptycznie pokręcił głową.

– Wyobraź sobie, że od momentu, kiedy zacząłem rozmowy z przedstawicielami ODESSY, starałem się dokonać rekonesansu logistycznego.

Nie będę cię wtajemniczał we wszystkie szczegóły mojego działania, które aby być wiarygodnym nie było łatwe, dość że wczoraj dostałem oficjalną odpowiedź z Polski, że od czasu zakończenia wojny, żadne oficjalne prace archeologiczno-konserwatorskie na zamku w Rytrze nie były prowadzone. Co więcej, nie ma jakichkolwiek planów takich robót, przynajmniej do końca obecnego roku. Nie odnotowano też żadnych prób prywatnych, nielegalnych z prawnego punktu widzenia, wykopalisk. I co ty na to!?

– Nie wiem jak to zrobiłeś, ale naprawdę jestem pełen uznania.

– Zatem jedziesz ze mną? – drażył Bastian.

– No... chyba tak.

– Żadne chyba. Zresztą, co ryzykujesz. Jeżeli nasza wyprawa zakończy się sukcesem, będziesz bogaty. Jeżeli nie, to czekają cię wspaniałe wakacje. Ja pokrywam wszelkie koszty.

– Z tymi wakacjami, to nie jest takie jasne. Muszę zrobić dyplom, i to w terminie. Mój promotor jest dość upierdliwy. Ma jakieś ważne plany urlopowe, a może służbowe, na koniec lata i jesień. Nie chce słyszeć o żadnych opóźnieniach z mojej strony. Ty zresztą też masz sfinalizować uzyskanie dyplomu. Chyba jesteśmy w podobnej sytuacji.

– Mówiąc: wakacje, nie miałem na myśli koniecznie lipca albo sierpnia. Teraz mamy schyłek czerwca, wydaje mi się, że obronimy nasze dyplomy do końca sierpnia. Pojedziemy we wrześniu jako młodzi turyści, którzy właśnie świętują zdobycie wyższego wykształcenia. Poza tym, w Polsce w lipcu i w sierpniu też są wakacje. To nie jest dobry czas. Za dużo turystów, kolonie, obozy, kłopoty z noclegami. Na zamku też pewnie będą tłumy. Nie sprzyja to naszym planom. A we wrześniu wszystko się uspokaja. No, jak?

Jens jeszcze się zastanawiał, ale po kilku sekundach wyciągnął rękę do przyjaciela.

– Zgoda.

– No to teraz mamy dwa miesiące na skończenie studiów. Ja zostanę dyplomowanym psychologiem, ty filologiem. Poza tym, ja mam za zadanie poczynić wszelkie pozostałe przygotowania, a ty, mój drogi, intensywnie szlifuj swój polski. To może się nam naprawdę przydać.

Bogusław Witkomirski

Krystyna Cel

Nobel dla Olgi Tokarczuk

Bieguni Olgi Tokarczuk to książka, która nie tylko pokazuje to, co w jakiś sposób jest nam znane z doświadczenia życia, ale także, co chyba bardziej istotne, poszerza naszą wiedzę o świecie, o ludziach, zjawiskach, zdarzeniach, odsłaniając coraz to nowe obszary poznania. Również i te dziwne, osobliwe i zarazem fascynujące.

Autorka od początku uruchamia nasz intelekt, bo podawane jakby „pomiędzy” narracją spostrzeżenia, uwagi, przemyślenia narzucają nam zajęcie wobec nich jakiegoś stanowiska albo ich potwierdzenia, albo też zdumiewają tym, że sami nie wpadliśmy na takie właśnie refleksje. Idziemy, jakże chętnie, tropem tych spostrzeżeń wzbogacając swój wewnętrzny świat.

Kierunki, środki lokomocji, miejsca postojów, dworce, lotniska, muzea, osobliwości różnych miejsc i nade wszystko ludzie – to materia, w której jakże swobodnie porusza się pisarka. To książka, w której króluje ruch i on tu jest jakby na pierwszym miejscu. Ruch, jak pisze autorka, przetrwa dłużej niż to, co statyczne – ono zmurszeje, gdy ruch będzie ciągle żywy. Stąd i tytuł książki – *Bieguni* – biorący się od prawosławnych starowierców. Według nich ruch to życie, to dobro, w przeciwieństwie do stania w miejscu, co może rodzić zło. Obronić się przed złem można tylko poprzez ruch, podróż, wędrówkę.

Eseistyczne fragmenty o ruchu, niezwykle ciekawe, kierują nasze myślenie na zupełnie inne tory. To, co nazywamy stabilizacją (a do niej przecież dążymy), urządzeniem się w życiu okazuje się być niekiedy naszym przekleństwem i wrogiem. Odbiera nam nie tylko wolność, ale i samych siebie. Tylko ruch może zapobiec temu, ruch to błogosławieństwo. „Błogosławiony, który idzie...”.

Dla kogoś, kto prowadzi spokojne życie domatora, aż budzi zazdrość ta obfitująca w coraz to nowe doznania powieściowa podróż. Doznania jakże wielorakie, bo i estetyczne, krajobrazowe, psychologiczne, nawet metafizyczne. Czytając książkę Olgi Tokarczuk ma się ochotę porzucić natychmiast tę swoją stabilizację i ruszyć przed siebie, obojętnie gdzie, byle tylko wyrwać się z bezruchu, by w nim nie zastygnąć. I, co ciekawe, książka *Bieguni* okazałaby się każdemu pomocna, zawiera przecież tak wiele



Fot. Wikipedia

informacji o podróżach i podróżujących. Bylibyśmy już niejako obeznani z tym, co nas czeka, mając nadzieję, że może i nam przytrafią się jacyś dziwni, osobliwi, a przez to i ciekawi współpasażerowie.

Tyle tylko, że podróż, podróżowanie trzeba chyba mieć we krwi. Na pewno są one tą właściwością narratorki, bo nie pozwalają jej nigdzie zapuścić korzeni na dłużej. Poza tym narratorka posiada też wiele cech, które jakby z góry predestynują do odbywania podróży, o czym też z humorem „powiadamia” czytelnika:

Jestem poręczna, nieduża i dobrze spakowana. Mam mały żołądek, niewymagający, mocne płuca, zwarty brzuch i silne mięśnie ramion. Nie biorę żadnych leków, nie noszę okularów, nie używam hormonów. Strzygę włosy maszynką, raz na trzy miesiące, prawie nie stosuję kosmetyków. Mam zdrowe zęby, może niezbyt równe, ale całe, jedną tylko

starą plombę, bodaj w dolnej lewej szóstce. Wątrobę mam w normie. Trzustkę – w normie. Nerkę prawą i lewą w wysmienitym stanie. Moja aorta brzuszna jest w normie. Pęcherz moczowy – prawidłowy.

Narratorka, to przecież nikt inny jak Olga Tokarczuk, której pasją są właśnie podróże. W kontekście tych podróży są *Bieguni* zapewne książką osobistą i ważną dla autorki, bo tu wkłada jakby samą siebie, możemy poznać jej przemyślenia, jej stosunek do świata, do ludzi, jej mądrość i życiową filozofię.

Bieguni to książka, którą zapamiętamy, zwłaszcza że zaskoczy nas obok zajmującej treści również ciekawą formą, chociażby przez nietypowe rozdziały, jedne krótkie, a nawet bardzo krótkie, inne dłuższe, nawet dość długie. Krótkie, będące z reguły pierwszoosobową narracją, oscylują wokół podróży, o czym też mówią ich tytuły: *Lotniska*, *Podróż do własnych korzeni*, *Kosmetyki podróżne*, *Pociąg tchórz*, *Przewodniki*, *Psychologia podróżna*, itp. Natomiast rozdziały dłuższe to wplecione w tę powieściową podróż frapujące, osobliwe historie, sięgające nawet starych kultur z minionych epok.

Pierwszoosobowa narracja mająca niekiedy charakter informacyjny (np. rozdziały *Lotnisko* czy *Kosmetyki podróżne*) zostaje co pewien czas przez autorkę porzucana, by ustąpić miejsca wszechwiedzącemu narratorowi – ten w ciekawy sposób zaserwuje czytelnikowi jakąś niezwykłą historię. Mogłaby ona wyjęta z tej książki stanowić odrębne opowiadanie, przykładem chociażby *Popielcowa uczta*. Już na początku powieści czytelnik zauważy ten inny sposób pisania, trochę zaskakujący, gdy autorka nieoczekiwanie każe mu śledzić poszukiwanie zaginionej żony Kunickiego, nie kończąc tego opowiadania, by jednak za kilkadziesiąt stron powrócić do niego wystawiając naszą ciekawość na próbę.

Nie mamy więc tradycyjnej, linearnej konstrukcji powieści i wcale nas to nie martwi, bo książka Olgi Tokarczuk tak wciąga, że nie możemy od niej odejść, a ta urozmaicona forma przydaje jej tylko waloru, zwłaszcza że doskonale oddaje przebogata treść, imponując rozległością zawartej w niej wiedzy o świecie i o człowieku.

Jakże wiele w tej książce fragmentów, które przemówią do czytelnika, oczywiście do każdego w inny sposób, zapamięta je, czasem zapisze, jak na przykład ten oto fragment z rozdziału *Czyszczenie mapy*, który uznałam niejako za „swój”:

To co mnie rani, wymazuję ze swoich map. Miejsca, w których się potknęłam, upadłam, w których mnie uderzono, dotknięto do żywego, gdzie zabolowało, przestały na niej istnieć.

W ten sposób wymazałam kilka dużych miast i jedną prowincję. Może kiedyś zdarzy się, że wymażę cały kraj. Mapy przyjmują to ze zrozumieniem; tęsknią do białych plam, to ich szczęśliwe dzieciństwo.

Lektura książki O. Tokarczuk uświadamia, że świat jest pełen różnorodności, rodzi potrzebę dystansu do rzeczywistości, jak i siebie samego. Jakby z góry trzeba już założyć, że na tym świecie dzieją się też rzeczy dziwne, które niekiedy wymykają się nawet logice. Zrozumieć świat to chyba zrozumieć go w całości, a więc i w tym, co jest inne, nietypowe, dziwne, co wykracza poza nasze „przyzwyczajone” myślenie.

Książka *Bieguni* jest właśnie przez to tak interesująca, że otwiera coraz to nowe, coraz to inne szlaki poznania tego świata. To tak, jakbyśmy tę podróż odbywali wraz z autorką i podobnie jak ona patrzyli na niektóre sprawy, jedne (np. psychologię podróżną) z przymrużeniem oka, na inne z humorem czy wyrozumiałością.

Ale tam, gdzie mówi o życiowych problemach ludzi dotkniętych przez los, porusza nas do głębi. Wyczuwamy też empatię autorki i niebывałą wręcz potrzebę zrozumienia każdego człowieka, pochyleń się nad jego losem, zrozumienia zwłaszcza tych, którzy znaleźli się na niebezpiecznym zakręcie swego losu, w jego pułapce. Ich decyzje są niebывałe, często dokonane na przekór sobie i innym. Zrozumieć je to zrozumieć więcej, wyjść poza obiegowe oceny, docierając do tego, co w człowieku ukryte gdzieś na samym dnie jego jestestwa.

Do głębi poruszająca jest historia Annuszki, jeżdżącej bez celu po Moskwie, odwołującej swój powrót do domu, do którego była przecież przykuta jakby żelaznym łańcuchem, tak jak jej kaleki syn do swojego łóżka. Aż przyszedł moment, że w tym łańcuchu pękło ogniwo i ta udręczona kobieta zapragnęła odetchnąć, oderwać się od swojego losu i samej siebie. Co powoduje człowiekiem, że podejmuje tak nagłe, niespodziewane decyzje postępując na przekór losowi i sobie. To trudne pytanie. Te kilka dni „bezdomności”, w jakiej się sama postawiła, ukazują świat zepchniętych na margines, niekiedy na samo dno życia, ludzi, których jedynym celem jest przetrwać, znaleźć pożywienie, a w zimie nie marznąć. Ale przecież nie aż tak

daleko, bo w bogatych dzielnicach istnieje inny świat: dobrobytu, blichtru, sukcesu.

Ta historia rodzi smutek i z tego powodu, że dziś, w XXI wieku, świat nie zmienił się aż tak wiele, może nawet pogłębiły się społeczne kontrasty i są bardziej dotkliwe. Dotyczy to jakże wielu krajów, także i tych bogatych.

Olę Tokarczuk interesuje to, co kryje się pod powierzchnią na pozór zwyczajnie toczącego się życia. Mierzy się z tym, co osobliwe, dziwne, niekiedy ekscentryczne i niezrozumiałe. Próbuje w to wnikać i zgłębić – taka eksploracja odkrywa coraz to nowe tajemnice drzemiące w ludzkiej naturze, w ludzkich działaniach i motywach. Autorka chyba świadomie „wynajduje” niezwykle, nawet niesamowite historie, oddające właśnie ową dziwność, ale przez to i złożoność tego, co stanowi egzystencję człowieka w świecie, na zachodzące w tym świecie procesy, przemiany, także i te w naszej świadomości.

I chociaż podróżując widzi się tylko świat we fragmentach, to jednak te fragmenty składają się na całość oglądanego jak okiem kamery świata, w gruncie rzeczy jednak harmonijnego w swoim nieuporządkowaniu. Tak jak książka Olgi Tokarczuk

z pozoru tylko nieuporządkowana, bo te wszystkie „wrzucone” do niej fragmenty tworzą w ostatecznym rozrachunku całość, bo z narracyjnych części i cząstek wyłania się właśnie świat, ten współczesny, którego doświadczamy w naszej codzienności i ten miniony, do którego możemy „zajrzeć” podążając za ciekawością autorki.

Historia Filipa Werheyena, uczonego anatoma, jest właśnie takim nieoczekiwanym dla czytelnika przeniesieniem się w wiek XVII. To już nie tylko podróż w głąb czasu, ale też podróż po anatomii naszego ciała, jego kościach, włóknach, komórkach, tkankach, nerwach, poprzecznych i podłużnych przekrojach tego ciała. Historia z rodzaju niesamowitych, podobnie jak i historia kobiety, podążającej aż na drugi kontynent, po to, by... dokonując eutanazji skrócić straszliwe cierpienia człowieka, którego niegdyś w odległej już młodości kochała. To są właśnie te fragmenty książki budzące najwięcej emocji i refleksji, ale też ukazujące w pełni narracyjny talent autorki.

Krystyna Cel

Fragment eseju do książki *Sukcesy literackie NIKE*.

Paweł Krieniow

Kto napisał *Cichy Don*?

W odległym już 1989 roku, kiedy prowadziłem kwerendę w rostowskim KGB, poszukując materiałów do mojej dysertacji, natknąłem się na ciekawe dokumenty. Zamówiłem je na wszelki wypadek, włożyłem do jakichś teczek... Później, jak to zwykle bywa, teczuszki się gdzieś zapodziały... W sumie, zwykła historia.

Dawno już zauważyłem pewną, typową zresztą dla wszystkich nas historyków, właściwość: jeśli w twoim archiwum, nawet na samym dnie leży potrzebny ludziom paperek czy kopia ciekawego dokumentu, cennego dla historii, to te papiery z niebывałym uporem wyłazą na wierzch, na świat Boży, do ludzi. Jak gdyby domagają się: nie tu, w zapomnieniu, jest nasze miejsce, chcemy powiedzieć pożyteczne słowo.

Przekonałem się o tym po raz setny na przykładzie papierów z tamtego, rostowskiego archiwum.

Ileż razy przekonywaliśmy świat: nikt inny, tylko właśnie Michaił Aleksandrowicz Szołochow napisał

wielką powieść *Cichy Don*. Nie wierzymy, mówią niektórzy mądrzy uczeni mężowie, że chłopczyzna dwudziestotrzyletni, niemal jeszcze niepiśmienny, a do tego wsiowy, mógł stworzyć absolutnie genialny utwór, za który, prawie dopiero po czterdziestu latach, ale przecież otrzymał Nagrodę Nobla. Nie wierzymy i tyle! Dlatego, że czegoś takiego nie może być. I ta niewiara, i te bezsensowne pytania ciągną się to tu, to tam, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc.

Grzech tego rodzaju, co tam będę mówił, zdarzał się i mnie. Czemuż to, myślałem, nikt ze współczesnych nie może powtórzyć tego samego w naszych czasach? Nikt nie zaprzeczy: Rosja zrodziła niezliczoną ilość niezmiernie utalentowanych twórców. Gdzie są jednak inne przykłady młodych talentów, gdzie wyraziste złote latorośle, które mimochodem, nie wiedząc co płodzą, tworzą to nowe, niezwykle, wspaniałe... Cóż to, czyżby talenty przestały się rodzić na Świętej Rusi? Czemu, rozmyślałem, sama

tylko pośredniość w poezji i w prozie? I co, mało piśmienny Misza Szołochow rzeczywiście okazał się mądrzejszy i zdolniejszy od wszystkich naszych złotych absolwentów najlepszych uniwersytetów i doktorantów? W istocie to przecież rówieśnicy. Zdawało mi się, że coś tu nie gra.

Przecież są, są przykłady, do których można i trzeba równać.

Wspomniałem, oczywiście, i naszego Puszkina, w całkiem młode lata, na licealnych wieczorach, zdumiewającego starego Dzierżawina wspaniała, całkiem już dojrzałą poezją. I tę czternastoletnią meksykańską dziewczynkę Consuelo Velásquez, która jeszcze ani razu się nie całowała, ale zachwycona swoją pierwszą miłością, napisała o niej wzruszające strofy, a później skomponowała cudowną melodię do tych wierszy, w wyniku czego pojawiła się nieskomplikowana ale niezwykle czarująca pieśń, którą śpiewali, śpiewają i będą z zachwytem śpiewać wszyscy ludzie, póki żyje nasz podksiężycowy świat.

Bésame, básame mucho...

Całuj, całuj mnie mocno...

A nieskończony geniusz siedemnastoletnich chłopaczków, którzy nie wiadomo skąd, z jakiego nieba sfrunęli i w klasycznych garniturach i głupich fryzurach zjawili się przed ludem w mieście Liverpool i stworzyli setki fantastycznych tekstów i melodii, które po wszystkie wieki będą teraz śpiewać i powtarzać wszystkie kontynenty. I nazwa ich zespołu również była głupia – „Beatles”, to znaczy „Żuki”. No i brzęczałyby sobie, żuki, ale czwórka chłopców z gitarami wykrzyczała na cały świat, że są genialni, i ludzie, którzy posłuchali ich, przyznali im to. Ja też przyznałem.

Znacznie później zrozumiałem, że senne etapy historii, kiedy wokoło cisza i spokój, rodzą, z rzadkimi wyjątkami, sennych ludzi. Wówczas rzadko pojawiają się wielkie utwory i wielkie dokonania. Dopiero wielkie przełomy, straszne wstrząsy historyczne, kataklizmy, rewolucje i wojny wydają na świat genialnych dowódców, twórców, uczonych i liderów. Wówczas siłą swego umysłu i talentu, swojej wiedzy, śmiałości i woli biorą oni w ręce bieg bitew wojennych, losy krajów i narodów i burzą, zmieniają wszystko po swojemu i ratują ludzi i ich dusze.

Szołochow, ten wysłannik Niebios, prosty Kozak doński przyszedł na świat, żeby uratować miliony dusz ludzkich, które straciły wiarę w sprawiedliwość,

w sens dalszego życia, gdyż się zagubiły w krwawym chaosie bezsensownej rzezi, nazywanej w naszej historii „czerwonym terrorem”.

Po raz pierwszy z maksymalnie dopuszczalną w stalinowskim czasie prawdą opisał tragedię wielomilionowego narodu, który władza wedle jej tylko zrozumiałej logiki postanowiła zniszczyć co do jednego.

Oni, Kozacy, wielcy prości ludzie pracy i żołnierze, którzy zawsze pierwsi rzucali się w bój za Ojczyznę, za „mateczkę Rosję”, nijak nie mogli pojąć, za jakie grzechy tak hołubiony przez nich kraj nagle rzucił się na nich i zaczął zabijać ich starców i dzieci? Czy mogli wiedzieć, że w jakichś dalekich masonskich kuchniach ugotowała się zupa pod nazwą „rewolucja światowa” i teraz wszyscy niepokorni, niezgadający się z decyzją „narodu wybranego”, w którego interesie miała się dokonać ta „rewolucja”, będą musieli bezwzględnie mu się podporządkować albo umrzeć.

Oto tekst tajnej dyrektywy biura organizacyjnego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Bolszewików z 24 stycznia 1919 roku „Do wszystkich towarzyszy funkcyjnych, pracujących w rejonach kozackich” podpisanej przez zażartego bojownika „rewolucji światowej” J. Swierdłowa:

„Uwzględniając doświadczenia wojny domowej z kozactwem uznać za jedynie słuszną absolutnie bezlitosną walkę z całą górą kozactwa poprzez likwidację jej co do jednego. Żadne kompromisy, żadna połowiczność nie jest dopuszczalna. Dlatego konieczne jest:

– przeprowadzenie masowego terroru przeciwko bogatym Kozakom, likwidacja ich co do jednego, przeprowadzenie bezlitosnego masowego terroru wobec w ogóle wszystkich Kozaków, którzy brali jakikolwiek bezpośredni lub pośredni udział w walce z sowiecką władzą. Wobec średniackiego kozactwa trzeba stosować wszystkie te środki, które dadzą gwarancję zaniechania jakichkolwiek prób wystąpień z jego strony przeciwko władzy sowieckiej.

– skonfiskowanie zboża i zmuszenie do oddania wszystkich nadwyżek w wyznaczonych punktach. Dotyczy to zarówno ziarna, jak i innych produktów rolnych.

– przeprowadzenie całkowitego rozbrojenia, rozstrzelanie każdego, u kogo zostanie znaleziona broń po wyznaczonym terminie zdania”.

Jakowowi Swierdłowowi z komunistyczną bezpośredniością wtórował drugi aktywny trockista Feliks Dzierżyński, jeden z twórców krwawego

„czerwonego terroru”, który na piątej ogólnorosyjskiej konferencji Nadzwyczajnej Komisji oświadczył:

„Kiedy podchodzimy do wroga, żeby go zabić, zabijamy go wcale nie dlatego, że jest złym człowiekiem, a dlatego, że posługujemy się narzędziem terroru, żeby zasiać strach dla innych”.

Przyznacie, że powiedziane niezbyt zrećźnie po rosyjsku – Dzierżyński w ogóle słabo władał językiem rosyjskim – ale za to jakże po ludożersku, jak po katowsku prosto i zrozumiale. Trudno sobie wyobrazić, ile nieszczęścia przyczynił w Rosji ten „rycerz rewolucji”, który jeszcze w dzieciństwie marzył, żeby mieć czapkę-niewidkę i zabić jak najwięcej Moskali, to znaczy Rosjan!

Swoje dziecięce marzenie z nadstatkiem zrealizował w Rosji, dokąd przywiódł go „książę ciemności” i postawił na bardzo wysokich stanowiskach, żeby zniszczyć Cerkiew i świat prawosławny. I tutaj ten jego sługa do woli napił się rosyjskiej krwi. Według rozkazów Dzierżyńskiego były tworzone koncentracyjne obozy śmierci, na przykładzie których niemieccy faszyci następnie budowali swoje Auschwitzy, Buchenwaldy i Majdanki, jesienią 1920 roku na Krymie rozstrzelano dziesiątki tysięcy najlepszych synów Rosji, którzy nie zechcieli porzucić Ojczyzny, na jego rozkazy odbywało się śmiertcionośne „rozkozaczanie”, gazami duszono chłopów Tambowszczyzny, którzy powstali przeciwko zgubnemu rozdziałowi kontyngentów dostaw żywności, bezlitośnie likwidowano uczestników powstań na Ukrainie, na Syberii, w Iżewsku, w Jarosławiu...

A główny ideolog „światowej rewolucji” Lejba Dawidowicz Bronsztejn alias Trocki oświadczał bez obłonek, że kozactwo, jako warstwa społeczna zdolna do samoorganizowania się i samoobrony, samo przez się jest niebezpieczne dla władzy Sowietów i dlatego musi być zlikwidowane.

Bohaterowie utworów Szołochowa trafili do samego ognia piekielnego „światowego pożaru”, które w Rosji rozniecali Trocki, Swierdłow i im podobni. Nie mieli żadnych szans, żeby przeżyć, przecież walczyli o swój Cichy Don, a to znaczy że, z punktu widzenia ideologów „czerwonego terroru”, podlegali likwidacji.

Twierdzę, że wielką powieść *Cichy Don* napisał wielki rosyjski pisarz Michaił Aleksandrowicz Szołochow. Oświadczać to przedkładam argumenty.

Otóż, gdy w 1989 roku w archiwum Rostowskiego Zarządu Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego wertowałem materiały historyczne związane

z tematem mojej pracy doktorskiej, przypadkowo natrafiłem na akta dwóch procesów sądowych – Nr 48928 i Nr 49455. Z jakiejś nieznannej przyczyny zacząłem je czytać. Wieczorem, gdy oddawałem je na noc archiwistce, ten uśmiechnął się i spytał:

– Co, postanowił pan zająć się twórczością Szołochowa?

I wyjaśnił, że w obu procesach stawali przed sądem ludzie będący realnymi prototypami powieści *Cichy Don* i *Zorany ugór*.

Źle spałem tej nocy, a na drugi dzień od rana rzuciłem się na archiwistę z prośbami, żeby opowiedział, co wie o osobach, figurujących w tych sprawach.

Stary pracownik archiwum, siwy i z poszarzałym obliczem, jakby przesycony na wylot wiekowym kurzem akt, był pełnym samozaparcia admiratorem swojego ziomka Michaiła Szołochowa, dlatego obaj spędziliśmy nad tymi aktami dość wiele czasu.

Sprawa Nr 48928 dotyczyła Charłampija Wasiliewicza Jermakowa. Archiwista z przekonaniem powiedział mi, że to prototyp głównego bohatera *Cichego Donu* Grigorija Mielechowa.

– No, co z tego, że Jermakow – mówiłem. – Mało to Jermakowów wśród Kozaków? Czemu właśnie on miałby być prototypem?

– Tu nie ma pomyłki – zapewnił mój rozmówca. I zaczął przytaczać swoje argumenty. Niektóre zapisał, inne zapamiętał. Postaram się przywołać je maksymalnie szczegółowo.

Po pierwsze, w aktach sprawy mówi się wprost, że Michaił Aleksandrowicz Szołochow, będąc krewnym Jermakowa ze strony ojczyma Kuzniecowa, w którego rodzinie długo żył, blisko go znał i bezpośrednio się kontaktował aż do samej śmierci Jermakowa. Obaj urodzili się i mieszkali w stancyi Wioszeńskiej, w sąsiednich chutorach: Szołochow – w Krużylinie, Jermakow – w chutorze Bazki. Ich rodziny były zaprzyjaźnione.

Akta procesu w sposób dowodny wykazują, że Szołochow praktycznie w całości spisał dla swojego bohatera Mielechowa biografię, szlak bojowy, charakter, a nawet wygląd zewnętrzny Charłampija Jermakowa, swego dalekiego kuzyna, który za ofiarne męstwo i sławne czyny powszechnie był nazywany „chlubą i dumą kozactwa”.

Oto kartki biografii dońskiego Kozaka Charłampija Wasiliewicza Jermakowa, które przepisałem z akt sprawy Nr 48928. Jeśli porównać je ze szlakiem bojowym Grigorija Mielechowa, to bez większego trudu można dostrzec: ich biografie są bardzo podobne.

W latach 1914-1917 Jermakow odbywał służbę wojskową w armii carskiej. Za zasługi wojenne i okazane w bojach żołnierskie bohaterstwo został kawalerem „pełnej Gieorgijewskiej kokardy” – otrzymał cztery Krzyże św. Jerzego i cztery Medale św. Jerzego wszystkich stopni, to znaczy został uhonorowany najwyższymi odznaczeniami żołnierskimi. Uzyskał kozacki stopień podchorążego, co odpowiadało ówczesnym wojskowym stopniom podoficera lub wachmistrza. Był to najwyższy żołnierski stopień przed szlifami oficerskimi.

Na froncie był ranny i w latach 1917-1918 leczył się w domu.

W 1918 r. został zmobilizowany do Armii Czerwonej i służył w znanym z historii oddziale Podtielekowa. Niebawem znowu został ranny i wrócił do rodzinnej stancy Wioszeńskiej, gdzie już była ustanowiona władza sowiecka. Na ogólnym zebraniu staniczników wybrano Jermakowa przewodniczącym komitetu wykonawczego.

15 czerwca 1918 roku stanicę zajęli biali Kozacy. Sąd polowy skazał Jermakowa na rozstrzelanie. Jednak wstawił się za nim jego brat, setnik kozacki Jemielian, który cieszył się wysokim autorytetem wśród Kozaków. Charłampij Jermakow został ułaskawiony i wysłany na front carcyński do kozackich oddziałów Białej Armii.

W grudniu 1918 roku ten biały front został rozbity i Charłampij wrócił w ojczyste strony, do stancy Wioszeńskiej.

W lutym 1919 roku na ochotnika zaciągnął się do 28 Kozackiego Pułku Armii Czerwonej i służył na stanowisku szefa transportu dywizji.

Już w marcu, kiedy nad Donem rozlało się szerokie powstanie kozactwa, Jermakow przeszedł na stronę białych. Został mianowany dowódcą wojsk kozackich po lewej stronie Donu. Z wycofującymi się białymi oddziałami znalazł się w Noworosyjsku, ale nie wszedł na okręt wyruszający do Turcji, lecz zebrał brygadę z pozostałych Kozaków i włączył się do Armii Konnej Budionnego.

W szeregach Armii Czerwonej walczył z Polakami i bandami atamana Szkury.

W tym okresie Jermakow aresztował Wydział Specjalny, ale na interwencję samego Budionnego, jako chwacki rębajło, został zwolniony i dowodził pułkiem jazdy i dywizyjną szkołą kawaleryjską.

Tego w aktach archiwalnych już nie ma, ale nie można wykluczyć, że dowódca armii Siemion Michajłowicz Budionny znał osobiście Charłampija Jermakowa jeszcze z frontów I wojny świato-

wej – przecież także, jak Jermakow był dońskim Kozakiem, z tego samego obwodu rostowskiego i również pełnym kawalerem św. Jerzego. Sława o tych kawalerach roznosiła się daleko na frontach i wielu z nich znało się nawzajem.

Prawie dwa i pół roku służył Kozak u sławnego komandarma i przez cały ten czas dopiekali mu komisarze i kontrwywiad z Wydziału Specjalnego: służyłeś u białych, znaczy nie ma dla ciebie miejsca w czerwonych oddziałach, twoje miejsce w więzieniu albo pod ścianą. Jednak nie ruszali go, póki trwały aktywne bitwy z białymi – przecież dzielnie walczył, jednak gdy wojna domowa zaczęła się chylić ku końcowi, a to już był rok 1923, zdemobilizowali go ze słowami: jedź ty lepiej do domu, dowódco, bo nie daj Boże...

Tak więc pojechał do swoich Biazek w stancy Wioszeńskiej. Znowu próbowały przyciągnąć go do siebie resztki białych, bandyci i „zieloni”, ale nigdzie już nie poszedł, jakiś czas uprawiał rolę.

Mniej więcej na tym etapie kończy się fabuła *Cichego Donu* o dramatycznych perypetiach Grigoria Mielechowa. Przyznacie sami: biografie Mielechowa i Jermakowa, ich miotanie się i droga przez mękę niewiedzy, poszukiwań właściwej drogi życiowej podobne są niemal dosłownie. Jest oczywiste, że szlak wojenny swego sąsiada i dalekiego kuzyna Charłampija Jermakowa Szołochow poznał ze szczegółami, a następnie tą drogą poprowadził w powieści ulubionego swego bohatera.

Nawiasem mówiąc, z przeanalizowanych przeze mnie archiwalnych materiałów akt sprawy Nr 48928 wynika, że młody pisarz Michaił Szołochow rzeczywiście skrupulatnie badał losy Jermakowa. W 1926 roku niejednokrotnie spotykał się z nim w stancy Wioszeńskiej, rozmawiał i zapisywał te rozmowy. Ostatnie spotkanie odbyło się w mieście Millerowo niedługo przed jego aresztowaniem. Podczas aresztowania Charłampija Jermakowa skonfiskowano list Michaiła Szołochowa, zawierający prośbę o kolejne spotkanie. Już po aresztowaniu Jermakowa Michaił Aleksandrowicz rozpytywał o szczegóły charakteru i losów Charłampija jego ziomków i bliskich krewnych.

Przypuszczam, że wszystko to przekonująco świadczy, że prototypem głównego bohatera powieści Szołochowa *Cichy Don* mógł być tylko dobrze mu znany krajan, sąsiad i kuzyn ze strony ojca, bohater I wojny światowej Charłampij Wasiliewicz Jermakow, były esaul kozacki, pełny kawaler św. Jerzego, „duma kozactwa”, jak mówili o nim dońscy Kozacy.

A to oznacza, że autorem *Cichego Donu* mógł być jedynie ów całkiem jeszcze młody człowiek, wielki rosyjski pisarz Michaił Aleksandrowicz Szołochow.

Myślę, że dla czytelnika nie pozostaje obojętne, jak potoczyły się dalsze losy Grigorija Mielechowa po jego powrocie do domu. O tym przecież nie mówi się w powieści Szołochowa. Dowiadujemy się tego z losów samego Charłampija Jermakowa, materiały na ten temat zawiera teczka Nr 48928, przechowywana w archiwum rostowskiego FSB.

Kiedy Jermakow wrócił do Wioszeńskiej i mieszkał tam, przez cały czas pisano na niego donosy. Jakże to, głoszą te donosy, człowiek walczył u białych i masz tobie: żyje i ma się dobrze. Trzeba go co prędzej rozstrzelać.

I w czerwcu 1924 roku organy OGPU aresztowały Jermakowa jako byłego białego oficera. Jednak w 1925 roku został zwolniony jako człowiek, który wiele walczył o władzę sowiecką. Prawdopodobnie ktoś się za nim wstawił.

Później ziomkowie wybrali Charłampija Jermakowa przewodniczącym wiejskiego komitetu pomocy wzajemnej i wiceprzewodniczącym bazkowskiej rady wiejskiej. Już w roku następnym, 1926 zostaje wybrany na zastępcę przewodniczącego wioszeńskiej rady stanicznej. Prawdopodobnie cieszył się zaufaniem miejscowych.

Jednak donosy na Jermakowa leciały i leciały do różnych instancji, także i do Moskwy. Wskazywano w nich, że on rzeczywiście w bojach odznaczał się odwagą i wszędzie słynął jako duma kozactwa, ale piszący listy do instancji informowali także o nadmiernym okrucieństwie Jermakowa. Na przykład, w 1919 roku w boju zarąbał szablą osiemnastu marynarzy. W innej walce wpędził do Donu, a następnie z innymi Kozakami zarąbał i utopił około 150 osób. Odznaczał się strasznym cięciem szabli.

Jaka władza przymknie oko na coś takiego?

20 stycznia 1927 roku Charłampij Jermakow został aresztowany przez Doniecki Obwodowy Wydział OGPU.

6 czerwca 1927 roku kolegium OGPU skazało go na najwyższy wymiar kary – rozstrzelanie.

17 czerwca 1927 roku został rozstrzelany w podziemiach millerowskiego więzienia.

Był niepowstrzymanie odważny i Bóg chronił go w boju. Jako dowódca, z ostrą swoją szablą zawsze był na przedzie swoich Kozaków, pędzących do ataku. Przeżył w setkach walk, gdzie gęsto świszczały kule i odłamki. I ścięła go, odebrała mu

życie nie bojowa kula, a katowska, kula więzienna. Czy tak powinien zakończyć swoje młode życie ten kwitnący, silny i mądry Kozak, który zgubił drogę w przeklętym czasie?

Dobry archiwista z Rostowa zrobił na moją prośbę kopię więziennej fotografii Charłampija Jermakowa z akt sprawy. Jego wygląd zewnętrzny dokładnie odpowiada postaci Grigorija Mielechowa: szczupła twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi, garbaty nos odziedziczony po matce Greczynce, wziętej do niewoli i wywiezionej nad Don.

W aktach sprawy Nr 49455 (sześć tomów) opisane są losy innego krajana Michaiła Szołochowa – Aleksandra Stiepanowicza Sienina, urodzonego w 1891 roku w chutorze Jewłantiewskim, w rejonie wioszeńskim obwodu rostowskiego. Pracownicy archiwum powiedzieli mi, że to prototyp Aleksandra Anisimowicza Połowcewa, jednego z głównych bohaterów innej powieści Szołochowa – *Zoranego ugoru*. Z akt wynika, że Sienin i Jermakow znali się, tym bardziej że dzieciństwo i młodość spędzili w tych samych miejscach, byli rówieśnikami.

Szołochow w swojej powieści również w istocie przejął dla Połowcewa zarówno wygląd zewnętrzny, jak też losy realnego kozackiego oficera Aleksandra Sienina, człowieka, którego osobiście dobrze znał.

Syn biednej rodziny kozackiej, Sienin nie miał możliwości kontynuowania nauki na Politechnice Nowoczerkaskiej, do której dostał się w 1910 roku po ukończeniu szkoły realnej i po pierwszym roku zapisał się do tamtejszej szkoły wojskowej.

W latach 1814-1917 jest oficerem na froncie niemieckim. Jest kolejno: dowódcą kozackiego plutonu, adiutantem pułku, dowódcą sotni 44 Dońskiego Pułku Kozackiego. Za odwagę wykazaną w bojach został odznaczony trzema Orderami św. Anny i dwoma Orderami św. Stanisława. Stopień wojskowy esauł, równy wojskowej randze kapitana.

W okresie Rządu Tymczasowego, po opublikowaniu sławetnego Rozkazu Nr 1, zezwalającego na wojskową anarchię, kiedy upojeni przyzwoleniem na wszystko żołnierze i marynarze zaczęli wszędzie mordować oficerów, Sienin – Połowcew rzuca rozpadającą się armię i odjeżdża do domu, do swojego chutoru Jewłantiewskiego. Jednak już w kwietniu 1918 roku, gdy tylko zaświtały zorze pierwszych powstań kozackich, siodła swojego konia i jedzie do białych Kozaków w stanicie Bokowskiej w rejonie Wioszeńskim, gdzie tworzone kozackie oddziały bojowe przy dopiero co powołanym nowym rządzie dońskim. Zostaje mianowany dowódcą sotni.

Już w maju 1918 roku jego sotnia odznaczyła się w boju i odniosła swoje pierwsze zwycięstwo: w rejonie chutoru Ponomariow wzięła do niewoli czerwonogwardyjski oddział Podtiełkowa i Kriwoszłykowa. (Jak pamiętamy, zarówno w powieści, jak i w realnym życiu służył w nim Grigorin Mielechow – Charłampij Jermakow). Sienin, jako sekretarz sądu kozackiego, uczestniczył w kaźni dowództwa i członków oddziału.

Następnie w szeregach Kornilowskiego Konnego Pułku stale bierze udział w walkach z czerwonymi. Po śmierci w boju dowódcy jemu powierzono dowodzenie pułkiem. Po pewnym czasie Sienin zostaje mianowany zastępcą dowódcy brygady ds. kadrowych 7 Płastuńskiej Dywizji.

We wrześniu 1921 r. Aleksandr Sienin został ranny w walce i czerwoni wzięli go do niewoli. Tam ukrył swój stopień i przez dwa lata służył w wojskach u czerwonych jako szeregowy żołnierz.

We wrześniu 1921 roku jego tajemnica wyszła na jaw – rozpoznał go jeden z byłych kolegów z wojska – po przesłuchaniach trafił do więzienia.

W 1925 roku został zwolniony i znowu wrócił do rodzinnego chutoru. W domu na jakiś czas poświęcił się pracy na roli: orał i siał, wspierał ubogą gospodarzę rodziców, później został nauczycielem, uczył dzieci matematyki – swojej ulubionej nauki.

Jednak władzy sowieckiej i całego jej systemu Aleksander Sienin nie lubił i podjął próbę przywrócenia starych dobrych kozackich porządków i odtworzenia wiekowego życia dziadów. Zresztą, bardziej szczegółowo jest to opisane w znakomitej powieści Szołochowa *Zorany ugor*, która opowiada, jak pułkownik Połowcew próbuje wzniecić nad Donem antysowieckie powstanie.

W lipcu 1930 roku Aleksandra Sienina aresztują organy bezpieki.

28 grudnia 1930 roku zostaje rozstrzelany w więzieniu miasta Szachty (poprzednia nazwa Millerowo), tam gdzie również zakończył życie Charłampij Jermakow.

Oto ostatni dokument, który postawił kropkę pod niepokornym losem tego niewątpliwie oryginalnego i utalentowanego człowieka, patriotę swojego kozackiego kraju.

AKT

1930 r. grudnia 28 dnia, m. Szachty

Ja, komendant Szacht-Donieckiej Narady Specjalnej GPU M. Ławruszyn w obecności odpowiedzialnego dyżurnego sektora Cygankowa na podstawie rozpo-

ządzenia naczelnika Sz.-D. NS GPU Nr 0768 z 24 grudnia 1930 roku wykonałem wyrok NWK – rozstrzelałem skazanego Sienina Aleksandra Stiepanowicza.

Wyrok został wykonany 28 grudnia 1930 roku o godz. 9 wieczorem.

Podczas oględzin trupa nie stwierdzono oznak życia, trupa złożono do ziemi na głębokości 2,5 arszyna, o czym sporządzono akt w dwóch egzemplarzach.

Komendant Sz.-D. NS GPU (podpis)

Dyżurny odp. sektora (podpis)

Jak wynika z akt sprawy Nr 49455, o tym, iż to właśnie esauł Sienin jest prototypem pułkownika Połowcewa, może przekonywająco świadczyć fakt, że autor *Zoranego ugoru* niejednokrotnie spotykał się z nim zbierając materiał do swojej powieści.

Ostatnie spotkanie Szołochowa z nim odbyło się w murach więzienia w mieście Szachty w 1930 roku, o czym w teczce pozostała stosowna notatka.

Odnotowano również, że na początku 1933 roku z aktami sprawy Aleksandra Sienina zgodnie z zarządzeniem zastępcy naczelnika Wydziału Tajno-Politycznego Przedstawicielstwa OGPU w Kraju Północnokaukaskim bezpośrednio w siedzibie Przedstawicielstwa zapoznał się Michał Szołochow. Nic w tym dziwnego: w 1933 roku, po opublikowaniu *Opowiadań znad Donu* i *Cichego Donu* pisarz był już bardzo znany, popierał go sam Stalin i Michał Aleksandrowicz mógł uzyskać takie pozwolenie. Ale wyszło na dobre: postać Połowcewa w wyniku tak drobniagowej pracy pisarza w powieści jest wyrysowana wyraziście i przekonująco.

Oni mało pożyli. Całkiem mało, jeśli mierzyć według skali zwyczajnego ludzkiego życia: Charłampij Jermakow – 36, Sienin – 39 lat. I wiele nie zdążyli dokonać w krótkim swoim wieku.

Nie porodzili ze swoimi czarnobrewymi lubymi – kozaczkami przyszłych dobrych kawalerzystów – żwawych i głośnych kozacząt, którzy wzbijaliby kurz po stanicach ze swoimi drewnianymi szabelkami i krzepkimi rączkami. Ci rozsądni, mocni mężczyźni nie zostali agronomami, przewodniczącymi swoich stanic, rejonów i obwodów, nie poprowadzili ludzi do bezcennego kozackiego szczęścia. A mogliby, mogli...

Ich żywoty oberwał wiarołomny, przez wszystkich przeklinany, podły czas przewrotu bolszewickiego. Nie udało im się do woli, do mokrych grzbietów naorać tłustej dońskiej ziemi, do chrukania w młodych stawach napracować na wonnych sianokosach. Nie zdążyli nagalopować się na swych

rących konikach po przestrzeniach dońskich stepów i spadzistych kurhanów. Nie natańczyli się w święta na deskach kozackich stanic. Odeszli od nas bardzo wcześniej i szkoda nam ich do łez.

Ale jesteśmy wdzięczni im i Wszchemocnemu Bogu za to, że żyli wśród nas i dali nam godny przykład wierności Ojczyźnie i swojej ziemi. Nie zhańbili swojego godnego, czystego i wiecznego Cichego Donu. Niezmiernie wdzięczni jesteśmy im i wielkiemu kronikarzowi kozackiego kraju Michałowi Szołochowowi za to, że stworzył o nich pamięć, która będzie zawsze żyć w ludzkich sercach.

Wracając zaś do problemu młodych twórców, to trzeba przyznać, że istotnie nikt po Szołochowie, w tak młodym wieku, nie podniósł tak wysoko poprzeczki wielkiej literatury rosyjskiej.

No cóż, poczekajmy, mamy jeszcze na to czas.

W Moskwie natomiast mieszkam całkiem niedaleko domu, który stoi w zaułku Siwcew Wrażek. Na domu wisi niemała liczba tablic pamiątkowych, poświęconych wybitnym ludziom, jacy mieszkali tu w różnym okresie. Głównie są to sławni dowódcy, którzy pokonali wroga w wojnie domowej i ojczyznianej, marszałkowie kraju. Wieje od nich niewzruszoną i wieczną sławą rosyjskiego oręża i dzwonem stalowych zbroi. Nie wiem jak wśród sławnych tych profili znalazło się oblicze drogiego mi pisarza. Przecież nigdy nie był wojskowym. Jednak wśród nich wisi tablica, na której wypisano, że w tym domu długi czas mieszkał rosyjski klasyk Michał Szołochow.

Wiele rozmaitych słów już zdążyła o nim powiedzieć ludzka mowa – godnych i głupich, prawdy i łgarstwa. I dzisiaj mówi. A on nikomu nic już odpowiedzieć nie może, dlatego że już dawno nie żyje wśród ludzi.

Ja zaś jako stary i wierny jego wielbiciel, zawsze rad jestem powiedzieć o nim dobre słowo. I teraz to robię.

I mam po temu szczęśliwą okazję. Idę właśnie w słoneczny dzionek przez miły Siwcew Wrażek i podchodzę do jego domu. Duża głowa z zakolami łysiny mocno siedzi na krzepkim ciele. Zaczesaane do tyłu niezbyt gęste jasnosiwie włosy, olbrzymie spadziste, uparte, akademickie czoło.

Charakterystyczne zmrużenie dobrych oczu, pionowe drobne zmarszczki obok nosa tworzące pozytywny wyraz twarzy, rozciągnięte w serdecznym uśmiechu wargi... Cała twarz promienieje radością nieoczekiwanego spotkania. Ku mnie zwraca się mały garbaty nos wielkiego człowieka.

– Pasza, nareszcie przyszedłeś do mnie starego. A ja cię już dawno wyglądam. Jak w porę wyszedłem ci na spotkanie!

Stoi rozłożwszy swoje silne ręce, pewnie żebym nie przeszedł obok niego.

Obejmuje mnie po starczemu niezręcznie, ale serdecznie i mocno. Żyje w nim dońska siła, żyje...

I wchodzimy do jego mieszkania, siadamy przy stole, strzelamy po jednym, potem po drugim, następnie po trzecim, a po nich i po piątym małym kieliszku dobrej chłodnej wódeczki. I płynie między nami, niczym czysty i dźwięczny strumyk, dobra, serdeczna rozmowa.

Tak mi się marzy, tak bym chciał. Ale nie ma go wśród nas. I to na zawsze...

A na końcu Siwcewa Wrażka, u jego szczytu, przecinając go na ukos, szumi niezmordowany szeroki potok Gogolewskiego Bulwaru. Jeśli przejść na zielonym świetle jezdnię, to wprost przed nami, już na samym bulwarze, pośród odwiecznych lip roztoczy się zadziwiająca kompozycja rzeźbiarska.

To jakby pośród zacisznego zakola Donu, pomiędzy dzbaneczkami lilii i rzadkich szuwarów kołysze się na lekkiej rzecznej fali zgrabnie zbity łódeczka. Wokół niej kąpią się w wodzie konie. Głośno parskają wpadającą do nozdrzy wodą i swawolą.

W łódeczce siedzi Pisarz. Na rzece z pewnością już zapada zmierzch, na wodę opada chłód, więc narzucił na ramiona kurtkę. Siedzi, lubuje się drogim jego sercu Cichym Donem, zachodem na rzece.

Spogląda też na uchodzący w dal Siwcew Wrażek, na swój dom, na Moskwę, na ludzi, których szczerze kocha. Patrzy na nas.

Szołochowa, tego znawcę ludzkich dusz, jak zawsze ciekawi, jak żyjemy, czy prawidłowo budujemy swój kraj i siebie? Czy nie pogubili się ludzie, ci wiecznie błądzący, na swoich zawiłych drogach?

Paweł Krieniow

Paweł Krieniow (właśc. Pozdiejew), rocznik 1950, rdzenny Pomorzec znad Morza Białego, dziennikarz, prozaik, dr nauk prawnych, wiceprzewodniczący Związku Pisarzy Rosji, działacz państwowy. Autor 8 zbiorów opowiadań i nowel, laureat szeregu ogólnorosyjskich nagród literackich, m. in. Złotego Medalu im. Wasilija Szukszyna. Uważany jest za najważniejszego współcześnie kontynuatora nurtu prozy wiejskiej w Rosji.

Trójgłos o książce Ireny Nyczaj pt. *Wina*

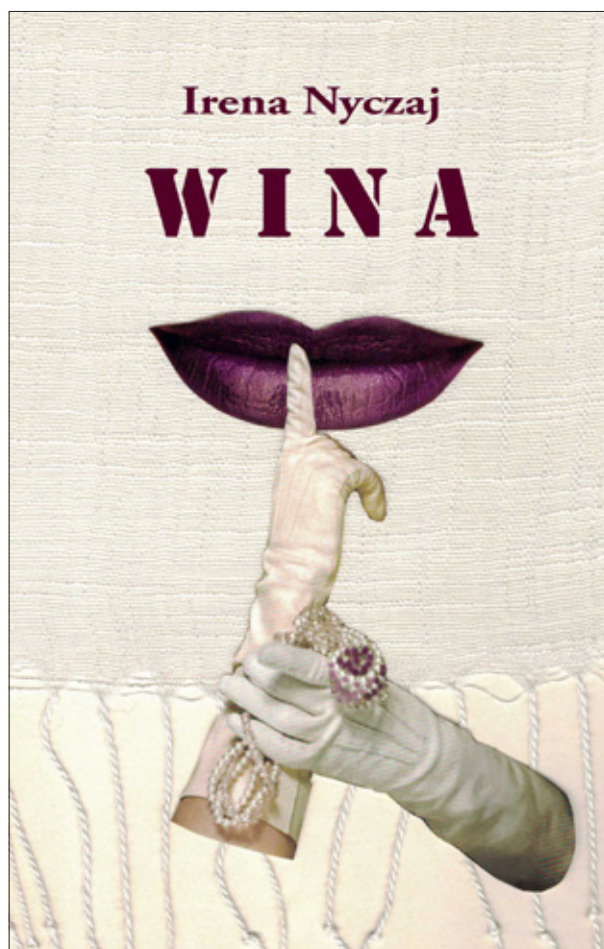
Barbara Gajewska

Motyw winy w książce Ireny Nyczaj

Biorąc książkę do ręki, zazwyczaj zatrzymujemy się przy jej tytule. Oczywiście oczy przyciąga strona wizualna – ilustracja na okładce, barwy, rodzaj oprawy. Tytuł jednak wskazuje na zawartość, na dominantę w treści. Tytuł czasem zniechęca, czasem pociąga. I dotyczy to nie tylko utworów literackich. Z reguły (mam za sobą takie doświadczenia) intuicja prowadzi nas dobrą drogą, ale, jak wiadomo, wśród reguł bywają wyjątki.

Tytuł książki Ireny Nyczaj oddziałuje podobnie. Spada na moje czytelnicze nastawienie ciężarem, w którym jest jakaś doza tragizmu i jednocześnie oczekiwania na ocalenie. Ten tytuł to *Wina*. Instynktownie zatem szukam winy u bohaterów i bohaterek zawartych w książce wierszy i opowiadań. Pomijam stanowiące trzecią część książki haiku, które jest na tyle odrębnym gatunkiem, że wymaga osobnego spojrzenia.

Doszukiwanie się jednak motywu winy w wierszach ze względu na tytuł książki, to nieco mętny zabieg i może nieco uproszczone podejście do utworu lirycznego. Spróbuję jednak. I tak w wierszu *Studnia wampirzyce*: j e g o wina, bo odtrącił, bo wrzucił do studni, zatem jakieś przepaści, groźnej i ciemnej, z której trudno się wydostać o własnych siłach. Studnia zranionych uczuć, przepaść pomiędzy zaufaniem a zdradą, może pomiędzy oczekiwaniem a spełnieniem... W tej przepaści są inne, może też wykorzystane i odtrącone, teraz jak wampirzyce próbują się odegrać za swoją krzywdę na niewinnej; j e g o wina i jemu podobnych. I tak jest w wierszu *Sen heroiczny*: j e g o wina, bo nieczuły, bo rani. A o n a? Ona się nie poddaje i nie ulega. Zakłada pancerz. Śmieje się. Jej krew w stalowym pancerzu jest bezpieczna. Nawet gdy pancerz jest dziurawy, łąta go i odgradza się nim nie tylko od raniącej miłości, ale i od innych szkodliwych wpływów świata. W wierszu *Mój ogródek* pancerz został zastąpiony roboczym ubraniem. W takim ubraniu o n a może uporać się ze smutkami, z rozpaczą, które Autorka nazywa „najdorodniejszymi z chwastów”. O n a jest silna! Dzięki pancerzowi niełatwo



ją zniszczyć. I może wygrać lot, pokonać głęboki wąwóz (wiersz *Lot*).

Należałoby teraz oczywiście podjąć próbę interpretacji istoty tego pancerza, tak przecież ważnego dla podmiotu lirycznego, ale ja chciałam skupić się na zagadnieniu winy. Pojawia się ona w jakimś stopniu w każdym opowiadaniu umieszczonym w tej książce. Nie wiem, czy taki był zamysł Autorki, ale śledząc ten wątek, wychwytyuję te zachowania bohaterów, które obciążyć można mianem winy. *Winy*, która nie zawsze pociąga za sobą karę, wbrew może podświadomemu oczekiwaniu czytelnika i utartemu, uproszczonemu, po wielokroć powtarzanemu w literaturze spojrzeniu na ten problem. Ot, choćby jak w II części *Dziadów* Mickiewicza. W trzech opowiadaniach odnajdujemy jednak motyw winy i kary. Oto gburowaty, nieżyczliwy ludziom i wykorzystujący stanowisko dla swoich korzyści burmistrz, zostaje przez siły wyższe srogo ukarany (tak przynajmniej wierzą ludzie). Jego samochód wywraca się na leśnej drodze, przygniatając mężczyznę, co jest powodem jego śmierci (*Sprawiedliwy las*). W opowiadaniu *Tacy sami zły*

bohater, nieakceptujący swojego chorowitego brata bliźniaka, lekceważący go, zazdrosny i nieżyczliwy, dowiaduje się w wieku dojrzałym, że ma guza w płucach, podczas gdy jego bliźniaczy brat cieszy się szczęściem rodzinnym i dobrym zdrowiem. W innym utworze (*Dlaczego uderzyła*) dojrzała kobieta zostaje ukarana odejściem kochanego mężczyzny za to, że pod wpływem emocji uderzyła parasolką chłopca, który motorynką jechał po chodniku, zagrażając tym samym bezpieczeństwu pieszych. A właściwie kobieta sama sobie wymierza tę karę, bo ów mężczyzna to postać wymaginowana, to psychiczny wytwór pragnienia miłości. Bohaterka według swojej oceny zawiniła, zatem musiała ją spotkać kara. Cóż to za wina, można by zapytać. A jednak... Wraz ze zniknięciem tej tajemniczej postaci znikają wszelkie nadzieje. Ładnie ujęła to Autorka: „Nie jedna, ale tysiące maleńkich postaci oddalało się ku wyjściowym drzwiom”.

I wreszcie opowiadanie tytułowe... Według mnie zasługuje ono na osobną uwagę i przy nim chciałabym się dłużej zatrzymać. Wyróżnia się wśród innych i długością, i kompozycją, i tym właśnie, że jest opowiadaniem tytułowym. Widocznie Autorka uznała, że kwestia winy jest tu na tyle istotnym zagadnieniem, by z tytułu utworu uczynić także tytuł książki. Jak to jest zatem z tą winą w opowiadaniu *Wina*? Oto od Oksany, bohaterki utworu, odchodzi ukochany, doprowadzając ją tym do obłędu, utraty poczucia sensu życia i ostatecznie utraty życia. Znowu kobieta zostaje porzucona przez mężczyznę, tym razem realnego, który był dla niej całym światem. Zatem wielka jego wina! Zatem dzieje się tragedia, ale w warstwie językowej utworu nie ma nudnego patetyzmu, prostej ckliwości. Nie ma nachalnych objaśnień, osądów. Wiele spraw nie zostało tu dopowiedzianych, dookreślonych. Fabuła rwie się, chronologia została zniesiona, narrator, a właściwie narratorka (wiemy kim jest, bo się ujawnia w pierwszoosobowej narracji) często zmienia formę wypowiedzi – opowiadanie o bohaterce przerywane jest wypowiedziami do niej skierowanymi, dłuższymi lub krótszymi, ale zawsze z bardzo silnym akcentem emocjonalnym. Taki sam emocjonalny charakter mają dialogi prowadzone przez narratorkę z bohaterką. Pierwszoosobowa narracja sprzyja budowaniu napięcia, wchodzeniu głęboko w sytuację bohaterki, w jej przeżycia, w jej cierpienie przy pełnej świadomości, że poznać, zrozumieć drugiego człowieka, choć ma się dobrą wolę i dużą dozę empatii, do końca się nie da. Podkreślają to liczne

znaki zapytania, urywane zdania, zdawkowe dialogi. I zamierzony chaos, co komplikuje tak opowiedzianą historię i utrudnia jej odbiór, ale przecież chaotyczna i skomplikowana była rosyjska dusza Oksany, więc jakże ją opisać, pokazać w niebudzący wątpliwości, klarowny sposób? Opowiadanie *Wina* to porwane kawałki narracji, porwane kawałki życia Oksany, które czytelnik sam musi pozbierać i poskładać, uporządkować. Musi podjąć jakiś wysiłek, ale o to właśnie chodzi, w tym jest wartość. To bowiem daje czytelnikowi możliwość kreowania własnych wizji i przeżyć, pełniejszego uczestniczenia w świecie przedstawionym utworu.

Lektura książki Ireny Nyczaj, w której pomieszczone są utwory różnorakie i ze względu na gatunek literacki i ze względu na tematykę, może dostarczyć różnorodnych refleksji i odczuć. I nie mam tu na myśli odczuć będących opiniami o książce. Chodzi o spojrzenie na świat, na życie, na człowieka. Mój szkic jest tylko zasygnalizowaniem pewnych zagadnień, które można by podjąć w szerszej analizie.

Barbara Gajewska



Kolaż: Irena Nyczaj

Niech żyje siła!

Kwestie moralnych wyborów, winy, kary, sprawiedliwości lub jej braku są naturalną częścią ludzkiego życia, nic więc dziwnego, że i literatura interesowała się nimi od początku. Jeśli miała stanowić wykładnię dobrych wzorców i zasad, jak działo się to często chociażby w utworach antycznych i średniowiecznych, każdą winę musiała połączyć z karą. O ile ciekawsze stają się jednak losy postaci, gdy ani wina, ani jej konsekwencje nie są oczywiste... Irena Nyczaj w najnowszym zbiorze wybiera właśnie tę ciekawszą ścieżkę, a losy kreślonych przez nią bohaterów, czy to lirycznych, czy fabularnych, mają dzięki takiemu zabiegowi zdolność przyciągania uwagi.

Wina to dzieło eklektyczne – czytelnicy znajdują tu przecież zarówno wiersze i haiku, jak i krótkie opowiadania. Mimo zróżnicowania form, całość książki pozostaje spójna, bo we wszystkich trzech jej częściach na plan pierwszy wybija się ironiczne, przewrotne podejście do opisywanej rzeczywistości. Autorka przez cały czas utrzymuje również wyrównane, wysokie tempo opowieści, przeprowadzając czytelnika od „niepokornych” liryków, poprzez miniatury prozatorskie o absolutnie nieprzewidywalnych zakończeniach, aż po ciekawie rozwiązana sekwencję miniatur poetyckich. Każdej z tych części należy się zresztą osobna uwaga i choćby kilka słów podsumowania.

Otwierający *Winę* cykl sześciu wierszy pisany jest z kobiecego – w dobrym tego słowa znaczeniu – punktu widzenia. Podmiot liryczny nie stroni od mocnych obrazów, jak w sugestywnej *Studni wampirzyc*, przywołującej odległe skojarzenia z tytułową bohaterką *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa – odważnie sięgającą po swój cel i gotową, by znieść przeciwności losu. W tych poetyckich wypowiedziach rysuje się osobowość kobiety, której najpotężniejszą władzę daje siła, upór, duma, ale też tak charakterystyczna dla (pozornie) słabszej płci: przenikliwość i wrażliwość. „Uprawiam mały ogródek/ Pośród **wysokopiennej miłości**/ trochę **intelektu**” – czytamy w lapidarnym wierszu *Mój ogródek*, w którym podmiot liryczny przyznaje się do usuwania „chwastów” w postaci „zwyčajnych smutków” i „rozpaczy bezłodygowej”. Ta językowa wyobraźnia, stanowiąca wielki atut w twórczości

Ireny Nyczaj, rozkwita jeszcze pełniej w opowiadaniach, wypełniających drugą część książki.

Bohaterowie prozatorskich miniatur (prócz tytułowej *Winy* znajdziemy tu jeszcze pięć innych, niepowiązanych ze sobą historii) to postacie interesujące i realistycznie sportretowane. Czytelnicy dowiadują się o nich dokładnie tyle, ile trzeba; narrator nie dodaje ani jednego zbędnego słowa. W oszczędnych środkach wyrazu autorka zawiera zaskakująco wiele obrazów, spostrzeżeń i obserwacji. Czasem decyduje się na linearną konstrukcję i zachowanie chronologii, czasem zrywa z nią całkowicie, jeśli taki przekaz sugestywniej oddaje niespokojne i powikłane losy postaci. Ogromny ładunek emocjonalny równoważym powściągliwym i (znow) ironicznym stylem opisu. Nie waha się sięgać po czarny humor, nie stroni od dramatów i fabularnych rewolt, które pojawiają się niezapowiedziane. A co najważniejsze – po mistrzowsku zawiesza głos, nie ulegając pokusie dopowiadania puenty do ukazanych historii.

Umieszczone w ostatniej części książki krótkie formy poetyckie stanowią dopełnienie nastrojów pojawiających się w opowiadaniach. Nie są to typowe haiku, wierne japońskim wymogom gatunku. Bezpośrednie przełożenie klasycznych zasad stosowanych przez azjatyckich poetów na język europejski nie miałoby zresztą ani sensu, ani szans na powodzenie. Polscy poeci wielokrotnie udowodniali, że forma krótkich, trzywersowych utworów to rama, w której można wpisać bardzo różne koncepcje autorskie. Cykl wierszy zamykających *Winę* pod względem samej idei najbliższy jest może mini-poematowi. Kolejne utwory podporządkowują się bowiem większej formie, co w przypadku haiku stanowi zabieg nowatorski.

Dzięki takiemu rozplanowaniu *Wina* to szalona mozaika, ironiczna, chwilami zabawna, chwilami poważna i refleksyjna, a przy tym niezwykle dynamiczna. „Wpadająca” z impetem w świetną, niemal gombrowiczowską puentę książki, która stanowić może znakomite zamknięcie powyższej analizy:

Chyba coś znaczę
przecież więzę słowika
dajcie mi władzę!

Anna Maria Musz

Irena Nyczaj, *Wina*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, opr. graficzne autorki, Kielce 2019, s. 112.

Niewinność Ireny Nyczaj

W swojej najnowszej książce pt. *Wina*, wielogatunkowej formalnie, bo zawierającej zarówno różnorodną poezję, jak i prozę, Irena Nyczaj w krótkiej frazie wiersza pt. *Sen heroiczny* zdefiniowała los tysięcy, co ja mówię – milionów kobiet:

Budzę się
i jak co dzień
zakładam szczątki
dziurawego pancerza
Przyszywam
nową łatę

Nie o sam sen, w którym mają prawo działać się sytuacje morfeuszowskie, absolutnie niesprawdzalne, mi chodzi. Ale właśnie o tę puentę, która jest o wiele bardziej dramatyczna od wszystkich widzeń nocnych. I nawet jeżeli podmiot liryczny (czy na pewno alter ego autorki?) zwraca się w tym wierszu wyłącznie z sytuacji osobistej, to jest ona nieobliczalnie zwielokrotniona, i utożsamia się z nią mnóstwo czytelniczek, podobnie jak ja. Konstrukcyjnie jest w tej frazie słów niewiele więcej, niż zmieściłoby się w podwójnym haiku (nie bez powodu to podkreślam, bo i taką formę poetycką znajdziemy w *Winie*), ale jej niepokojąca presja chodziła za mną przez kilka bardzo zajętych tygodni, aż kazała wrócić do książki...

Wróciłam. Do biogramu Ireny Nyczaj, z którym warto zaznajomić potencjalnych czytelników, i do jej „oferty” twórczej, różnorodnej i niebanalnej, oprowianej wizualnie w estetyczną szatę graficzną własnego autorstwa. Kielczanka z pochodzenia, „krakowianka” w okresie studiów (absolwentka filologii rosyjskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim), upowszechniała ten piękny, bogaty literacko język w szkolnictwie rodzinnego miasta oraz w przekładach rosyjskiej poezji i prozy.

Już jako laureatka I nagrody w konkursie „O Świętokrzyską Lirę Poezji”, zadebiutowała cyklem wierszy na łamach miesięcznika „Przemiany” w 1978 roku. Wieloletnie publikacje poezji i opowiadań (od krakowskiego „Życia Literackiego” po gdański „Autograf”) zaowocowały wydaniem zbioru opowiadań *Zwid* w krakowskim Wydawnictwie „Miniatura” w roku 1992. Równoległą pasją Ireny Nyczaj jest edytorstwo i bardzo oryginalne w formie

wyrazu kolaże, ilustrujące wiele książek oraz innych publikacji, a także pokazywane na ekspozycjach.

Któż mógłby trafniej zachęcić czytelników wizualnie do przeczytania *Winy*, niż sama autorka – tym niepokojącym znakiem kobiecych ust na okładce, które wiąże nakazem milczenia para kobiecych rąk w niemodnych atlasowych rękawiczkach. Teatralnych zapewne, wprowadzając element scenicznej gry, umowności, tajemnicy i niewiadomej w miejsce finału. Taka też jest zawartość tematyczna książki, zarówno w wierszach, jak i opowiadaniach. No, nie wyobrażamy sobie nadmiaru dramaturgii tak do końca: okalające okładkę skrzydełka niosą w sobie jakąś dozę optymizmu i poczucia bezpieczeństwa – jeżeli tylko zechcemy wczytać się w zamieszczone tutaj dwa piękne, pełne czułości liryki: *Moja gwiazda* i *Z samego wierzchołka płotu* autorstwa Stanisława Nyczaja, znanego kieleckiego poety i pisarza, animatora życia literackiego w Świętokrzyskiem, prywatnie – męża autorki. Zajrzyjmy zatem do *Winy*, wydanej pod redakcją Stefana Jurkowskiego w kieleckiej Oficynie Wydawniczej „STON 2”.

Barbara Gajewska w swoim szkicu na łamach portalu Pisarze.pl pisze, iż tytuł książki „...spada na moje czytelnicze nastawienie ciężarem, w którym jest jakaś doza tragizmu i jednocześnie oczekiwanie na ocalenie [...] Instynktownie zatem szukam winy u bohaterów i bohaterek zawartych w książce wierszy i opowiadań”. Ale ten intrygujący tytułowy znak werbalny nie musi do końca oznaczać ani depresyjnego stanu psychicznego podmiotu lirycznego, ani wspólnego mianownika dla wszystkich zamkniętych w okładkach utworów.

Rzeczywiście w opowiadaniu *Sprawiedliwy las* czy *Dlaczego uderzyła* autorka zbudowała postacie bohaterów negatywnych, których działania, przynoszące krzywdę otoczeniu, znajdują swój finał w ich napiętnowaniu przez to otoczenie, czy też siły wyższe. Ale nie wszystkie te opowieści można mierzyć jedną miarą, i – poruszając się tylko w obrębie tytułów można stwierdzić, że wszystko jest względne: i „Wina”, i „Racja”, bo jesteśmy „Tacy sami” i kwestią interpretacji jest fakt, po której moglibyśmy się znaleźć stronie. Autorka, która bardzo czujnie, ale nie czułościowo, obserwuje realia życia, ma świadomość prowokowania czytelników. Wydaje mi się, że z założenia dystansuje się od wszelkich ewentualnych sposobów recepcji swojej książki.

„Na plan pierwszy wybija się ironiczne, przewrotne podejście do opisywanej rzeczywistości – podkreśla we wstępie do *Winy* Anna Maria Musz.

– Autorka przez cały czas utrzymuje również wyrównane, wysokie tempo opowieści, przeprowadzając czytelnika od „niepokornych” liryków, poprzez miniatury prozatorskie o absolutnie nieprzewidywalnych zakończeniach aż po ciekawie rozwiązana sekwencję miniatur poetyckich”. O opowiadaniach: „W oszczędnych środkach wyrazu autorka zawiera zaskakująco wiele obrazów, spostrzeżeń i obserwacji [...]. Ogromny ładunek emocjonalny równowagę powściągliwym i (znow) ironicznym stylem opisu. Nie waha się sięgać po czarny humor, nie stroni od dramatów i fabularnych rewolt...”. I dalej o książce: „...to szalona mozaika, ironiczna, chwilami zabawna, chwilami poważna i refleksyjna, a przy tym niezwykle dynamiczna”.

Godząc się z autorką wstępu, sugestywnie zatytułowanego *Niech żyje siła!*, odnoszę wrażenie, że jeżeli nawet układ książki nie do końca był zamysłem twórczym, to rezultatu należy Irenie Nyczaj pogratulować. Zakładając dowolność interpretacji przez każdego – każdego z zamieszczonych w książce utworów, jej wiersz pt. *Lot* odbieram właśnie jako zmaganie się twórcy z materią dzieła, ze słowem, z warsztatem:

Ty nie wiesz Gniady
za tym polem
wąwóz głęboki

Krzyczę wyrok śmierci

Nie rozumiesz słów
Nie słuchasz poleceń

Ale przecież pojawia się w tej nieskutecznej walce to coś, co nazywamy „świątecznym w tunelu”:

Co to?
U barków Gniadego
załążki skrzydeł...
...Co z tego Gniady
że potem
osadzą nas twarde skały?

Zatem – walka, walka aż do zwycięstwa, niezależnie od konsekwencji. Czy tylko w procesie twórczym? Czy też w innych, dalekich od wizyt na Parnasie, działaniach człowieka? Gdzież ja to czytałam o ludziach pióra, iż pragną wyrażać to, co najważniejsze. Zdecydowali się dać wyraz uczuciom, myślom, aktom wyobraźni. W ten sposób przeciwstawiają się sugestiom o absurdzie i szaleństwie świata... Tak czyni również Irena Nyczaj, kreując

swoje obrazy poetyckie na najbardziej zaskakujących zestawieniach, jak w wierszu *Mój ogródek*:

W roboczym ubraniu
wrywam z wycza jne smutki
i rozpacz bezłodygową

Stop. Tu nie będzie interpretacji. Tu nie ma ironii. Tu jest gęsta, ciemna tajemnica. Czyja? Ale są jeszcze w końcowym cyklu haiku, miniaturki – epigramaty, odbiegające od założeń japońskich pierwowzorów, lecz wyrażające (podobnie jak i tam najczęściej) apoteozę piękna natury:

W betonie miasta
za oknami ptakami
wiosna wyrasta

ale też

W bliźnich agresji
zginiesz choć się nie ugniesz
brutalnej presji

i to

Musnął mnie Pegaz
skrzydłami – symbolami
sztuki mecenas

Ten najbardziej polubiłam... Jeżeli gdziekolwiek jest wina, to nie tutaj. Wysoki Sądzie, autorka *Winy* jest niewinna.

Krystyna Konecka



Nagroda Główna dla Ireny Nyczaj w konkursie „O Świętokrzyską Lirę Poezji” (1978)

Pamięci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego

Godzina „W”. Po raz siedemdziesiąty piąty. Krakowskie Przedmieście roi się od ludzi. Ich twarze zasłonięte są bielą i czerwienią. Niekiedy wiatr płacze włosy a nogi odmawiają posłuszeństwa. Lecz dłonie poruszają się równo. Jak zaprogramowane. Mały chłopiec przesuwając rękę po powierzchni ławki Chopina w poszukiwaniu. Jego rodzice stoją obok wymachując chorągiewkami. Oni wiedzą. Już nie szukają. Mały chłopiec rozgląda się. Patrzy w niebo. Wpatruje się w przestrzeń pomiędzy bielą i czerwienią. Przegania chmury. Patrzy w słońce. Nie boi się niczego. Poza spojzeniem rodziców.



Stanisław Nyczaj

Przyjaciel Jesion

Wyciągnąłem poza poręcz balkonu dłoń
i zaszumił mój dorodny przyjaciel jesion,
jakby na nią czekał.
Wtulił się delikatną gałązką, dziękując,
że znalazłem mu onegdaj pod mym szarym blokiem
cichy ziemi urodzajny kąt,
by przywieziony aż ze słonecznych zboczy
włoskich lasów dębowych
zawiązał korzenie, wyrósł tu na schwał,
dosięgnąwszy mojego piętra.

– Bądź spokojny, żadna pila cię nie skrzywdzi,
nie będę nacinał kory, jak tam by czyniono,
na sok zestalający się w ziarenka manny.
Za muru załomem nie doświadczysz wichur;
ocalisz zdobne białofioletowe pączki.
Rano, jak co dzień, będę w płuća głęboko
wdychał pełen kwietnego aromatu twój tien.
I kosa zaproszę z korony topoli,
na przedwieczorny koncert pośród twych gałęzi,
sławiący piękno naszej wspólnej zgody.

• POLECAMY • POLECAMY • POLECAMY • POLECAMY • POLECAMY •

• POLECAMY • POLECAMY • POLECAMY • POLECAMY • POLECAMY •

KWARTALNIK LITERACKO-KULTURALNY

LiryDram

NR 24

lipiec-wrzesień 2019

Oskar Miller
MEMLING WEDŁUG (NOWEGO?)
KACZANOWSKIEGO

Marlena Zynger
ABRAHAM KACZANOWSKI
EKSPERYMENTALNY
REALIZMI
Z PRZYMIŁUŻENIEM OKA

Andrzej Fabiński
PIENIĄDZ I GIEŁDA
W TWÓRCZOŚCI
ZYGMUNTA
KRASINSKIEGO

Alicja Patry Grabowska
MARIA CZY PIOTR?
75. ROCZNICA POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO

15. MIĘDZY NARODOWY
FESTIWAL MUZYCZNY
CHOPIN I JEGO EUROPA

Inna Pusztowska
CZAS MARI SZYMANOWSKIEJ
I MŁODEGO CHOPINA
FABRYKA ZNACZY KREW
APOKALIPSA, DÉRER -
LEBENSTEIN - MAJKA

Marlena Zynger
TAJLANDIA - INSPIRACJE
WĘDRÓWKI CZ. 2

Magdalena Węgrzynowicz-Płakta
BOGACTWO SYTUACJI
LIRYCZNYCH
W POEZJI KAROLA
KOPALSKIEGO
MARIENSZTAT
WIERSZE

poezja rysunek malarstwo grafika fotografia teatr muzyka styl proza

W numerze 24 (lipiec-wrzesień 2019) kwartalnika LiryDram ukazał się prezentowany obok esej Stanisława Nyczaja pt. *W stronę ekoliteratury*. Link: <http://www.lirydram.pl/>

W stronę ekoliteratury

Motto:

*W zwycięskiej wojnie z naturą
zapłać tylko człowiek*

Maksymilian Bart Kozłowski

Niewielu to zauważa i należycie docenia, że w kręgu pilnej interwencyjnie problematyki – obrony miazdzonego przez cywilizację naturalnego środowiska człowieka – również w dzisiejszej literaturze (poza publicystyką) coraz bardziej słyszalnie rozlega się także protest song poetów i przejmujący kreowanymi obrazami głos prozaików. Byłem u narodzin tej swoistej ekopoezji (tomem *Gry z naturą*, 1975), czuję się więc – nie tylko we własnym etycznym sumieniu – zobowiązany choćby dotknąć tego newralgicznego, obolałego styku naszego z naturą i cywilizacją trudnego współegzystowania.

Skutki dramatu natury, jaki dziś spektakularnie się rozgrywa, są w większości zawinione nie przez jej anomalia (przypisywane woli boskiej bądź kapryśnym zrządzeniom ślepego losu), lecz w głównej mierze przez eksploatacyjną, pozbawioną umiaru działalność człowieka, który (jak nieco później napisałem w chłuszczącym go ironią wierszu *Apostrofa do dumy*) „obok pięknych szklanych budowli wznosił pasma nieprzebytych hałd./ Przemógł naturę, przeszedł samego siebie,/ w amoku (za) szczytnych ambicji – niepohamowany”.

Jak zapewne Czytelnicy pamiętają, pierwszym w skali światowej alarmem w obronie zagrożonego środowiska był słynny raport sekretarza generalnego ONZ U Thanta z roku 1969. Przestudiowałem ten szokujący dokument z wymiernej oceny faktycznej sytuacji, zaangażowałem się całym sobą (jednocześnie redagując z pasji edytorskiej „Kwartalnik Nauczyciela Opolskiego” 1970–72) w obronę niezbywalnych wartości zdominowanej przez cywilizację przyrody; spełniłem nakaz pracy po studiach pedagogicznych na WSP i przeszedłem z zawodu czynnego nauczyciela polonisty w Zespole Szkół Skórzanych przy cenionych w drugiej połowie lat 60. minionego wieku Zakładach „Otmęt” w Krapkowicach do Zarządu Okręgu Ligi Ochrony Przyrody w Opolu. Przeptywająca przez Opole i Krapkowice Odra, zatrutowana podówcza toksynami głównie z pobliskich Krapkowickich

Zakładów Celulozowo-Papierniczych, stała się rzeką martwą, przemysłową, zdatną wyłącznie na spław barkami węgla i koksu w stronę szczecińskiego portu. Trzeba było pilnie dać odpór procederowi niecnego zatruwania ukochanej rzeki z pamiętnych kąpielii w dzieciństwie przy wyspie Bolko, gdzie przy wrzącym w słońcu małym wodospadzie czuło się w ruchu ciała delikatne muśnięcia grzbietów zwinnych ryb, jakby zapraszających do krotochwilnej zabawy w przejrzystej toni. Wkrótce na skutek zagęszczania się pyłu i żrącego dymu z kilku opolskich cementowni pracujących całodobowo bez filtrów brakło tej przejrzystości także powietrzu. Marniał w oczach drzewostan skromnych miejskich oaz drzew i krzewów.

Niepowściągnięci zbyt represyjnie przez partię podkręcającą nakazowo tempo odbudowy z wojennych zniszczeń – jako że ideologia ekologiczna, wspomagana zaleceniami wspomnianego raportu co do pomiarów szkodliwych stężeń w atmosferze, akwenach i gruncie, była umiarkowanie tolerowana – odnosiliśmy małe sukcesy w egzekwowaniu kar u bogatszych przedsiębiorstwach, ograniczających częściowo lekkomyślny impet uwalniania do rzeki złogów szkodliwych odpadów.

Znalazłem się w wąskim, zyskującym stopniowo na rozgłosie w literackim i plastycznym środowisku, gronie prekursorów ekopoezji i ekosztuki (jeszcze bez tych dookreśleń) – wraz ze świetnym poetą Harrym Dudą i rzeźbiarzem Adolfem Panitzem, twórcą ostrzegawczego cyklu porażonych energią jądrową człękokształtnych stworów pn. *Świat radioaktywny*, jakim zilustrowany został arkusz poetycki Mariana Buchowskiego.

Wołałem strofami wiersza *Opole* (uogólnionego potem tytułowo jako *Miasto*):

Idę ulicy kamiennym mostem.
[...]
Wzdłuż drzewa – rzeźby zielone.
Idę, zmagając się z tym powietrzem,
co winno rzeźwić, rozświetlać płuca,
uskrzydlać mięśnie.
Nade mną nieba brudnosurowy marmur.
Idę, próbuję rozłupić beton.
Pode mną rzeka ziemi przepływa,
lecz coraz słabsze jej żyzne wiry.
Ledwo kret przebrnie.

– strofami wiersza z inc. (Odsunęliśmy się od pól...):

[...] Ze stromych klatek schodowych
spadamy
w kabiny aut.
Rozpędzone taśmociągi jezdni
przewożą nieskażone tlenem mózgi nasze
w zacisza laboratoriów.
W gabinety wszechwładnego Intelaktu.

– dalej, strofami wiersza *Nasz las*:

Oto las wspaniały!
Las kominów i słupów.
Z solidnym, murowanym poszyciem,
trwałą, betonową ściółką.

Las wprost wymarzony.
Dopiero cośmy go zasadzili,
a on już stoi smukły, podniebny
na długo przed planowanym terminem.

Oto gałązki drutów tworzą od napięcia
splot najwyższego piękna.
Na jednej z nich omal nie przysiadł skowronek.

Wkrótce na dany znak
cały las po naszymu się rozszumi
i zaświergocze przejmująco elektroniką.

Wreszcie, tryptyk *Ten obraz*, składający się z części wierszowanej, prozy poetyckiej, kończy dramatyczny dialog ZIEMI, POWIETRZA i POETY:

[...] ZIEMIA

Wyrzucę cię na brzeg cuchnącej rzeki, w której
uganiałeś się za zwinnymi rybami. Nie ma już ryb!
Na próżno wysilasz pamięć.

POWIETRZE

Scementuję Twą obecność w bryłę. Nagą i bezbron-
ną. Wystawioną na mściwą chłostę tysięcy oczu.

POETA (*reasumuje*)

Ten obraz zachodzi patyną i rdzą. Spękany, rozpada
się... Kruszy jak grudy czasu.

Pod koniec roku 1985, owładnięty bezradnością
podejmowanych przez państwo konwulsyjnych prób
zaradczych, zawarłem w *Elegii na śmierć Puszczy
Jodłowej* obraz ekologicznej nieomal katastrofy:

Na Świętym Krzyżu sabat pyłów i dymów. [...]
Nadajnik ochryplym od korozji głosem
obwieszcza głuchy jęk jodeł i buków,
sosen i dębów. [...]
Krzyżową drogą ku stacji ostatniej

broczą usychając
kikuty jodeł, buków, sosen, dębów.
Pod niebem z pyłów i dymów już tylko
gęstwi się niezmierny ludzki las.

Na szczęście, puszcza po pewnym czasie siłami
samej natury podźwignęła się.

Takiego szczęśliwego obrotu spraw – zagojenia
ran i odbudowy nadwątlonych tkanek – może nie
doczekać trzebiona dla doraźnych korzyści (tj.
szybkiego wzbogacenia się hodowców bydła na
uzyskanych z masowej wycinki połaciach upraw)
Puszcza Amazońska, wytwarzająca dla naszego globu
1/5 nieodzownego tlenu. Pisze o tym w wierszu
Tygrys dołączająca do grona ekopoetów Uta Przyboś:

Z naszego życia uchodzą gatunki, już nie będzie
gibkiego piękna, płowych ciał,
drapieźnych przyczajeń, wiotkości kolorów.
W naszym świecie już całkiem serio grożą
[bombą atomową.

[...]

Na ziemię padają drzewa Amazonii, morświny już
[raczej bez szans.

Poeci wciąż prześcielają.

W Wielki Tydzień, krążą drogi krzyżowe. W nich
[tylko gwóźdź jest niewinny,
Martwe drzewo wynosi zwycięstwo.

Równie pomyslnego rozwiązania mogą nie do-
czekać zanieczyszczone plastikiem ryby rzek, mórz
i oceanów (alarmuję w tej bolesnej sprawie wierszem
sarkastycznie ironicznym *Witamy w (nie)zgodnej
rodzinie plastikowców*):

By pojąć niezmierzone akweny,
już nie musimy się uczyć
nazw wszystkich gatunków ryb:
ani tych z tysięcy rzek,
ani tych nieprzeliczonych
aż po mroczne niezbadane głębie
jezior, mórz, oceanów.

Stwórca śmietnej cywilizacji,
pogubiwszy się ostatecznie
w rachunkach nieprawdopodobieństwa,
połączył płetwy w jedną wielką
rodzinę plastikowców,
przybijając każdemu z zamiłowanych rybaków
piączę dostatniej w niestrawność sieci.

To nic, że u naszych plastikowców,
jak za pośmiertnych czasów, już nie ma,
tak i dalej nie będzie zgody,

podobnie, zresztą, jak w rodzinie ludzkiej.
Zapewne dość łatwo uda nam się
współprzyczyciać.

Także narowista Natura,
co tylko pracowicie wszystko różnicuje,
z tym aktem zjedwania jakoś się pogodzi –
w imię samozachowawczego instynktu
wytrwania za wszelką cenę.

Z przypisem: Według najnowszych danych okazuje się,
że w naszych morzach i oceanach zalega aż 150 mln
ton plastiku, a na Pacyfiku formują się plastikowe wyspy.

Przychodzi tej dotkliwej sprawie w sukurs cy-
towana wyżej Uta Przyboś w wierszach m.in. *Na
opak, Jajko*, np.

[...]
Tną drzewa w Kanadzie
bo zużycie ropy nieustannie wzrasta
żyć trzeba przyjemnie

Powietrzne meduzy
plastikowe torebki mnożą się zachłannie
oblepiając ziemię pociętą szarymi sznytami asfaltu
pochłaniają zakupy psie kupy i trupy

Janusz Termer

Pudełko Włodzimierza Kłaczyńskiego

(posłowie do nowej autobiograficznej powieści)

Włodzimierz Kłaczyński (rocznik 1933) debiu-
tował stosunkowo późno, bo na początku lat 70.
ubiegłego wieku. Przez długie lata życia i pracy
lekarza weterynarii na Podkarpaciu zbierał bogate
plony obserwacji z czasów wielkich polskich po-
wojennych przeobrażeń społecznych, politycznych
i obyczajowo-psychologicznych. Dał tego rozlicz-
ne literackie dowody, rysując obszerną panoramę
ludzkich losów i postaw tego czasu. Znamy go jako
autora opowiadań z tomu *Wronie pióra* (1985)
powieści *Popielec* (1985 r., film i serial telewizyj-
ny w reżyserii Ryszarda Bera), *Anioł się roześmiał*
(1993), a głównie epicko-panoramicznych proza-
torskich cykli, jak obszerne, pięciotomowe *Miejsce:
Korso, Krawędź wieku, Wążenie bólu, Gon, Głowa
Holofernesa* (2005) wraz dopełniającym freskiem
Zasiek polski (t. 1, *Idy lipcowe*, t. 2 *Biały koń*, 2008).
Był też znanym w latach 80. intrygującym felieto-

Z gazet i ekranów nie przenika zapach
śmierć jest higieniczna

i tylko to jajko...

Jan Chruśliński w opowiadaniu *Widmo katastrof*
(zamieszczonym w redagowanym przeze mnie cyklu
antologii *Nadmorskie Spotkania Literackie 2019*)
sugeruje, iż nie przywrócą równowagi klimatycznej
na naszej planecie ci decyzyjni, lekceważący koniecz-
ne wysiłki w przeciwdziałaniu jej gwałtownemu
ocieplaniu się.

Głos ekoliteratury, czerpiącej z nieprzebranego
źródła obrazowo-problemowych inspiracji, powinien
być dziś wołaniem o opamiętanie się. W odróż-
nieniu od szeptów intymnych emocji i zwierzeń
może pobudzać do głębszych refleksji wszystkich
szczerze zatroskanych losem otaczającej nas przyrody
– wspólnej planety. To godne podjęcia wyzwanie!

Niech ten głos w naszych sercach jak piękny
Bałtyk się rozszumi!

Stanisław Nyczaj

nistą tygodnika „Sycyna” (pod redakcją Wiesława
Myślińskiego). Powstały wtedy dwa zbiory: *I pies
też człowiek* oraz *I kot ma duszę*, które dopełniały
w swoisty sposób tę jego obszerną panoramiczną
opowieść o konkretnej epoce. O ludziach – pod-
dawanych nieustającej presji wszelkich możliwych
zewnętrznych nacisków, owych „dużych i małych”
(by odwołać się do tytułu znanej powieści Wilhelma
Macha), wydarzeń z dziejów najnowszej historii
Polski. Losów ludzi toczących swoje prywatne
potyczki i wielkie niekiedy wojny z tworzącą się
nową, nie zawsze im przyjazną rzeczywistością.
Tak właśnie widział – i nadal widzi – zadania i rolę
literatury autor *Pudełka*, wrażliwy i wiarygodny
świadek swojej epoki.

Te ciężące nad naszą rzeczywistością stare i nowe
problemy, dramaty ludzkie powojennego czasu,
związane z tą dla wielu z nas już tylko historyczną
epoką skomplikowanych dramatycznie naszych
dziejów – mimo wszelkie zmiany używanych au-
torskich, gatunkowych tzw. „form podawczych
(w tym i śmiałe sięganie do autentycznego języka
plebejskich mas bohaterów) – są nadal główną
osnową tematyczną jego najnowszego dorobku
prozatorskiego. W tym oczywiście i w tej książce,

którą oto trzymacie Państwo w rękach... Nosi ona również znaczący i znamieny – jak zawsze w przypadku innych utworów tego pisarza – tytuł *Pudełko*. I wraz z inną niedawno wydaną mikropowieścią *Wnuceł* – jest bardzo ważnym dopełnieniem całej jego wcześniejszej twórczości, a zarazem widowym i dobitnym świadectwem pewnych literackich tendencji i zmian w jego utworach się dokonujących, także w samym zakresie używanych środków ekspresji.

Podobną formułę, literackiego odwzorowywania świata realiów i losów ludzkich, proponował Włodzimierz Kłaczyński także w swych sztukach teatralnych – zebranych przed paru laty w tomie *Dramaty*, utworach nawiązujących do (wraz z poprzedzającą je „powieścią radiową” – *Skorpionada* z 2010 r.) tropów i motywów wcześniejszych swych prozatorskich utworów. Tworzące ten zbiór sztuki: *Oficina – komedia nieoptymistyczna w trzech aktach* oraz *Ciotka – dramat w dwóch aktach* noszący równie wielce znaczący dla jej wymowy podtytuł: *Obraz z czasów, kiedy w Polsce wsie zamieszkiwali chłopcy*, świadczą o tym najlepiej. Dwie pozostałe sztuki są interesującymi próbami aktualizującego odwoływania się do pewnych uniwersalnych tematów zawartych w wybitnych klasycznych dziełach dramaturgicznych: *Moralność pani D.* – oczywiście według dramatu Gabrieli Zapolskiej – i dramat *Inspektor*, zwany w podtytule *komedią w trzech aktach na motywach „Rewizora” Gogola – wersja współczesna*.

Autor wprowadza teraz swych dawniejszych czytelników oraz nowych odbiorców w podobne co niegdyś rewiry życia, czasy okupacyjnej i powojennej rzeczywistości polskiej, szczególnie zaś tej wywiedzione już niemal wyłącznie z osobistych, młodzieńczych zwłaszcza, doświadczeń i przeżyć dziecka dojrzewającego w małomiasteczkowej atmosferze tamtego czasu, a potem młodzieńca, studenta weterynarii w akademickim mieście Lublinie. Podejmuje w *Pudełku*, choć z innej nieco perspektywy i oświetleniu – w gruncie rzeczy na nowo, jak każdy rasowy pisarz, te same zasadnicze, „od zawsze” nurtujące go problemy. Próbuje bowiem i tą nową prozą odpowiadać na tożsame pytania i problemy, na ostre wewnętrzne konflikty, jako mające swe źródła w tamtych powojennych porządkach ustrojowych, odciskających nadal swoje piętno na rozlicznych „piętrach” – rozległych terytoriach polityczno-społecznych – ludzkich postawach i życiowych zachowaniach. Poprzez obecny tutaj, daleki od sielanki, egzystencjalnie bogaty i ciekawy, psychologicznie

odkrywczy obraz tych tak „mrocznych” rejonów wczesnego dojrzewania osobowości; także między innymi w dziedzinie wtajemniczeń w mało raczej eksplorowane w naszej literaturze erotyczne rejony wieku dzieciństwa i młodości – ciekawy nawiasem mówiąc materiał dla psychoanalityków! I to na równi z wypływającym stąd obrazem narracyjnego tła prowadzonej przez władze „dużej i małej” polityki. Na przykład w zakresie szkolnictwa (wiele tutaj kapitalnych – „śmiesznych i strasznych” autorskich celnych obserwacji przeżyć, ze studenckich jeszcze czasów płynących.

Włodzimierz Kłaczyński mówi o tym wszystkim teraz wprost, bez pruderii, bez zahamowań obyczajowo-cenzuralnych. A też i bez maski tzw. tradycyjnego obiektywnego powieściowego, bezosobowego trzecioosobowego narratora; wcale nie krępuje go obecnie gramatyczna forma – ja, dodatkowo przecież uwiarygadniająca całość tej pamiętnikarsko-wspomnieniowej opowieści! Bezpośredni autobiograficzny punkt widzenia, zawężanie rzeczywistości do osobistego doświadczenia, nie przeszkadza Kłaczyńskiemu w wykraczaniu daleko poza zapis czystego i jałowego egocentryzmu. Ma bowiem jako pisarz pełną świadomość tego, że nigdy nie był – nikt nie jest – „samotną wyspą”, szczególnie na tym wzburzonym morzu wszelkich społeczno-politycznych zawirowań polskiej historii oraz międzyludzkich interakcji. I dobrze wie, że pamięć zdarzeń, które przywołuje tutaj tak niby kapryśnie, wyciągając je niespiesznie, niczym zręczny prestidigitator, z głębokich zasobów swojej pamięci, z owego tytułowo symbolicznego zasobu – **pudełka-szkatułki**, jest ważna nie tylko dla niego...

Włodzimierz Kłaczyński nieprzypadkowo przecież – powiedzmy to na koniec wyraźnie i dobitnie – wybrał kiedyś, jako motto dla swojej wielotomowej powieści *Miejsce*, słowa amerykańskiego pisarza Noblisty – Williama Faulknera, ukształtowanego – jak on sam wyznawał w mowie wygłaszanej w Sztokholmie przy odbiorze tej nagrody – na tym ważnym dla niego przesłaniu zaczerpniętym z prozy Henryka Sienkiewicza: *Przeszłość nie jest martwa. Ona nawet nie przeminęła...*

Nie trzeba dodawać, że owo Faulknerowskie motto jest oczywiście i teraz dla autora *Pudełka*, jako pisarska dyspozycja, niezmiernie ważna. Tak zresztą jak dla jego czytelników...

Janusz Termer

Poezja jako konieczność w ujęciu Joanny Babiarcz (fragmenty)

Joanna Babiarcz od debiutu w 1981 r. wędruje nieprzerwanie nieprzetartym szlakiem po takich meandrach ars poetica, po jakich tylko sobie zamarzy. Ponieważ Poetka konsekwentnie pozostaje pod urokiem wielu cech wiersza różewiczowskiego jako tzw. sprawdzonej bazy, którą zestrzaja kompozycyjnie z własną ekspresją słowną, stwarza nie tylko oryginalne liryki osobiste, ale także liryki pośrednie, szczególnie gdy podmiot liryczny jest zbiorowy, o gorzkiej egzystencjalnej wymowie, czasem nawet katastroficznej. W wyniku takiego zabiegu, czyli połączenia prostoty przekazu w warstwie formalnej z bogactwem świata przedstawionego – realnego i wyobrażonego, powstają oryginalne obrazy poetyckie, często oparte o kontrast, a nawet o paradoks. Motywy z życia codziennego powodują, że nawet najbardziej symboliczne wiersze zawarte w niniejszym tomie *porastanie*, pozostają czytelne dla szerokiego kręgu odbiorców, choć zapewne koneserzy znajdą w nim echa lektur Poetki, a więc mniej lub bardziej świadome inspiracje i nawiązania do twórczości Edwarda Stachury, Andrzeja Bursy i Zbigniewa Herberta.

Właśnie taka aluzja do twórczości Edwarda Stachury, do utworu lirycznego, znanego jako piosenka *Jest już za późno, nie jest za późno*, występuje w lirycznym wyznaniu pt. *wiersz*. Pojawia się jako motyw wiodący, w którym zbiorowy podmiot zdając relację z niecodziennego zdarzenia na samym początku stwierdza, że wiersz *stanął nam na drodze*. Zaskakująco prosta jest ta urokliwa metafora, bo przejęta wprost z języka potocznego. Jako związek frazeologiczny oznacza tyle, co przeszkadzać komuś, utrudniać, być zawadą, ale przejęty do wiersza wiąże się z personifikacją tegoż wiersza. Dlatego ten zwrot interesujący jest bardziej w wersji łagodniejszej, jako zawrócenie komuś głowy znienacka, czyli niespodziewane zdekoncentrowanie czyjejś uwagi. Po pierwszym oszołomieniu spotkaniem:

czekaliśmy
kto pierwszy podejdzie
kto pozbiera strzępy słów
dotknie żaru
roznieci ogień

scena traktowana dosłownie robi się prawie dramatyczna, gdyż w miejscu publicznym jakim jest droga, ktoś chce rozniecić ognisko. Oczywiście cały ten obraz poetycki należy odbierać w przenośni, gdyż utwór napisany w swoistej poetyce odwołującej się w skojarzeniach i do Feniksa i do Prometeusza sugeruje, że poezja

rozumiana jako żar jest nośnikiem pięknych idei, które rozprzestrzeniając się jako ogień, zataczają szerokie kręgi. A fraza ze zbieraniem strzępów słów sugeruje co najmniej dwa obrazy: albo wiersz recytował się z pamięci i słowa leciały w eter albo czytał się sam jako zapisany wcześniej tekst, który w miarę odczytywania odrywał się i spadał na drogę. Paradoksalnie możliwa jest i trzecia sytuacja, gdy wiadomy podmiotowi zbiorowemu wiersz nie musi się wysławiać, czyli przedstawiać, więc nie mówi nic, tylko rozrzuca całe wersy, które wywołują żar emocji, by wywołać ogień uczuć.

Istnieje jeszcze jedna możliwa interpretacja, ale o niej za chwilę, ponieważ to jest właściwy moment, żeby wykażać, na czym polega oryginalność i artyzm poezji Joanny Babiarcz. Niewątpliwie na pewnej dozie tajemniczości i wieloznaczności wykreowanych obrazów, która mimo logicznej spójności umożliwia wiele równoprawnych interpretacji, gdyż poziom ogólności i występujące atrybuty nie skłaniają do zawężania motywu, a raczej przez różne wielopoziomowe skojarzenia i czasem nawet bardzo odległe konotacje wywierają na czytelniku presję do łamania stereotypów i postrzegania znanych zjawisk w nowych kontekstach i konfiguracjach. Tak więc artyzm tego metapoetyckiego utworu polega także i na tym, że nie tylko zmienia punkt widzenia samych świadków zdarzenia, którzy na początku nieufnie czekali, kto się odważy wejść w relację z wierszem, ale także czytelników, którzy w nagrodę otrzymują optymistyczną pointę: *że jeszcze mamy czas*. Ten przysłowiowy happy end nie jest przypadkowy i wynika z dalszego kontaktu z wierszem, który został potraktowany stanowczo, a nawet w pewien sposób brutalnie:

rozerwaliśmy go
na pół
żeby zrozumieć
że nie jest za późno

A więc od samego początku mowa tu o dwu osobach, a często dwie osoby to tzw. para (tradycyjnie: kobieta i mężczyzna) związana jakimiś uczuciami sympatii, zauroczenia lub wręcz miłości. I teraz przy ostatecznej konkluzji dotyczącej wiersza pora powrócić do wspomnianej aluzji do piosenki Edwarda Stachury, której to refren zbudowany na opozycji brzmi nader znajomo: *Jest już za późno! Nie jest za późno!* Podczas, gdy pierwsza zwrotka tekstu Edwarda Stachury rozpoczyna się słowami zachęty: *Jeszcze zdążymy w dżungli ludzkości siebie odnaleźć!* *Tęskność zawrotna przybliżyła nas*, to trzecia mówi już wyraźnie o spełnieniu: *Jeszcze zdążymy naszą miłością siebie zachwycić!* *Siebie zachwycić i wszystko w krąg*. Ta czwarta w kolejności (ale być może wcale nie ostatnia) interpretacja obrazu poetyckiego, który wynika z lektury wiersza jako liryki miłosnej, może być wynikiem takiej oto sytuacji: albo z otwartego okna dochodzi do przechodzącej pary piosenka *Jest już za późno, nie jest za*

późno albo śpiewa ją tzw. uliczny grajek. Faktem jest, że ta cała sytuacja na tyle zaskakuje Poetkę, że postanawia o niej napisać wiersz niejako z kryptogramem miłości, bo jeśli kryptogram to tekst zapisany szyfrem, to cały ten wiersz o wierszu paralelnie mówi o tym, że miłość czasem przychodzi niespodziewanie, ale żeby nie była traktowana jak intruz, w cierpliwości rodzi się z oczekiwania, potrzebuje zapewnień i wreszcie bucha gorącym uczuciem. Czy można zatem w tym przypadku postawić znak równości między słowami wiersz i miłość, jako że nagle pod wpływem tekstu Edwarda Stachury stają się w poezji Joanny Babiarcz symbolicznie tożsame? To oczywiście zależy od tego, kto i jak wielką rolę przypisuje poezji. Czy sugerowany odbiór tego wiersza stanie się przeważający – nie wiem. Czy jest on zgodny z intencją Poetki – nie wiem. Zawsze możemy poprzestać na tym, co literalnie jest zapisane, ale zasada ta cechuje teksty informacyjne, a nie wielką poezję, która od zawsze posługuje się szeroko rozumianą przenośnią.

Z podobnie złożoną sytuacją liryczną mamy do czynienia w monologu *porastanie*, gdzie podmiot liryczny beznamiętnie zdaje relację z nietypowej obserwacji swojego uczestnictwa w świecie:

trawa rośnie w zupełnie
innym miejscu
niż zawsze

zarasta rzeki
uchodzi na dachy

teraz kiełkuje
w moich ramionach

To bulwersujący obraz jakiegoś odwróconego porządku – zmasowanej inwazji pospolitych roślin, które w groteskowy sposób zagroziły cywilizacji, a nawet ludzkiemu zdrowiu. Szokujący jest obraz kiełkowania w ramionach podmiotu literackiego, w których raczej zwyczajowo znajdują się osoby ukochane lub ulubione zwierzęta. Celowo Poetka nie określa tej trawy żadnymi epitetami, nie nadaje jej rysu vanitas – przemijania, jaki mają suche brązowiejące trawy i siano, nic nie wzmiankuje o porze roku, więc nie możemy zobaczyć soczystej zieleniącej trawy na wiosnę symbolizującej nadzieję. Jeśli bowiem chodzi o trawę, to z badań językowych wynika, że spośród skojarzeń swobodnych najczęściej po kolorze zielonym pojawia się łąka z wrażeniami estetyczno-praktycznymi. W zależności od przyjętego punktu widzenia trawa w myśleniu potocznym może być postrzegana jako obiekt wartościowy gospodarsko lub jako rzecz nic niewarta, o czym świadczy zwrot frazeologiczny: *mowa – trawa*, czyli potocznie: słowa bez pokrycia lub powiedzenie: *po mnie niech i trawa rośnie*, a nawet swoiste przekleństwo: *bodaj przed twoją chatką (progiem) trawa rosła*. Trawa symbolizuje poprzez akt

kontakt z naturą nowy wzrost – czerpanie z jej życiodajnej siły. Nie można też przeoczyć faktu, że w slangu młodzieżowym i języku hipisowskiej subkultury trawa oznacza narkotyk – marihuanę. Jaki naprawdę jest stosunek Poetki do tej trawy? Jediną wskazówką może być tytuł *porastanie*, od którego to nazwę przyjął cały najnowszy opublikowany zbiór wierszy. Najogólniej rzecz ujmując można na nie spojrzeć w kontekście wzrostu, a więc porastać w znaczeniu rosnąć, pokrywać coś lub w odniesieniu do rozrośniętej roślinności – nadmiernie wyrastać, przerastać, przewyższać, a nawet wyrastać ponad coś. W znaczeniu symbolicznym mamy zatem krzyżujący się ruch w górę (przewyższanie) z poziomym (rozrastanie) czyli całkowitą ekspansję ponad zwykły poziom i obszar. Liryki z tomu *porastanie* posiadają duży potencjał interpretacyjny, możliwy do zrealizowania dzięki językowym pasjom Poetki, wyczulonej na to całe bogactwo wrażeń słowotwórczych.

Nie chodzi wszakże o zabawę słowem, bo Joanna Babiarcz pojęcia i znaczenia, bez których nie byłoby poezji, traktuje jak najbardziej serio. W tym kontekście *porastanie* to coś więcej niż dojrzewanie, to ekspansja wiecznej młodości. Faktem jest, że młoda, a więc zielona i świeża trawa, przynosi nadzieję, a w symbolice religijnej trawy oznaczają radość duszy. Wracając zaś do samego wiersza, czy fakt, że trawa porasta w takim samym stopniu rzeki i dachy jest pozytywny? Dachy są raczej w porządku, ale rzeki? No cóż, wartości wizualne i rekreacyjne trawników były wysoko cenione w przyklasztownych kontemplacyjnych ogrodach już w XII w., bowiem dla pogrążonych w lekturze mnichów były chwilą duchowego odprężenia i inspiracji. Może więc to zwykły bunt natury, gdy coraz więcej asfaltu i betonu, a może powrót do natury i takie jest ogólne przesłanie Poetki. Nie jest przy tym wcale takie oczywiste, że brak kontroli nad tym wybuchem jest pesymistyczny, bo może fakt przebywania młodych kiełków w ramionach podmiotu literackiego jest objawem przychylności i delikatności Poetki wobec tak totalnego *porastania*.

W twórczości Joanny Babiarcz przyglądanie się poezji jako kwintesencji ekspresji werbalno-dźwiękowej, poszukiwanie jej ukrytego sensu, badanie siły oddziaływania, by dzięki niej jak najlepiej wydobyć piękno i przedstawić prawdę o świecie, jest stale obecne. Niezależnie od zwolenników tezy, że wielka poezja jest z natury: elitarna, mistyczna i natchniona, a także demokratycznych poglądów Edwarda Stachury, wyrażonych w znanej aforystycznej postaci, że *Wszystko jest poezją, każdy jest poetą*¹⁾ wypracowała sobie własne modelowe spojrzenie na to, czym ona jest. Tezę, że tworzenie poezji jest wartością autoteliczną, czyli wartością samą w sobie, zajmująca najważniejsze miejsce w hierarchii wartości, zawarła explicite w miniaturze *konieczność*:

nic co naprawdę wielkie
wielkie nie jest
i nie musi

nie jest wynikiem potrzeby

dlatego wartość absolutna
nie jest poezji potrzebna
poezja jest koniecznością

Ponieważ takiej naczelnej wartości nie ocenia się z punktu widzenia prakseologii, poezja nie może być sztuką użytkową, a skoro: *nie jest wynikiem potrzeby*, to nie muszą się do niej stosować żadne miary i prawa ani fizyczne ani tym bardziej matematyczne. Nawet ujmowana w kategoriach filozoficznych nie musi całkowicie spełniać warunku wartości absolutnej, z założenia nie powinna nawet posiadać żadnego atrybutu absolutności (niezależności od jakichkolwiek warunków i bezwzględności), skoro odwołuje się do tzw. imponderabiliów – rzeczy niematerialnych (np. uczuć), wywierających wpływ na ludzkie życie. Ta kolejna miniatura metapoetycka oprócz tego, że jest bardzo nasycona treścią, to ma interesującą kompozycję, którą rozpoczyna figura retoryczna – podwójne przeczenie – oparta o zaimek rzeczowny „nic”, który przeczy lub sygnalizuje nieistnienie. Prawo podwójnej negacji, które uchodzi raczej za formę nieporadności językowej, jest świadomie wykorzystywane przez pisarzy w celu uzyskania ekspresji artystycznej, jak w słynnej sentencji Terencjusza *Człowiekiem jestem i nic co ludzkie, nie jest mi obce*²⁾. Po dwu przeczeniach (inwentaryzujących kategorie, które nie definiują poezji), następuje zaskakująca pointa, że *poezja jest koniecznością*. Koniecznością określającą ludzkie działania, rozumianą jako nieuchronność, nieuniknioność i powinność, której Edward Stachura, opisując własne doświadczenie, nie nazywa w żaden sposób, ale umiejscawia ją wyżej w odniesieniu do wspomnianej potrzeby: *Ja nie wiem, dlaczego pisałem wiersze, kiedy je pisałem [...] To nie polegało tylko na tym, że była to potrzeba, jak jeść i pić (i przekłete spać)*³⁾. Na pewno do meritum sprawy przybliży spostrzeżenie, że do tej konieczności trzeba dojrzeć, a to zjawisko objaśnia w następujący sposób: *Wtedy kiedy poeta czuje, rozumie spontanicznie, że nadeszła CHWILA DARU ABSOLUTNEGO*⁴⁾, następuje odwzajemnienie poezji rozumianej jako konieczności przeżycia, pierwotniejszej i ważniejszej niż dokonania artystyczne, bo *WSZYSTKO JEST POEZJĄ, TAM GDZIE JEST POETA*⁵⁾. Jednak dla Poetki konieczność ta ma jeszcze jeden głęboki wymiar – dotyczy tylko tego wszystkiego, co naprawdę uzyskuje miano dzieła jako arcydzieła ocenionych przez rzesze czytelników i kolejne pokolenia, a nie obejmuje tego, co nie jest wielkie, bo pozorną wielkość uzyskuje tylko z mocy samych deklaracji, pozytywnych recenzji wykupionych za pieniądze w mediach, ocen wydanych przez tzw. kręgi wzajemnej adoracji. Joanna

Babiarz nie widzi też potrzeby podciągania na siłę do grupy dzieł zwykłego rymotwórstwa lub wierszoklectwa, gdy wiersz jest biały, bo poezji sztambuchowej i grafomanii nie należy nagradzać, a każde najmniejsze wyróżnienie nobilituje ją. W związku z tym definiuje poezję nie w kategoriach językoznawczych i estetycznych, ale imperatywnych, gdy *expressis verbis* stwierdza, że *poezja jest koniecznością*, a nie chwilowym terapeutycznym zabiegiem na podniesienie sobie samooceny lub okazjonalnym sposobem na zostanie – kiedyś lwem salonowym, a dziś celebrytą.

1) Ibidem s. 5

2) w oryginale brzmiące *Homo sum humani nihili a me alienum puto*

3) Ibidem s. 126

4) Ibidem s. 49

5) Ibidem s. 135

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

Joanna Babiarz, *porastanie*, Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2019, s. 104



Nieprzebrane bogactwo wizji i refleksji

Właśnie takie odczucie wynosi się z lektury poezji Bohdana Wrocławskiego. To lektura tyłu wciągająca, ba, pochłaniająca bez reszty, co i, wbrew intencji autora, momentami rozprasza uwagę, bowiem swobodna rozległość skojarzeń kieruje wyobraźnię czytającego w różne sfery czasu, motywacji działań i ich zobrazowanych zdarzeniowych skutków.

Czas jest tu szczególnie wyeksponowany. Poeta obsesyjnie koncentruje się nad problemami starzenia i przeżywania perspektywy śmierci, do której – aby ją godnie znieść – należy się jakoś przygotować, żeby nieuchronnemu wyrokowi mentalnie podołać. Do tego jeszcze trzeba tak przysposobić się, jakby – w ślad za lirycznymi zwierzeniami Roberta Lovella – dojść do „próby zrozumienia swojej śmierci”. Cóż, łatwo wmówić sobie, że istotnie dla „zrozumienia”, kiedy „wargi zaledwie wykrzywają się/ w jakimś [...] szaleńczym grymasie niepokoju [...] czuje się narastający ucisk w piersi” [s. 5-6].

Bohdan Wrocławski trafnie zauważa, że jednym ze źródeł ciągłej rozterki jest odnajdywana w egzystencji człowieka i natury samotność. Ta Norwidowska z nieodczytanych tonów „wiecznej pięciolini” i ta samotność pustych plaż, czy nawet postrzegana przez rybaków przerażająca samotność morskiego dna.

Musi zatem paść motywujące wyzwanie: „przecież gdzieś muszę odejść/ od tego miejsca porażającego mnie swoją samotnością” (s. 17), bo to „nie koniec wieńczy dzieło lecz przetrwanie” (s. 18). Czyli warto „odnaleźć to co zagubione w zakamarkach/ najodleglejszych zdarzeń historycznych” (s. 23), a odnosi się do dziś. W napięciu twórczego skupienia pamięć i wyobraźnia poety odnajduje nie tylko to, co wywodzi się z głębi, dorobku myśli wielkich filozofów, np. Kanta, Demostenesa, z których pomocą można „rozsupłać węzły/ do jakich nigdy nie dotarła wyobraźnia”. Oto „siedzimy na zwalonym pniu [...] / rozmawiamy o wszystkich chorobach naszego wieku// jemy chleb z wędzoną rybą/ której kawałki wyrzucane w górę przez Demostenesa/ z krzykiem wyłapują krążące nad nami mewy” (s. 24). Odnajdujemy jednak i to, co jawnie dzieje się na co dzień, jest widoczne w bliskim zasięgu na plaży w zadomowionych Kątach Rybackich,

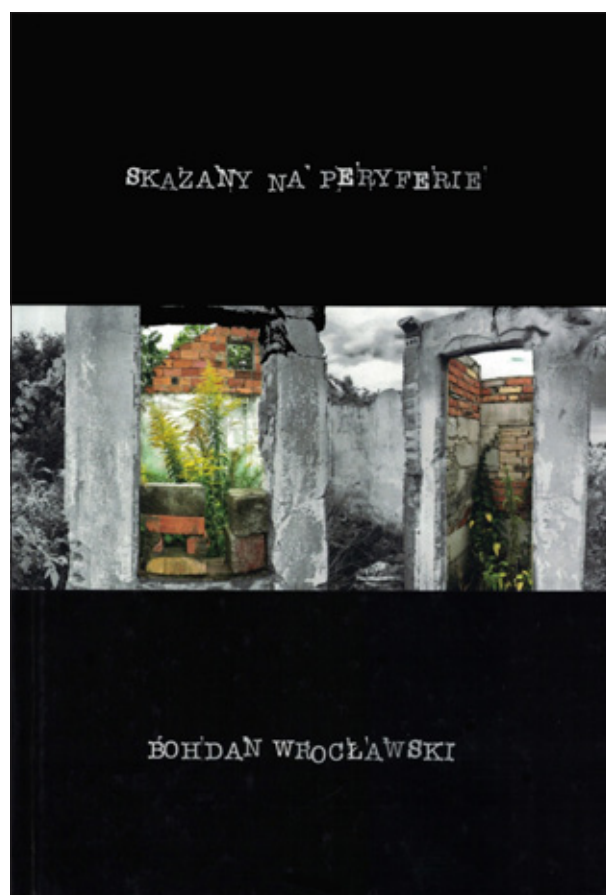
Poeta zna alfabet intuicji w poszukiwaniu sensu, drogowskazu, walory słów dociekających tajemnic naszej intymności. Pamięta o „galeriach pełnych/ wyobraźni starych mistrzów” (16).

Satysfakcji w lekturze dostarczają nadto kunsztowne porównania, jak choćby te: „kiedy [Immanuel Kant] otworzył, cebulasty zegarek/ jakby otwierał drugą zamkniętą dla nas część księżycy” (s. 23); „młode dziewczyny/ biegnące wzdłuż brzegów/ z włosami rozrzuconymi/ niczym oskubane przez wiewiórki/ łupinki orzechów” (31).

Ileż subtelności jest w wyrażaniu odczuć ambiwalentnych np. o „lęku który się kocha i nienawidzi”, dramacie „którym się gardzi i podziwia”, „dziwactwa pełnych szału i entuzjazmu tłumów/ pełnych ich wzgardzonej miłości/ i wiary” (s. 40).

Warto zanurzyć się w zaułki tytułowych *Peryferii*. Autor na nie czuje się jakby *skazany*. Ale, jak raz, wbrew swoistemu pesymizmowi wyłaniają się z nich – nakreślone finezyjnie i barwnie – dzieje i obrazy otaczającego je świata, wyrażone z refleksyjną ekspresją szerokiej poetyckiej frazy.

Bohdan Wrocławski: *Skazany na peryferii*. Postłowie Ryszarda Tomczyka. Warszawa 2018, wyd. Pisarze. pl, s. 136.



O *Miłości w Rzecznio* Grzegorza Raka

Opinie p. Anny Błachuckiej, która wie doskonale jak się pisze, o czym się pisze, dla kogo się pisze, bo sama przecież wypuściła w świat kilka książek nie tylko prozą; p. Anny Zarzyckiej, subtelnej i wrażliwej poetki, uwzględniającej estetyczne walory tekstu literackiego; oraz autora Posłowania p. Andrzeja Piskulaka, który także tworzy wnikliwe wiersze, przesycone empatią dla ludzkiego losu, ludzkiej egzystencji – opinie trojga wytrawnych literatów o powieści p. Grzegorza Raka *Miłość w Rzecznio* powinny wystarczyć i autorowi, i czytelnikom do przyjęcia z podziwem, szacunkiem, uznaniem powieści.

Skoro autor zwrócił się o jeszcze jedną opinię człowieka, który nie pisze ani prozą, ani wierszem, tylko czasem czyta prozę i poezję, to pewnie – tak sobie pomyślałem – nie do końca wierzy w sądy fachowców i chciałby potwierdzenia od profana, który na Parnas patrzy tylko z dołu i na szczyt raczej się nie wdrapie. Otóż dla uspokojenia Autora i wytrawnych Opiniodawców powiem, że książkę przeczytałem uczciwie od początku do końca i w czasie lektury nie miałem jednoznacznych wzruszeń; tak jak czytałem od początku do końca, tak też moje wrażenia były od uznania, podziwu, pełnej akceptacji do dezaprobaty, niesmaku, zawstydzenia. Być może, iż w dzisiejszej literaturze taka rozpiętość emocji jest walorem, ale – proszę mi darować ze względu na mój wiek – odmiennosc sądu.

Co wzbudziło moje uznanie: przede wszystkim sam wysiłek twórcy. To, że chciało mu się pisać; wysiłek intelektualny, wielowątkowość narracji, ważne problemy społeczne takie na przykład, jak rozpad rodziny jako wartości nadrzędnej (sądzę, że Mateusz jest porte parole samego autora), rozmowa bohatera z księdzem Markiem; bardzo dobra orientacja w kontekstach historycznych; określona topografia zdarzeń.

Co wzbudziło moją dezaprobatę: potraktowanie kobiety instrumentalnie i związany z tym wulgarny język. Nieco fałszu wyczuwałem w prezentacji Mateusza, opierającego się kuszeniu Ireny; daleko posunięty naturalizm, przekraczający naturalizm Zoli w takich na przykład powieściach, jak *Gerves*, *Nana* czy *Germinal*, w opisach scen erotycznych. O ile akceptuję spotkanie bohatera z księdzem, to

nie akceptuję obecności obu w kościele, zwłaszcza modlitwy księdza szablonowej, stereotypowej, naiwnej, wręcz infantylnej.

Odnosnie do kompozycji: może przydałoby się lekkie uporządkowanie. Nie odniosłem wrażenia, że przedstawione historie wynikają jedne z drugich. Powieść jest jednak dziełem sztuki, więc można szukać w niej artyzmu, który polega między innymi na przetwarzaniu realiów w nową rzeczywistość, będącą symbolem, więc znakiem, oderwanym od konkretności czyli realiów, jest tworem autorskiej wyobraźni, utkanym z przeżyć, doświadczeń jednostki, grupy, pokolenia.

Albert Camus zapytuje: „Bo też czym jest powieść, jeśli nie światem, gdzie akcja osiąga formę, gdzie słowa zostają wreszcie wypowiedziane, gdzie ludzie należą do siebie, a życie staje się losem?”

Świat powieściowy to korekta świata istniejącego, zgodnie z najgłębszym pragnieniem człowieka. Świat bowiem pozostaje ten sam. To samo jest cierpienie i kłamstwo, i miłość... świat urojony, który jest jednak korektą istniejącego, świat, gdzie cierpienie, jeśli się zechce, może trwać aż do śmierci, gdzie namiętności są scalone, a istoty oddane jednej myśli zawsze ze sobą wzajem obecne”. (A. Camus, *Eseje*, Warszawa 1971, s. 360-370).

Wedle tej receptury autora *Dżumy* powieść *Miłość w Rzecznio* nie jest korektą istniejącego świata.

Grzegorz Rak, *Miłość w Rzecznio*, Kielce 2018, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 134.



Nie tylko wierna sobie kontynuacja

W tym roku w serii Biblioteka „Poezji dzisiaj” ukazał się tomik wierszy Benedykta Koziela *Z obłoków z doliny*. Otwierając go już na początku znalazłam w nim wiersz *Kształty brzegi kręgi*, który drukowany wcześniej już w „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim” zaciekał mnie, a nawet zafascynował. Nazwałam go „matematycznym” – poeta użył w nim wielu terminów z tej jakże ścisłej dziedziny wiedzy. Są więc koła czasu, kwadraty dywanów, prostopadłości, ale malowanego tła, cięciwy znaczeń, promienie ruchu, jest i potęgowanie obrazu, brzegi płaszczyzn, ale i sieczne dążeń. Te, jakże niekiedy semantycznie odległe zestawienia słów, tworząc ciekawe metafory budują obraz, jaki poeta z nich wykreował. Owe „kształty brzegi kręgi” rozgrywające się w „matematyce łąk” tworzą przestrzeń. Dla Benedykta Koziela jest ona istotnym elementem krajobrazu, także i otaczającego nas świata.

Kategorie przestrzeni, również i czasu, pojawiły się przecież w liryce autora niemal od samego początku. „Ta przestrzeń ma swoje strony, swoje miejsca w widnokregu, swoje punkty odniesienia i nawet w wymiarze kosmosu swój «alfabet porozumienia» [...] Niekiedy wydaje się, że podmiot dookreślając tę przestrzeń chce ją nie tylko przybliżyć, ale oswoić, udomowić, szuka też miejsca dla lirycznych sytuacji”. Świadomie zacytowałam tu fragment z książki *Wobec tajemnicy istnienia* (będącej portretem literackim B. Koziela), którą napisałam kilka lat temu, by pokazać, że poeta nadal draży przestrzeń i jej wektory, ciągle poszukując dla niej perspektywy. Draży też i czas, jak na przykład w wierszu *Po latach* będącym retrospektywnym spojrzeniem na siebie sprzed lat albo też w krótkim wierszu *Listopad* zaczynającym się od słów „idę listopadem”, które sugerują już możliwość różnej interpretacji, co było i chyba w jakimś stopniu pozostało w poezji autora. Bo cóż może oznaczać ta metafora – czy podążanie już ku jesieni życia, gdy pod stopami „szeleści czas”, czy też drogę pełną rozterek, trosk, niepowodzeń, trudną i słotną jak listopad. Chyba poeta mimo wszystko jeszcze nie „idzie listopadem” – to dobrze, bo zapewne będziemy mogli spodziewać się wielu nowych wierszy i tak interesujących, jak te zbiorku *Z obłoków z doliny*.

Wierszy takich jak *Listopad*, a więc krótkich, do których przyzwyczaił nas poeta, jest w tym tomiku mniej, przeważają bowiem wiersze dłuższe, jak na przykład utwór *Obrazek* wpisujący się również w owe wektory

czasu i przestrzeni. I jak jest to u Benedykta Koziela, niosący nie tylko refleksję o przemijaniu, ale i filozoficzną zadumę nad naszym istnieniem, naszą codziennością, przynoszącą jakże często niedosyt. Podobnie i wierszu *Opowiedziany*, którego fragment zacytuję:

opowiedziany
w gorszym obrazie świata
postawiony obok
rzucony cieniem
stanąłem
przyczyną niezrozumienia

świat
zaczynał się i kończył
bardzo blisko
nie chciał
wychodzić z ram
przeczył sobie

Świat, który dla podmiotu lirycznego jest swoistą przestrzenią, tą bliższą i tą dalszą, nie chce „wychodzić z ram”, może tych odwiecznych, w przeciwnym razie zaprzeczyłby sobie.

B. Koziel jak zawsze zostawia dla czytelnika myśl, często metaforyczną, do indywidualnego rozszyfrowania. Konstatacja nad światem rozdartym sprzecznościami, konfliktami, które są przecież dziełem człowieka i, jak pisze poeta, „widać je na własnym podwórku” (*Piszę*) towarzyszy podmiotowi. Nie chce on jednak o takim złym świecie pisać, pragnie ten „rozbitny porozrywany nasz świat skleić w każdym możliwym miejscu” (*Każdym słowem*). Credo poety wyprowadzone z poprzednich tomików – widzieć świat w kategoriach dobra i piękna – realizuje się nadal i przemawia pragnieniem nadziei na świat, w którym będzie miejsce na uświęcone



tradycją humanistyczne wartości. Stąd też wiele pytań o „zasadność bytu”, o „czas istnienia”, stąd też stałe powroty „do początku”, jakby w nich miała odnaleźć się miara wszystkiego.

Podobnie jak w tomikach poprzednich podmiot staje wobec niemożności poznania tajemnicy istnienia, zadziwiony jej głębią oraz niemożności wyrażenia jej w słowach (*Ze słów, Pomimo*).

Ale w tym tomiku znalazł się i wiersz, w którym zobaczyłam B. Kozieła nieco innego. Uważny obserwator świata, by wypowiedzieć pewne prawdy, uzbroił się (wiersz nosi tytuł *Oddział*) w ironiczny dystans. To bardzo dobry wiersz, przytoczę go więc w całości, by kończąc wyrazić i taką refleksję, że poeta może nas jeszcze zaskoczyć wierszami o nieco innej poetyce.

Oddział

(na literacki jubileusz)

Uzbrojony w wyobrażenia
spojrzeniami
mierzy szeregi twórczej gotowości

liczebnością piór
kolejnej armii związku
chce nieść uspokojenie przekonania
o potencjalnej sile

uaktywniony na przyczółkach książek
ustawia kolumny rozpoznanych obrazów życia
wytacza działa niesionych sztandarów

odkrywa strategię słów
zostawia ślady przemarszu myśli

w gniazdach publikacji
granatami znaczeń
szuka nieprzyjaciela
otwiera obozy percepcji

spotkany wróg
nie formując tyraliery racji
osacza brakiem zainteresowania
bez okopów i fortyfikacji
oczekiwanego bezpieczeństwa
projektowane horyzonty budowanych wież
nie znajdują spodziewanej perspektywy

w zmienionych legendach map
sztaby szukają znanych szlaków
tracą orientację
dowodzą dezercją

w rozłożonych skrzydłach pragnień
wspomnienie lkara
topienie wosku
nadzieje ucieczki

Benedykt Kozieł, *Z obłoków z doliny*, Wydawnictwo Książkowe IBiS, 2019, s. 70.

Wyrazić siebie

Maria Gibała wybrała dla swojego najnowszego tomiku wierszy niebagatelny tytuł: *Sto pięćdziesiąt kilo dobroci*. Gdyby tymi kilogramami dobroci obdarzyć świat, znaczyłoby to, być może, więcej niż niejeden rekord zapisany w księdze Guinnessa.

Przesłaniem tego poruszającego zbioru wierszy jest odnalezienie w człowieku przynależnych mu przecież, a jakże często już zagubionych, zapomnianych ludzkich cech – są nimi przede wszystkim dobroć i miłość. I, jak pisze Józef Baran w przedmowie zatytułowanej *Z serca do serca*, wyłania się z tych wierszy twarz poetki „życzliwa dla innego człowieka (*vide* wiersze z cyklu *Dedykacje*) i najbliższego świata, w którym przyszło jej egzystować, i o którym potrafi wzruszająco i zajmująco opowiadać”.

Tę właśnie dobroć i miłość pragnie poetka przelać z serca do serca, gdy we wzruszający sposób, pełen szczerości, pisze o smutku, cierpieniu, radości, spełnieniu i niespełnieniu, chwilach szczęścia i troskach dnia codziennego. Wiele myśli, spostrzeżeń, spontanicznych zapisów, stanie się udziałem czytelnika i, jak sądzę, pójdzie on za głosem tej poezji, doceniając zarówno jej treść jak i formę. Pisząc „formę”, mam tu na myśli szczególnie komunikatywny zapis, jasny i czytelny. To zaleta tego tomiku, zwłaszcza że w wielu współczesnych wierszach można aż zagubić się w gąszczu niekiedy sztucznie wykoncypowanych, spiętrzonych metafor, iż po przeczytaniu takiego utworu ktoś nawet już obeznany z poezją staje bezradny.



M. Gibała w jednym ze swoich wierszy określa swój język jako prosty i zrozumiały. To „język jak chleb” – taki właśnie tytuł nosi ten utwór. I wcale nie oznacza to, że poetka nie używa tzw. środków artystycznych (przenośni, porównań, epitetów). One istnieją, ale – umiejętnie dozowane, np. „czas wlecze się jak starzec”, albo „franki woal zwiewny i lekki przysiądzie motylem znad łąki”, albo też wiele innych ciekawych i śmiałych w erotykach, bo i takie wiersze znalazły się w tym tomiku o różnorodnej tematyce. Bo są tu przecież i wiersze refleksyjne, np. o przemijaniu ludzkiego życia, wiersze o naszej codziennej egzystencji, także i cykl wierszy o charakterze religijnym.

Przyjrzyjmy się niektórym z nich. W wierszu *Dogonić siebie* podmiot liryczny zauważa, że nie potrafi „dogonić swoich myśli”. Są one „wieloskrzydłe, wolne”, ale czy do końca? Refleksja skupia się tu na świadomości, że wiele z tych myśli, których rzekomo niepodobna dogonić, ginie śmiercią naturalną. Bo czyż nie jest tak, iż wiele z naszych przedsięwzięć, dążeń realizuje się tylko w sferze myśli (nadziei i pragnień) nie wychodząc już poza nie. Stąd też i pytanie, dlaczego tak się dzieje, dlaczego te nasze myśli giną „zanim jeszcze zdążą podjąć próbę lotu”.

Zastanawia wiersz *Podróż nasza codzienna*. Jak wiemy, topos podróży należy do najstarszych i chyba najczęściej spotykanych w liryce. Życie ludzkie to nic innego, jak właśnie podróż. Możemy powiedzieć: podróż do kresu, którego nie znamy. Człowiek zyskał sobie miano wędrowca (*homo viator*) podróżującego do tego nieuniknionego zmięzchu. Poetka w tytule wyraźnie zaznaczyła wyróżnik tej podróży – będzie nią codzienność, z którą musimy się mierzyć, stawiając czoła przeciwnościom. Jesteśmy w tę codzienność jakby wpisani („rachunki urzędy schody / miasto sklepy / zakupy [...] rozmowy o wszystkim i niczym”). Ten ciekawy wiersz kończy puenta:

czy do jutrzejszej walizki
spakowałam wszystko

Jutro będzie więc podobne do dziś, powtórzą się nasze tak dobrze nam znane rutynowe czynności; wykonujemy je niemal bezwiednie, automatycznie. To, jak pisze poetka, „ciężki bagaż” – nie wolno o czymś zapomnieć, czegoś nie dopilnować. Dlatego potrzebna „chwila namysłu przed snem”, czy w tym codziennym skoroszytce czegoś nie zabrakło.

Podmiot liryczny rozważa tę „naszą podróż codzienną” w odniesieniu do tego, co ją jakby wy-

znacza – to kategoria czasu, ciekawie tu określona jako „maleńkie ziarenka”, co „przesypują się przez wąskie gardło klepsydry” (wiersz *Czas*). Autorka zręcznie wplotła w ten utwór nasze obiegowe sądy o czasie, co od dawien dawna utrwały się, wchodząc na stałe do codziennego języka, np. „szczęśliwi czasu nie liczą”, „czas to pieniądz”, kończąc ten utwór i tym razem ciekawą puentą: „czasu jak na lekarstwo / by spełnić wymarzone życie”.

W tomiku zwracają też uwagę, jak już wspomniałam, erotyki. Oto jeden krótki i bez tytułu:

całujesz moje stopy
jakby każda z nich niosła dobrą wieść
jakby nie była tu od lat
muskasz palec po palcu
budzisz uśpione zmysły
nie znam czulszych dłoni
nad twoje

Jeśli pragnieniem poetki było wyrazić siebie, to myślę, że ten zamiar się powiódł. Bo przecież w każdym z nas jest tak wiele różnych doznań, odczuć, myśli, planów, jak też zmartwień i trosk. Wyrażając siebie, przelała je z „serca do serca”.

Maria Gibała: *Sto pięćdziesiąt kilo dobroci*. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2018, s. 100 (w tym fotografie autorki).

Żywe echa tamtych lat

Andrzej Zaniewski jest zarówno świetnym poetą, jak i utalentowanym prozaikiem. Szeroki krąg czytelników pamięta jego głośną powieść *Szczur*, przetłumaczoną na wiele języków. Nawet po latach niepodobna zapomnieć jej przejmującej, niekiedy porażającej fabuły z tytułowym bohaterem i jego niezwykle trudnym szczerzym losem. Ale też i refleksji, że jednak najokrutniejszym stworzeniem na



ziemi okazuje się nie kto inny, tylko człowiek. To chyba ponadczasowa refleksja.

Choć w moim zamiarze jest pisanie o wydanej obecnie nowej książce Andrzeja Zaniewskiego noszącej tytuł *Miasto Hefajstosa, Czysty las, Kawdorek*, to jednak trudno było powstrzymać się od przypomnienia powieści, którą się niegdyś autentycznie przeżyło. Tym bardziej że autor w tej najnowszej książce, zawierającej trzy nowele znów sprawił, że i ona, skłaniając do wielu przemyśleń, zostanie w pamięci.

Pierwsze z tych opowiadań mówi o życiu robotnika pracującego w hucie – w czasach już trochę odległych, bo w PRL-u. Autor napisał te opowiadania (czy też, jak sam je nazywa, nowele) w latach 1975-85 i dopiero teraz zdecydował się je wydać, uznając, że poruszane w nich problemy są w jakiś sposób i dziś aktualne. Podzielał to zdanie, bo to, co jest tematem pierwszego opowiadania, a więc zwyczajne i ciężkie życie wypełnione równie ciężką pracą, życie nieprzynoszące zadowolenia i satysfakcji, od którego najchętniej chciałoby się uciec, zdarza się zawsze i wszędzie. I gdy tylko uda się zejść do tych, powiedzmy, społecznych nizin, z ich przeciętnością, przyziemnością, ale i marzeniami, które spełnić się nie mogą, wówczas widzimy to życie jak na dłoni. Pisarz może to uczynić poprzez swój talent, wrażliwość i empatię. I nie należy pytać, skąd tak doskonale zna swojego bohatera, jakby to on był tym spracowanym Hefajstosem z huty (kuźni) i ze zmęczenia zasnął w tramwaju.

Sen spełnia w tej noweli bardzo ważną funkcję kompozycyjną, wyjaśnia też tytuł, jest ucieczką bohatera w irracjonalne Miasto stworzone z marzeń o jakimś innym, lepszym życiu, też i o pięknych, eleganckich kobietach, które tylko w tym powtarzającym się w snach wyimaginowanym Mieście mogą być osiągalne. To życie, tak trudne, zgnębione, że nawet zszargane „opowiedziane we śnie” od dzieciństwa (jakże smutnego) po lata dojrzałe mówi też i o tym, jak trudno wydostać się z niego, wydobyć z tej ciemności i wyjść na światło, gdy już na starcie wszystko jest z góry jakby stracone. Możemy nawet dziwić się niekiedy tej niemożności tkwiącej w psychice bohatera, tej niemocy, której bezwiednie się poddaje. Można i chyba trzeba ją złożyć na karb zmęczenia ciężką pracą (również pracą na noc, by więcej zarobić), która zabija wolę walki, gdy myśli się tylko o tym, by odpocząć, by się przespać, bo przecież znów czeka ten codzienny kierat. Życie człowieka nie może być przecież nieustanną harówką.

To zaledwie jeden temat tej ciekawej noweli, bo inny, zawierający rodzinne relacje (dzieci-rodzice, mąż-żona, teściowie, wspólne mieszkanie) jest równie ciekawy. Mamy też sporo PRL-owskich realiów, jak np. pamiętany przez starsze już pokolenia podział na tzw. pracowników fizycznych i umysłowych. W rubryce „zawód” często tak się właśnie wpisywało. Bycie pracownikiem fizycznym na pewno nie przynosiło zaszczytu, choć były to przecież czasy klasy robotniczej – przewodniej siły narodu.

Drugie z opowiadań jeszcze bardziej przystaje do współczesnych realiów i przywodzi smutną konstatację, że od czasów PRL-u nie aż tak wiele się zmieniło. Jej bohater, Profesor, by spełnić „patriotyczny obowiązek”, chce przevorsować swoją „koncepcję odnowy lasów”, polegającą na tym, że w polskich lasach powinny rosnąć tylko i wyłącznie polskie drzewa, rośliny i krzewy. Wszystkie obce należy starannie wyeliminować. Jak się okazuje, ogromna ilość drzew ma niepolskie korzenie. Nawet takie popularne platan, co napełnia Profesora niemal zgrozą. Autorytet Profesora i jego rzekomy dorobek naukowy tudzież układy zagwarantować mają wcielenie owego szalonego planu w życie.

Autor *Czystego lasu*, by ukazać pewne PRL-owskie absurdy musiał sytuację wyolbrzymić, przerysować, spojrzeć na ów czas z przymrużeniem oka, humorem, dowcipem i ironią. Ale pod tą świadomie zastosowaną tu „konwencją” kryje się przecież drugie jej dno – niekiedy bolesne i tragiczne. Mamy więc rzeczywistość PRL-u często nieakceptowaną, ale wymuszającą posłuszeństwo w obawie przed konsekwencjami wszelkiego sprzeciwu. Przytakiwano więc władzy, nawet gdy wewnętrznie budziła ona niezgodę, niekiedy drwinę czy śmiech z absurdalnych nakazów i zakazów.

Ciekawe i świetnie podpatrzone są w tym opowiadaniu relacje ojciec-syn, czyli wspomniany już Profesor i jego potomek przerastający ojca w hipokryzji, cynizmie i bezwzględności. Czytelnik mógłby w tym właśnie opowiadaniu znaleźć pewne odniesienia do dnia dzisiejszego, bo okazuje się, że absurdy życia społecznego czy politycznego zdają się nie mieć końca.

Trzecie opowiadanie, krótkie w porównaniu z poprzednimi, wprowadza w zupełnie inny klimat, powiedziałabym, nastrojowy, refleksyjny i sentymentalny, bo taki właśnie może pojawić się, gdy świat przyrody, natury i żyjących w niej stworzeń staje się nam bliski, a nawet bardzo bliski. Autor we

wzruszający sposób opisuje swą przyjaźń z kawką. „Potrzeba miłości nie jest cechą wyłącznie ludzką, czułości potrzebują również zwierzęta i może bardziej niż ludzie potrafią ją odwzajemniać”.

Opowiadanie *Kawdorek* zbliża nas do natury; często jej nie zauważamy pochłonięci własnymi ludzkimi sprawami. Niewiele też o niej wiemy, a przecież jesteśmy podobnie jak ptaki, zwierzęta, rośliny jej częścią, podlegamy niemal tym samym prawom – życia i śmierci. *Kawdorek* to piękne i mądre opowiadanie.

Sądzę, że wydanie, wprowadzie po latach, tych trzech opowiadań stanie się ciekawą lekturą dla wielu czytelników. Myślę też, że dla Andrzeja Zaniewskiego są one sprawą osobistą, sentymentalną podróżą w przeszłość, co choć przeminęła, ostała się przecież w powracających nieustępliwie wspomnieniach.

Andrzej Zaniewski: *Miasto Hefajstosa, Czysty las, Kawdorek*. Compus, Warszawa 2018, s. 175.

Krystyna Cel

NOTY

Refleksje związane z niełatwym werdyktem przyznania najwyższej nagrody dla *Bajki o magicznym lusterku* autorstwa Agnieszki Minkowskiej – wybranej z „tysiąca i jednej” nadesłanych na konkurs Radia Kielce

Radiowy konkurs na bajkę spełnił nadspodziewanie nasze oczekiwania – mówię w rezultacie ustaleń z prof. Markiem Kątnym i red. Dorotą Klusek – jurorami konkursu – bo dowiódł, że jest to gatunek literacki wciąż żywy, atrakcyjny, inspirujący i pobudzający wyobraźnię. Wymaga pomysłowości w doborze i oryginalnym ujęciu tematu. Przemawia do czytelnika oczekiwanym przezeń morałem; dobrze, gdy wyrażonym bez nachalnego dydaktyzmu bądź domyślnym. Wszak bajka – i ta współczesna – hołubi nadal, jak było w tradycji, tajemniczość, magię, chwyt zaskakującego rozwiązania.

Te wskazane walory ma wyłoniona przez nas z satysfakcją do nagrody – spośród bardzo wielu nadesłanych – *Bajka o magicznym lusterku* Agnieszki Minkowskiej. Przedstawia ona bohaterkę (dziewczynkę), jedną spośród wielu z czasu „nie tak dawnego” i z „pewnego małego miasteczka”, która opowiada rodzicom o wymarzonych podróżach, jakie sobie pięknie tylko wyobraża, nie mogąc żadnej spełnić. Spostrzega, że przyjaciółki bawią się zadziwiającym „błyszczącym przedmiotem”, nazwanym „magicznym lusterkiem” (bo można też w nim się przejrzeć), które pokazuje „niesamowite rzeczy”, a sprzedawane jest „przez pana w centrum miasta”. To cacko – ani razu nienazwane smartfonem – pełni użytecznie jego poznawczą funkcję, ale jest też czymś jeszcze więcej. Dzięki magicznej właściwości staje się ono fascynującym przedmiotem bajkowym. Dopiero spostrzeżenie przez dziewczynkę po pewnym czasie zmiany w swoim wyglądzie – faktu postarzenia się rysów twarzy – będzie niepokojącym ostrzeżeniem.

Nie może się ona oderwać od świata przedstawianego w lusterku i nie skutkują namowy kolegi, by skonfrontowała ten wirtualny model ze światem realnym. Traci kontakt z rzeczywistością niedorównującą obrazkom z marzeń. Zamyka się w sobie, odgradza od przyjaciół. Nie skutkują zachęty do spaceru, nawet bliskiego wyjścia na plac zabaw, ku ławce przed domem. Pochłania ją bez reszty zaborczo ów bajeczny świat wirtualny.

Kiedy, potknąwszy się, zapatrzona weń nieustannie, upada, „rozbija kolano i lusterko”. Z pozbieryanych kawałków nie udaje się jej zobaczyć nic, „oprócz twarzy zmarnowanej, pożółkłej, z podkrążonymi oczami o wyblakłym spojrzeniu”, jakby „postarzała się o kilka lat”. Stwierdza, zrozpaczona bezradnością, że „lusterko było nieodwracalnie zniszczone”, że jej „świat się skończył”.

Wówczas znajomy chłopiec, wyciągając do niej dłoń, sugeruje: „– Może czas przypomnieć sobie, jak wygląda ten prawdziwy świat?”, co staje się w akcji przełomem. Następuje zbawienne uprzytomnienie: „Tak dawno nie czuła niczyjego dotyku... Nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz przytuliła się do mamy albo do taty”. Wreszcie, kiedy nie mając nic do stracenia, wyciągnęła ku chłopcu swoją własną rękę, „zdarzyła się prawdziwa magia. Poczula powiew wiatru, usłyszała śpiewające ptaki i zobaczyła, jak wszystko się zmieniło od czasu otrzymania lusterka. Ile nowych kwiatów wyrosło przy drodze, jak ładnie odnowiono huśtawki na placu zabaw, jak bardzo niebieskie jest prawdziwe niebo, tak inne od tego sztucznie odbitego w lustrze”.

Na koniec autorka bez dozy pouczenia tak uzasadnia domyślną ideę rozsądnego postępowania: „Ile emocji i wrażeń niesie ze sobą trzymanie czyjejs ciepłej, prawdziwej dłoni, zamiast zimnego, martwego przedmiotu”.

Celowo przytaczamy w komentarzu fragmenty bajki, by pokazać umiejętność autorki w budowaniu intymnego dramatu dziewczynki, która zagubiła się w wirtualnym świecie, odrywającym ją od realiów

naturalnego toku życia, będącego – także w dobie oszałamiających fajerwerków techniki – wciąż tą żywą dziedziną podstawowej egzystencji człowieka, niezastępowalną sztucznymi iluzjami.

*Stanisław Nyczaj
w imieniu 3-osobowego jury: swoim oraz prof. Marka
Kątnego i red. Doroty Klusek*

Kielce, 29 września 2019



19.10.2019, Radio Kielce, Studio Gram. Finał konkursu Radia Kielce na bajkę z morałem. Profesor Marek Kątny, Stanisław Nyczaj – prezes Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Iwona i Waldemar Rozmystowicz – rodzice laureatki, Janusz Knap – prezes Radia Kielce, Dorota Klusek – dziennikarka Radia Kielce i senator Krzysztof Stoń Fot. Jarosław Kubalski, Radio Kielce

Stanisław Nyczaj – prezes Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich uzasadnia werdykt jury
Fot. Jarosław Kubalski, Radio Kielce



Zdjęcia pochodzą z artykułu pt. „Bajka o magicznym lusterku” wygrała w konkursie Radia Kielce; zamieszczonego na stronie Radia Kielce: <http://www.radio.kielce.pl/pl/post-92015>

Nasze akcje z poezją

Sądecki Klub Literacki – w ramach obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, a także z okazji 70-lecia istnienia Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Nowym Sączu, zorganizował niecodzienną akcję – poeci w autobusach czytali poezję patriotyczną przy muzyce m.in. Fryderyka Chopina. Wewnątrz autobusów wklejone zostały wiersze poetów sądeckich dotyczących niepodległości. Odbyło się to 11 listopada 1918 r.

Ubrani w stroje z epoki, w kapeluszach z odpowiednimi rekwizytami wyruszyliśmy o 10.00 pierwszym autobusem z przystanku pod biblioteką. Janusz Szot przywitał podróżujących i zapowiedział, iż Sądecki Klub Literacki wpisuje się w obchody 100-lecia odzyskania niepodległości i będziemy czytać wiersze własne oraz innych poetów. I tak rozpoczęła się nasza przejażdżka po Nowym Sączu. Nagłośnienie pożyczone od przyjaciół przychylnych poetom działało bez zarzutu. Nastrój w autobusie był wzruszający i pasażerowie z zaciekawieniem przyglądali się nam i słuchali uśmiechnięci lub z zadumą na twarzach. Potem przesiadaliśmy się do innych autobusów jadących w odległe rejon miasta. Kolejnym autobusem dojechaliśmy do Miasteczka Galicyjskiego, gdzie odbywały się uroczystości niepodległościowe, usadowiliśmy się na małym rynku i tam rozpoczęliśmy czytanie wierszy. W tle sączyła się muzyka. Ludzie otoczyli nas wianuszkami, bili brawo, robili zdjęcia i nagrywali występ. Potem jeszcze pojechaliśmy do Starego Sącza i w inne miejsca Nowego Sącza. Naszą podróż zakończyliśmy pod Synagogą. A jedna z pań podeszła do nas – pogratulowała pomysłu i takiej wspaniałej akcji, i życzyła, aby jeszcze wiele takich akcji autobusowych przygotować.

Teraz większość jeździ samochodami i autobusami; być może tylko część mieszkańców miała okazję nas zobaczyć i pobyc z nami te parę chwil. Ale warto było – patrząc na uśmiechnięte twarze i na reakcje ludzi, i na to, iż niektórzy przyłączali się do nas, mówiąc z pamięci niektóre znane wiersze – powtarzam: warto było.

Potem jeszcze jechaliśmy 14 lipca Pociągiem Retro Kolei Galicyjskich z Nowego Sącza do Cha-

bówki i z powrotem. Tym razem ubrani na dzinsowo z apaszkami lub bardzo kolorowo, świętując 40. rocznicę Edwarda Stachury – a jak wiadomo był to poeta drogi, poeta podróżny – śpiewaliśmy i graliśmy na żywo jego piosenki, nasze, własnego autorstwa i piosenki o tematyce pociągowej. Radości i śmiechu było co niemiara! I mimo deszczowej pogody w Chabówce wróciliśmy pełni wrażeń i zadowoleni z akcji. I pragnę dodać, że zaraz po powrocie Sądecki Klub Literacki miał kolejną imprezę, prezentując własne wiersze pod pomnikiem Adama Mickiewicza na Plantach w ramach Nocy Poezji z zawołaniem: pali się fajka nocy.

Ostatnio ponownie jeździliśmy autobusem Retro – jedynym takim kursującym w czasie wakacji po mieście – tym razem aby upamiętnić 80. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej.

PS

Co jeszcze robimy jako Klub Literacki?

- Wydaliśmy almanach *Na szlakach poezji* (sama pozyskiwałam pieniądze na tę książkę);
- organizujemy spotkania z poetami, nie zawsze w bibliotece, a więc bez honorarium, więc sami z mężem ich nocujemy i karmimy;
- Zaduszki Poetyckie, Pączek dla Kultury, poetyckie spotkania związane z rocznicą śmierci poety np. Edwarda Stachury, Andrzeja Bursy, Bolesława Leśmiana;
- na potrzeby klubu z naszych własnych środków kupiliśmy nagłośnienie, kolega nasz bezinteresownie zrobił nam rollup z logiem klubu, koleżanka wykonała identyfikatory, sama przygotowuję plakaty (czasem biblioteka).



Rys. Irena Nyczaj

Miniimpresje z Walencji

W początkach października 2019 r. udaliśmy się do Hiszpanii. Naszym celem była prowincja Walencja, która powitała nas bezchmurnym niebem i przepięknym słońcem. Już po raz kolejny zatrzymaliśmy się w urokliwej mieścinie Gata de Gorgos. Miasteczko to jest żywcem wyjęte z XIX stulecia – urzekła nas śródziemnomorska architektura i wąziutkie uliczki, zupełnie niedostosowane do ruchu ulicznego. Na marginesie wspomnę, że jednym z najbardziej zadziwiających lokalnych zwyczajów, pamiętających czasy sprzed wprowadzenia powszechnej klimatyzacji, jest sjesta trwająca zazwyczaj od godziny 16 do 18. W tym czasie wszystkie urzędy i sklepy są zamknięte.

Ale nie tylko beztrioski wypoczynek z rodziną był naszym celem. Mimo że wspaniałe atrakcje turystyczne kusily, to nieodparty zew duszy ciągnął nas na poszukiwanie miejsc związanych z lokalną kulturą, a tych było całkiem sporo. Z pomocą naszej uroczej wnuczki, która zna doskonale hiszpański, udawało się pokonywać barierę językową. Co było dla nas zaskoczeniem, w tej okolicy powszechnie używa się także lokalnej odmiany hiszpańskiego zwanej walenciano. Dlatego powszechną praktyką są dwujęzyczne nazwy lokalne. Zapragnęliśmy

z odwiedzić miejscowość Xabia (Javea – hiszp.). To urokliwe nadmorskie miasteczko pełne jest krętych, wąskich uliczek, przepięknych zaułków i uroczych zakamarków. Z tym miejscem związany jest José Albi Fita, jeden z najwybitniejszych hiszpańskich poetów, dlatego nie omieszkaliśmy podążać śladami poetyckiej bytności i znaleźliśmy ulicę jego imienia.

José Albi (1922–2010) był poetą, krytykiem literackim, tłumaczem hiszpańskiego. Jako poeta był szeroko rozpoznawany przez odbiorców i krytyków i zdobył kilka nagród. W 1957 otrzymał nagrodę literacką Walencji, powtórnie w 1977 – za *Odyseję 77*. Kolejne nagrody to: Gabriel Miró Award for The Silence of God; Nagroda Miguela Ángela de Argumosa w 1978 r. za *Atlantycką elegancję* i nagrodę literacką Walencji w 2002.

Był honorowym prezydentem Walenckiego Stowarzyszenia Pisarzy i Krytyków Literackich.

Nasza wycieczka zawiodła nas także do miejsc związanych z lokalną historią, m.in. do placu z kamiennymi wiatami, które jeszcze w ub. stuleciu były wykorzystywane do... suszenia rodzynek.

Już niecierpliwie czekamy na kolejne lato i okazję do odkrywania tajemnic Hiszpanii.



Salon Literacki i Galeria w Bibliotece Uniwersytetu Jana Kochanowskiego (16.10.2019)

Akurat szczęśliwie zbiegły się nowatorskie spojrzenia na literaturę i sztukę. Pokazanie ich w newralgicznym kontakcie ze współczesnością przy odniesieniach do historii, wiedzy i bardzo indywidualnych obserwacji jest uderzające zarówno rozmachem ujęcia, jak i specyfiką formy.

W pierwszym przypadku zetknęliśmy się z bardzo wnikliwym spojrzeniem na mało obecne dotąd w literaturze problemy ekologiczne. To dziwne, że wprost na co dzień absorbujące, a w kreacjach pisarskich mało obecne. Stanisław Nyczaj znalazł formułę ujęcia tematu, jaką inicjował już w swej poezji na przełomie lat 60. i 70., a potem systematycznie poszerzał w kolejnych utworach. Nazwał to trafnie *e k o p o e z j ą* i zachęcił do pójścia w stronę ekoliteratury. Inicjatywa ta spotkała się z dużym zainteresowaniem, czemu m.in. dał wyraz w dyskusji prof. Paweł Soroka, dzięki któremu o kieleckim zdarzeniu poszła dobra fama.

Bardzo ciekawe było wprowadzenie Jerzego Wróblewskiego, który przez wiele lat mierzył się zawodowo z tą problematyką, zajmując się profesjonalnie zagadnieniami ochrony powietrza, skutkami hałasu oraz kształtowania naturalnego środowiska pod względem nadzorowania projektów, np. w przypadku inwestycji, jaką była Elektrownia Opole.

Poezja ekspresyjnie wyraziła owe zagadnienia wykreowane przejmującymi obrazami wpływu zanieczyszczeń ekosfery otaczającej człowieka na jego zdrowie. Symbolicznie dopełniły tę problematykę w zakresie sztuki wyjątkowe w swej oryginalności obrazy Zbigniewa Porębskiego, stanowiące do tego wydarzenia więcej niż scenografię.

Red.



Wiersze poety deklamował Arkadiusz Szostak (z lewej), a Jerzy Wróblewski (z prawej) wygłosił interesujące wprowadzenie



Obrazy Zbigniewa Porębskiego stanowiły znakomite uzupełnienie tematyki ekologicznej w literaturze i malarstwie

Fot. Irena Nyczaj

Wernisaż wystawy Rafała Olbińskiego w Bibliotece Uniwersyteckiej UJK (23.10.2019)

Tłum entuzjastów malarstwa Rafała Olbińskiego przybył do Galerii UJK na jego nową wystawę. Artysta pochodzący z Kielc (żeromszczak) zyskał wielką renomę w świecie artystycznym. I wystawa ta dowiodła, że słuszną.

Rafał Olbiński stworzył sztukę ambitną artystycznie i zarazem mocno związaną z dzisiejszą rzeczywistością. Powstały malarskie plakaty konkretnie adresowane, z dużymi walorami kolorystycznymi. Mało kto zdobył się na tak ciekawą kompozycję dwu aspektów – praktycznego i artystycznego. Plakaty z różnymi motywami (w tym też antycznymi) są w przekazie komunikatywne i uniwersalne.

Rafał Olbiński zdradził, że obrazy te zainspirowały sonecistów. I taki album ukazał się w języku polskim i angielskim. Mamy osobistą satysfakcję, bo artysta publicznie wyraził zgodę na prośbę Stanisława Nyczaja, by obrazy i sonety zostały w wyborze opublikowane w naszym kwartalniku. Miejsmy nadzieję, że to się powiedzie.

Prace artysty można oglądać do końca grudnia 2019 roku.

Red.



Od lewej: rektor UJK prof. Jacek Semaniak, dyr. Biblioteki Uniwersyteckiej Andrzej Antoniak, Rafał Olbiński



Z okazji 50-lecia UJK w Kielcach artysta podarował uczelni swój plakat przygotowany specjalnie na tę okazję

Fot. Paweł Nyczaj





Liliana Abraham Zubińska: *Pola świętokrzyskie*, olej



Liliana Abraham Zubińska: *Żurawie*, technika mieszana



Uta Przyboś: *Korń*



Uta Przyboś: *Królik*



Uta Przyboś: *Nosorożec*